



PIOSENKA

NAWET NAJMĄDRZEJSZY CZŁOWIEK STAJE SIĘ GŁUPCEM
W OBLICZU MIŁOŚCI.

CHRIS FABRY



Święty Wojciech
wydawnictwo

PIOSENKA

Powieść Chrisa Fabry'ego
na podstawie scenariusza
Richarda L. Ramseya

*Wszystko ma swoją godzinę,
jest czas na wszelką sprawę pod niebem.*

(Ekl 3,1)

Wstęp

Jako pastor często rozmawiam z ludźmi na różnych etapach ich miłosnych związków. Niejednokrotnie widzę zagubienie i cierpienie swoich rozmówców. Wiele nieporozumień wynika z zalewu docierających do nas sprzecznych informacji na temat tego, jak radzić sobie z randkami, seksem czy małżeństwem. Co zatem jest prawdą? Co w takich sprawach ma do powiedzenia Bóg? W końcu to On stworzył miłość romantyczną.

Kiedy kilka lat temu realizowałem serial na podstawie Pieśni nad Pieśniami, zdałem sobie sprawę z tego, jak bardzo jest ona dziś aktualna. Ale, choć poetycki charakter czyni ją piękną, zrozumienie jej i odwoływanie się do niej w różnych życiowych sytuacjach może sprawiać ludziom trudności.

Dlatego nasz zespół stworzył „Piosenkę” – współczesną adaptację historii życia Salomona na podstawie Pieśni nad Pieśniami i Księgi Koheleta. Chcieliśmy udostępnić tę opowieść szerokiemu gronu odbiorców – również tym, którzy być może nigdy nie czytali Pisma Świętego. Najpierw powstały film oraz materiał wykorzystywany podczas nauk prowadzonych na spotkaniach przykościelnych. Aby jeszcze bardziej spopularyzować tę historię, postanowiliśmy napisać również powieść. W trakcie modlitwy proszę Boga o to, aby poprzez „Piosenkę” przekazywał nam mądrość dotyczącą miłości pełnej oddania i prawdziwego piękna, a także znajdowania satysfakcji w związku. Modlę się o to, by obudziła ona ponownie miłość w tysiącach par małżeńskich. Historia ta niesie czytelnikowi zarówno nadzieję, jak i obietnicę: *Nie poddawaj się! Nie odpuszczaj! Bóg potrafi zebrać połamane kawałki i pięknie złożyć je na nowo. Właśnie to potrafi najlepiej.*

Jestem wdzięczny Chrisowi Fabry’emu za współpracę przy tym projekcie. Chris doskonale rozumie ducha „Piosenki”, a nakreślona przez niego historia Jeda i Rose trafia prosto do serc czytelników. Macie Państwo szansę spędzić z bohaterami więcej czasu i lepiej zrozumieć ich relacje. Nie wszystko mogliśmy pokazać na ekranie. Poznacie postaci, których nie widzieliście w filmie. Być może po prostu dostrzeżecie w nich siebie lub swoich małżonków, zmagających się z codziennymi klęskami i odnoszących zwycięstwa.

Jestem dumny z tej powieści. Mam nadzieję, że spodoba się ona Państwu i wzmocni Waszą wiarę w Boży dar miłości oraz romantycznej relacji.

Kyle Idleman

Prolog

Źrenice Jeda Kinga rozszerzyły się, jego ciało było dziwnie odrętwiałe – jak kogoś, kto stracił czucie. Paznokcie wbiły się w nadgarstek i próbowały coś z niego usunąć. Pojawiła się krew, ale Jed prawie nie czuł bólu. Przechylił się do tyłu. Miał wrażenie, że uchodzi z niego wola życia.

Jeśli to miałyby być piosenka, pomyślał, to nie byłaby warta śpiewania.

Jego życie było niczym piosenka w rytmie na trzy czwarte, stworzona przez kogoś innego. On pisał nowe zwrotki do odmiennej melodii. Refren wydawał mu się znajomy, ale przywiódł go do miejsca, do którego Jed nie chciał dojść. A teraz właśnie tkwił w tym miejscu.

Leżał na plecach, nie mogąc się ruszyć, i błędził gdzieś wzrokiem.

Obok niego ktoś upadł. Jed usłyszał lament, przenikliwy krzyk. Co się rymuje ze słowem *drzeć*? *Krzyczeć*? *Leć*? *Umrzeć*?

To była Shelby. Jej długie, splątane włosy i twarz bez makijażu wcale nie wyglądały tak jak na zdjęciach zamieszczanych w czasopiśmie. Teraz Shelby zachowywała się jak oszalała. Wydawała się bezsilna, pozbawiona tej spokojnej pewności siebie, która tak pociągała Jeda. Nie był w stanie zareagować. W ogóle nie był w stanie się poruszyć. Mógł tylko słuchać jej krzyku.

– Nie, nie, nie! – głos Shelby odbijał się od ścian łazienki. Co to za miejsce? Hotel? Nie mógł sobie tego przypomnieć.

Przez całe życie poszukiwał właściwych słów, właściwej linijki. Było ono jak strzęp rozmowy dwójki przyjaciół, która stała się częścią refrenu. Było czymś, co w chwili beztroski powiedział jego syn, nagłówkiem w gazecie, pytaniem zadany przez fana stojącego w kolejce po autograf. Słowami mogącymi wyrazić zakazane pożądanie, jakie czuł do *niej*, do kobiety, która nie była jego żoną.

Ale teraz nie było żadnych słów. Nie pojawiały się, bo już nic nie czuł. Jego oddech stał się płytki, płuca bolały. Jed czuł silny ucisk w klatce piersiowej. Wydawało mu się, że serce pracuje mu coraz wolniej i słabiej, jakby za chwilę miało przestać.

– Coś ty zrobił?! – krzyczała Shelby.

Co zrobił? Dobre pytanie. Co zrobił ze wszystkimi swoimi szansami i wyborami, z życiem, które miał przeżyć, z przyrzeczoną miłością? Musi to zapisać. *Miłość, którą przyrzekałem...* Chociaż właściwie nie było już powodu, żeby cokolwiek zapisywać. Wszystko się skończyło. On też się skończył.

– Jed! Słyszysz mnie?! Nie zasypiaj!

Pewnie, nie zasypiaj, pomyślał. Jakże to proste! Dla każdego oprócz mnie.

Shelby wymierzyła mu policzek, ale prawie go nie poczuł. Widział tylko, jak jej dłoń uderza i od razu się cofa. Po twarzy dziewczyny płynęły łzy. – Jed? Ode-

zwiąż się do mnie!

Chciał. Naprawdę chciał. Ale są rzeczy, których nie możesz zrobić, nawet jeśli bardzo tego pragniesz. Wybory i słowa niedające się zmienić. Rymy zawieszono gdzieś na końcu zdania. To właśnie jest różnica pomiędzy dobrym tekstem piosenki a przelotną myślą, która nigdy nie zostanie dokończona.

Shelby próbowała zatamować krew białym ręcznikiem, ale daremnie. Ręce Jeda zbliżyły się do siebie i wykręciły niby pazury zwierzęcia w bólu agonii. Oczy wyobraźni widział już posty w internecie, ludzi dzielących się smutną wiadomością. *Odpuść w spokoju, Jed. Co za wstyd! Co za strata!*

Kamery telewizyjne uchwycą przykryte ciało przewożone na wózku na tył ambulansu ze światłami wyłączonymi na znak, że nie ma już nadziei, że życie uleciało. Obraz będzie powtarzany w kółko, aż w końcu przestanie być newsem, a na jego miejsce pojawi się coś innego.

Widziałem wszystkie sprawy, jakie się dzieją pod słońcem, a oto wszystko jest marnościami i gonitwą za wiatrem.

– Jed! Jed! Powiedz coś!

Jego powieki zatrzepotały jak motyl uwolniony z kokonu, a z gardła wydobył się bulgot. Słowo zapuściło korzenie i rosnęło, dopóki nie sięgnęło jego splekanych warg, a on wypowiedział je szeptem. – Rose...

Shelby przekreśliła kurek przy prysznicu do końca i woda spłynęła kaskadą. Bijące strumienie obmywały twarz Jeda i plątały jego włosy. Nie dbał o to, czy będzie żył, czy umrze. Czy zatonie, czy utrzyma się na powierzchni.

I nagle znalazł się gdzieś indziej, w miejscu tak wyraźnie zarysowanym w pamięci jak jego odbicie w kranie. Stał w deszczu. Niebo przecięła błyskawica, która zmiotła wszystkie słowa.

Ale biada samotnemu, gdy upadnie, bo nie ma drugiego, żeby go podniósł.

Przez całe życie próbował zgromadzić wokół siebie ludzi doceniających jego muzykę. Agentów i wiernych wielbicieli. Teraz został sam. Nawet Shelby wyszła do pokoju.

Usłyszał jakieś walenie i głosy.

W drzwiach pojawiło się dwóch mężczyzn. Chwycili go za ręce i wynieśli spod prysznicza. W pokoju rozległ się krzyk. Mężczyźni w mundurach uciszyli Shelby i zapytali, co wzięła. Jed stracił przytomność. Ocknął się, kiedy wnoszono go do karetki. Ale jej światła były włączone. Czy to mogło coś znaczyć? Czy nadal była nadzieja?

Zamrugnął powiekami. W karetce opiekował się nim sanitariusz. Jed wpatrywał się w jego oczy, jakby błagał, żeby ten człowiek pomógł mu wytrzymać. Śmieszne. Tak właśnie czynili fani, którzy oglądali jego występy. Patrzyli z łapczywością na kogoś, kto prezentował swoją sztukę, robił rzeczy, dla których żył.

Znów zamrugnął. Po chwili dostrzegł ostre światła szpitala, wózek pędzący

przez korytarz, ludzi w fartuchach biegnących w jego kierunku, dotykających go, podłączających jakieś rurki i przewody. Chciał im powiedzieć, jak bardzo mu przykro, że sprawił tyle kłopotu. Chciał powiedzieć *jej*, jak bardzo mu przykro. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek będzie mógł wydobyć z siebie głos, żeby uwolnić uwięzione słowa.

Nagle poczuł jakby uderzenie – jak wtedy, kiedy był dzieciakiem i stojąc nad oceanem, zagapił się na chwilę. Przyptyw podmył mu wtedy stopy, fala uderzyła go w plecy, przewróciła w sam środek kipieli i pozbawiła kontroli.

Zapadła ciemność.

Na ekranie monitora pracy serca pojawiła się płaska linia.

Żadnego ciemnego tunelu. Żadnego światła, niesamowitych kształtów czy czegoś w tym rodzaju. Żadnej muzyki, w ogóle żadnego dźwięku. Żadnych aniołów czy demonów. Tylko ciemność, na której powierzchni unosiły się słowa, białe na czarnym tle. Jego życie w słowach. Wiedział, że wszystkie były prawdziwe.

Po czym skierowałem swe spojrzenie na wszelki ucisk, jaki się dzieje pod słońcem. [...] Chwalilem więc bardziej [los] umarłych, tych, którzy już odeszli, aniżeli [los] tych, którzy jeszcze pozostają przy życiu. Lecz za szczęśliwszego od jednego i drugiego uważam tego, co się jeszcze nie urodził i nie widział zła, które się wypełnia pod słońcem.

Życie Jeda Kinga przewijało się niczym film. To, co dobre i złe, triumfy i błędy, wygrane i przegrane. Wszystko, co próbował ukrywać. Światło i ciemność. Piosenka, którą śpiewał z każdym uderzeniem serca.

Część pierwsza

jeden

Urodził się jako Jedidiah King. Usiłował być godny tego nazwiska. Jego ojcem był David King, wędrowny artysta country, znany z ostrego picia i równie ostrego życia – przynajmniej przez większość kariery. Ojciec Jeda postawił wszystko na swoją muzykę. Z takim samym zaangażowaniem śpiewał w małych spelunkach, w których zaczynał grać, jak i na stadionach pod koniec życia. Trafiał do serc fanów na całym świecie. Jego piosenki, np. „Can’t Hold On”, podśpiewywali mężczyźni za kierownicami traktorów podczas prac polowych i kobiety – zarówno te mieszkające w przyczepach, jak i w rezydencjach. David King był biednym człowiekiem bojącym się własnego cienia, ale wiedział, jak przekształcić ten strach w piosenki z przesłaniem, które ujmowały słuchaczy i były jedyne w swoim rodzaju.

Jed poza nazwiskiem odziedziczył po nim jeszcze dwie rzeczy: miłość do budowania własnymi rękami i pragnienie pisania piosenek sercem. Podobnie jak ojciec, chwycił za młotek i piłę o wiele wcześniej niż za gitarę. Ale kiedy już odkrył sześć strun, nie było mowy, żeby je sobie odpuścił.

Od dziecka fascynował go widok ojca grającego na gitarze. Jed obserwował ułożenie palców na strunach i sposób gry. Instrument wydawał się być przedłużeniem ciała tego człowieka. Kiedy David chwycił za gitarę, po prostu ożywał. Mógł padać ze zmęczenia, prawie usypiać na kanapie, ale jeśli dostrzegł w kącie gitarę, zawsze się podnosił i choć przez chwilę grał. Gdy pracował nad jakąś nową piosenką lub próbował przerobić stary kawałek, w jego oczach pojawiała się światło.

Obserwowanie prób kapeli ojca było dla Jeda doświadczeniem niemalże religijnym. W tworzeniu muzyki było coś tak niesamowitego, że zapragnął robić to samo.

Facet ze sklepu muzycznego w ich miasteczku wiedział, kim jest ojciec Jeda. Wpuszczał chłopca na zaplecze i pozwalał mu grać na czerwonej gitarze, która na co dzień wisiała na ścianie – a w zasadzie nie grać na niej, ale ją trzymać. Powiedział mu wszystko o tych instrumentach – o drewnie, sposobie wydobywania dźwięku, o tym, dzięki czemu stają się najlepsze. A potem łapał za gitarę i wykonywał taki riff, że Jed ledwie był w stanie w to uwierzyć. Sprzedawca z uchem przytkniętym do instrumentu grał z pamięci jakąś melodię, która zapierała Jedowi dech w piersiach.

– Jak można nauczyć się tak grać? – pytał chłopiec.

– Najpierw weź lekcje. Naucz się akordów i pasaży. – Sprzedawca uniósł gitarę. – Ale muzyka nie przychodzi stąd. Tak naprawdę nikt na całej planecie cię jej nie nauczy. Ona bierze się stąd. – Klepnął się w pierś. – Albo to masz, albo nie. Niedobrze, jeśli się tego nie ma. Ale jeśli się to ma i zmarnuje, to jeszcze gorzej.

Pokazał Jedowi chyty G, C i D, a potem wyjął spod lady zapis akordów i

powiedział chłopcu, żeby wrócił za tydzień. Jed poszedł prosto do domu. Tam sięgnął po gitarę swojego ojca, tę, którą Davidowi podarował ktoś dla niego ważny. Miała wyrzeźbioną koronę. Ojciec skomponował na niej kilka swoich najlepszych piosenek i twierdził, że przynosi mu ona szczęście.

Jed ułożył palce w pozycji G, chociaż odkrył, że łatwiej mu ułożyć na pierwszej strunie palec serdeczny niż mały. Nie dociskał jednak dostatecznie mocno. Potem przeszedł do C. Ułożenie palców na właściwych strunach i progach zajęło mu kilka sekund. W jaki sposób muzycy tak szybko zmieniają akordy?

Teraz przyszła pora na D. Tylko trzy palce i poruszenie czterech strun, ale to było najtrudniejsze. Widział gitarzystów przebiegających palcami po całej długości gryfu i dociskających struny nawet na progach. Jak oni to robili?

– Już się zacząłem zastanawiać, czy kiedykolwiek po nią sięgniesz. – Usłyszał głos ojca stojącego tuż za nim.

David przeszedł przez pokój, stukając podeszwami kowbojskich butów o drewnianą podłogę. Jed przełknął z trudem ślinę i odsunął od siebie gitarę w przepaszającym geście.

– Obserwowałem cię kiedyś, kiedy pracowaliśmy na zewnątrz. Przesuwałeś kciukiem po strunach. Interesuje cię to? – zapytał ojciec.

Jed skinął głową.

– Gdzie nauczyłeś się chwytów?

– Pan ze sklepu muzycznego mi pokazał.

David usiadł na łóżku. Falujące włosy opadły mu na plecy. Był ubrany w zwykły T-shirt z kieszonką, a nie w sceniczny strój, z jakim zwykle kojarzyli go ludzie. Jedowi wydawał się taki naturalny i ciepły.

– Czy powiedział ci, żeby zagrać G palcem serdecznym?

– Nie, radził, aby użyć do tego małego palca.

– Człowiek zna się na rzeczy. Miał rację.

– Ale mi się wydaje, że łatwiej użyć palca serdecznego.

Ojciec się uśmiechnął. – Ja też tak gram. Ale czasami używam małego, a drugą strunę pociągam serdecznym w tym miejscu. Spróbuj.

Jed nie dawał sobie rady. Ojciec wziął od niego gitarę i pokazał mu – nie z niecierpliwością, ale jak gość dłubiący przy samochodach, dokręcający nakrętkę przy chłodnicy i mówiący: *Pamiętaj, w lewo luźniej, w prawo ciaśniej.*

– A możesz mi pokazać coś jeszcze? – spytał Jed.

– Pewnie!

Następnego ranka po przebudzeniu Jed znalazł w nogach łóżka gitarę. Grał na niej, kiedy David zszedł na śniadanie. – Ten gość ze sklepu muzycznego powiedział, że do gustu przypadło ci to pudło. Nie potrzebujesz do niego wzmacniacza. Cieszysz się?

Jed nie był w stanie zapanować nad uśmiechem. – Bardzo! – wykrzyknął.

Ojciec przetarł oczy, odpędzając resztki snu, chrząknął, a potem nalał sobie mleka do miski z płatkami. – Ale bez stresu. Nie daję ci gitary po to, żebyś podążał śladami swojego staruszka. Jest wiele miejsc, do których zawędrowałem, a do których, mam nadzieję, ty nigdy nie dojdiesz.

– Na przykład jakich?

– Jeszcze o tym porozmawiamy. Chcę po prostu powiedzieć, że nie musisz traktować tego jak jakiejś kariery. No chyba że tego chcesz. Rozumiesz?

– Tak, tato.

– Byłbyś dobry, wiesz o tym?

– Naprawdę?

– Byłbyś dobry w śpiewaniu. Słyszałem cię.

– Tak, tato.

W ten sposób wszystko się zaczęło. Jed spróbował i już nie przestał. Zabawne, jak kilka słów wypowiedzianych nad miską płatków śniadaniowych może odmienić życie małego chłopca. A jeszcze zabawniejsze, jak może to uczynić dobrze nastrojona gitara.

dwa

Pewnych rzeczy mężczyzna może się nauczyć wyłącznie od swojego ojca. Należą do nich zarówno granie akordów i komponowanie piosenek, jak i sposoby na strzyżenie trawnika oraz znalezienie dobrego mieszkania. Nie żeby nie mogła tego nauczyć i matka – bo przecież może – ale kiedy chłopak dowiaduje się tych rzeczy od ojca, komunikuje mu on znacznie więcej niż tylko to, w jaki sposób wykonać zadanie.

Gdy David zrozumiał, że Jed traktuje poważnie nie tylko naukę gry na gitarze, lecz także łączenie słów z tym, co przynosi życie, bardzo się zaangażował. Wsłuchiwał się w piosenki syna i zastanawiał się, co w nich jest. Jed szczególnie zapamiętał pewien dzień. Siedzieli z ojcem na pomoście nad wodą i komponowali piosenkę na bandžo. David uderzał w struny instrumentu, wystukiwał nogą rytm i jednocześnie robił drobniutkie fale na powierzchni wody. Nawet ryby wydawały się cieszyć muzykowaniem ojca i nastoletniego syna – w pobliżu z wody wynurzył się na chwilę ogromny okoń.

Ojciec zakaszlał w dłoń, na której pojawiła się krew. Wytarł ją o koszulę. Sądził, że Jed tego nie spostrzegł, ale pewnych rzeczy nie da się ukryć.

Nakłonienie Davida do wizyty u lekarza zajęło Jedowi trochę czasu, a od jego matki wymagało nadludzkich wysiłków. Za to diagnozę postawiono bardzo szybko. A potem nastąpiło błyskawiczne pogorszenie, które wszystkich zaskoczyło.

– Zawsze myślałem, że zginę w jakiejś katastrofie lotniczej – powiedział pewnego wieczoru ojciec. Leżał na szpitalnym łóżku, wśród licznych rurek i monitorów. – Jeśli się tak umrze, ludzie nigdy cię nie zapomną.

– Ja ciebie nigdy nie zapomnę – wyszeptał Jed.

Ojciec uśmiechnął się leciutko. – W moim życiu było wiele rzeczy, o których, mam nadzieję, zapomnisz.

Kolejny atak kaszlu. Jed był zadowolony, że nie słyszała tego matka. Ojciec wytarł usta i przysunął się do niego.

– Byłem z ciebie taki dumny, kiedy rzuciłeś palenie! – stwierdził Jed.

– Żałuję, że w ogóle zacząłem palić. Ale jak się jest dzieciakiem, nie myśli się o tym, co – w młodości z reguły nieszkodliwe – później może cię pożreć. Zresztą wiele rzeczy może cię pożreć, chyba że będziesz się od nich trzymał z daleka.

Jed czekał na więcej słów, ale ojciec tylko kaszlał. Z telewizora, ustawionego na kanał country, dobiegała piosenka. David sięgnął po pilota i trzęsącą się dłonią wyłączył odbiornik. Był to dla niego taki wysiłek, jakby na ławce treningowej wycisnął z tysiąc kilogramów.

Jego ręka opadła na pościel. Wziął kolejny płytki wdech. – Jed, popełniałem

w życiu błędy, ale pogodziłem się z Panem Bogiem. Wracam do domu.

– Tato, nie poddawaj się, proszę!

– Nie poddaję się, synu. Jestem po prostu gotowy. Jeśli Bóg chce dokonać jakiegoś cudu, to przecież może. Nie potrzebuje mojej zgody. Ale jeżeli woli, bym wrócił do domu, to dobrze. Nawet więcej niż dobrze.

Jed wpatrywał się w ekran telewizora.

– Możesz o tym myśleć jak o długiej trasie koncertowej. Będę miał po prostu stały angaż.

– Jak w Las Vegas.

Ojciec roześmiał się i znowu zakaszał, a Jed pożałował, że próbował być zabawny. Kiedy David odzyskał oddech, złapał syna za rękę swoją zgrubiałą od stolarstwa i innych prac fizycznych dłonią. Był człowiekiem muzyki, ale znał również wartość pracy wykonywanej w pocie czoła.

– W niebie będzie znacznie lepiej niż w Las Vegas, synu.

Jed tylko pokiwał głową. Pomyślał, że może napisać o tym piosenkę i porównać niebo do Las Vegas. Jego podbródek zaczął drgać.

– Chciałbym cię tam kiedyś spotkać – szepnął ojciec. – Obiecasz mi, że się tam spotkamy?

Jed znów pokiwał głową. Nie był w stanie nic powiedzieć.

– Podążaj za Bogiem, Jed. Rób to, co On mówi. I wszystko będzie dobrze. Będziesz człowiekiem, jakim mnie nigdy nie udało się stać.

Przed śmiercią ojciec poprosił, aby na jego nagrobku umieszczono cały Psalm 23. – Żeby ludzie mogli przeczytać coś, co zawsze będzie miało znaczenie – stwierdził.

Matka Jeda schyliła się i przejechała dłonią po koronie wyrytej tuż obok dat: 17 grudnia 1942 – 10 sierpnia 2003.

– Byłby naprawdę dumny z tego, co dzisiaj mówiłeś – powiedziała do Jeda łamiącym się głosem. – Naprawdę byłby z ciebie dumny.

– Żałuję, że nie udało mi się napisać o tym piosenki, zanim odszedł. Mógłby jej posłuchać. Mógłby mi pomóc... – umilkł. Matka podniosła się niepewnie z miejsca, a potem przytuliła się do syna i zapłakała. Trzymał ją w ramionach dopóty, dopóki nie odsunęła się i nie spojrzała na niego.

– Chciał ci powiedzieć tak wiele rzeczy. Po prostu nie znajdował odpowiednich słów.

– Wychodziło mu to tylko w piosenkach, prawda?

Uśmiechnęła się przez łzy. – Niektórzy mężczyźni w ogóle nie potrafią tego z siebie wykrzesać.

– Mamo, co się wydarzyło pomiędzy wami dwojgiem? Chciałbym poznać

twoją wersję. Wiem, że to nie jest właściwy czas i odpowiednie miejsce...

– To doskonałe miejsce. Prawda jest konieczna nad grobem. Chciałby, żebym odpowiedziała ci na wszystkie pytania, które mi zadasz.

Zaczęła opowiadać. To była trudna opowieść i matka łkała niemal przez cały czas.

– Widziałeś stare filmy wideo. Wiesz, że dawniej śpiewałam z Davidem, a mój mąż Bill grał w zespole na mandolinie. Nigdy wcześniej ani później nie słyszałam, aby ktokolwiek potrafił grać na tym instrumencie tak jak on.

– On nie żyje, prawda? Czytałem o tym w internecie. Czy to było samobójstwo?

– Rodzina starała się tego nie rozgłaszać, ale w końcu i tak się wydało. Wszyscy byliśmy zdruzgotani. To ja go znalazłam.

– Nie rozmawiajmy o tym, mamo.

– Nie, wysłuchaj mnie. Mówienie o tym nie jest dla mnie łatwe, ale świadomość, że nigdy byś się o tym dowiedział lub powiedziałby ci o tym ktoś obcy, pewnie by mnie zabiła.

– Słyszałem jakieś plotki na spotkaniach rodzinnych. Jakieś szeptki. I widziałem kręcenie głowami.

– Twój ojciec nie znosił tych spotkań. A cała historia wyglądała następująco. Tata i ja mieliśmy romans. Złamaliśmy nasze przysięgi małżeńskie. To było szaleństwo. Zaszłam w ciążę. Nie mogłam poradzić sobie z myślą, że dziecko nie jest Billa. David zawiózł mnie do kliniki. Jest to jedna z tych rzeczy, których żałuję najbardziej.

Jed wpatrywał się w nagrobek i chłonał słowa matki.

– Bill dowiedział się o tym. Sądzę, że już wcześniej przeczuwał, co się dzieje, ale nie chciał w to wierzyć. Tak strasznie był zraniony i wściekły z powodu tego, co zrobiliśmy, że odebrał sobie życie. Powiesił się. Znalazłam go w domu. Zostawił kartkę ze słowami: *Mam nadzieję, że będziesz szczęśliwa z wyboru, jakiego dokonałaś*. Pierwszą osobą, do której zadzwoniłam, był David.

– Tak mi przykro, mamo. – Odczekał chwilę, aż matka otrze z oczu łzy, i zapytał: – A więc to dlatego rodzina taty zerwała z nami wszelkie kontakty?

Kiwnęła głową. – Jego żona zabrała dzieci i odeszła. Nigdy w życiu nie widziałam bardziej przybitego człowieka niż David wtedy. Myślałam, że zapije się na śmierć. Ale jakoś udało mu się z tego wyjść.

– To ty mu pomogłaś z tego wyjść.

– Pomogliśmy sobie nawzajem. Próbował jakoś ułożyć sobie relacje z tą kobietą, ale ona rozwiodła się z nim i zabrała wszystko, co zarobił przez całe życie. Nie obwiniam jej. O większość rzeczy, które się zdarzyły, obwiniam siebie. Człowiek myśli, że wybory, których dokonuje, dotyczą tylko jego i tej drugiej osoby. Nie zdaje sobie sprawy z tego, że mają one wpływ na wszystkich. Łącznie z tobą.

– Ze mną?

– Kiedy się pobieraliśmy, czuliśmy radość, ale podszytą smutkiem. Twoje narodziny były nowym rozdziałem w tej historii. Dzień, w którym się urodziłeś, był najlepszym dniem w życiu twojego taty i moim. Zawsze jednak towarzyszyła nam słodko-gorzka świadomość tego, co wydarzyło się wcześniej. Próbowaliśmy rozpocząć nowe życie, na przekór przeszłości i własnym błędom. Ale zawsze odczuwaliśmy wyrzuty sumienia. Wisiały nad nami jak gradowa chmura.

– To przede wszystkim z twojego powodu nadal śpiewał – stwierdził Jed. – To go utrzymywało przy życiu.

– Przy życiu trzymało go to, że w jego sercu pojawił się Bóg. Zresztą w moim również. Tak strasznie mi wstyd za to, co się wtedy wydarzyło! Nie potrafiliśmy zapanować nad naszą namiętnością. Zraniliśmy bliskich. I musieliśmy z tym żyć. Twój ojciec pragnął dać ci wszystko, czego nie mógł ofiarować swojej pierwszej rodzinie.

Wyciągnęła z torebki wysłużony dziennik i wcisnęła go do rąk Jeda. – Wszystko jest tutaj. David zawsze twierdził, że człowiek musi nauczyć się żyć z własnymi błędami. Miał nadzieję, że uda mu się ciebie uchronić przed tymi samymi pomyłkami.

Wieczorem Jed otworzył zeszyt i zaczął czytać nabazgrołony tekst. Niemal czuł dotyk ojca. Słowa zaczynały oddychać, nabierać życia i sensu w kontekście historii, którą usłyszał.

Widziałem wszystkie sprawy, jakie się dzieją pod słońcem, a oto wszystko jest marnością i gonitwą za wiatrem.

[...] drogą zaś żywota pouczenie i karność. Niech cię ustrzegą przed żoną bliźniego, przed słodkim językiem cudzej [niewiasty]. Nie pożądaj w swym sercu jej piękności, nie daj się zwabić jej rzęsami [...]. Czyż można zgarnąć ogień w zana-drze i szat swoich nie spalić? Czyż można chodzić po płonących węglach i nie poparzyć swoich stóp? Tak [dzieje się] z tym, który biega za żoną bliźniego: ktokol-wiek zbliża się do niej, nie ujdzie kary.

Po czym skierowałem swe spojrzenie na wszelki ucisk, jaki się dzieje pod słońcem. [...] Chwalilem więc bardziej [los] umarłych, tych, którzy już odeszli, ani-żeli [los] tych, którzy jeszcze pozostają przy życiu. Lecz za szczęśliwszego od jedne-go i drugiego uważam tego, co się jeszcze nie urodził i nie widział zła, które się po-pępnia pod słońcem.

[...] zazdrość rozpali gniew męża i w dniu zemsty będzie bezlitosny. Nie uła-godzi go żaden okup, nie ustąpi, choćbyś mu ofiarował wiele darów.

[...] cudzołóżca jest pozbawiony rozsądku: tak postępuje ten, kto własnej zguby szuka. Zbiera on chłostę i hańbę, a wstydu jego nic nie zmaże.

Nie szczęści się temu, kto swe grzechy ukrywa, ale kto je wyznaje i porzuca, dostępuje miłosierdzia.

Jak nie znasz drogi tchnienia [przenikającego] do kości w łonie brzemiennej, tak też nie znasz spraw Boga, który jest twórcą wszystkiego.

Któż to wie, co jest w życiu dobre dla człowieka podczas dni jego znikomego życia, które przeżywa jak cień? Któż zdradzi człowiekowi, co się będzie działo po nim pod słońcem?

Sam człowiek nie zna swej godziny [...].

Jedno pokolenie przechodzi, drugie pokolenie przychodzi, a ziemia trwa nie-wzruszenie.

Wpatrywał się w pismo ojca i myślał o jego życiu.

Po chwili drzwi się otworzyły. Do pokoju weszła matka.

– Chciał, żebyś dostał i to – powiedziała i podała mu gitarę ojca z wrytą koroną, symbolem jego kariery.

– Ale ty chciałaś ją zatrzymać – odparł Jed.

Potrząsnęła głową. – Nie. Należy do ciebie. Chciał, żebyś tworzył na niej wspinałą muzykę. Mnie też nic bardziej nie uszczęśliwi.

– Nigdy nie będę nawet w połowie tak dobry jak on jako muzyk, jako autor tekstów. Ani jako człowiek.

– Możesz być jeszcze lepszy. Ucz się na jego błędach. Niech jego życie będzie dla ciebie lekcją, z której dowiesz się, jak stać się dobrym człowiekiem.

Jed chwycił gitarę i poczuł, że przesywa go prąd. Był to instrument, na którym jego ojciec grał na scenie i poza nią. Tych piosenek ludzie słuchali również w radiu. Na ilu listach przebojów rozbrzmiewał dźwięk tego instrumentu?

Wiedział, że trzyma w dłoniach coś więcej niż tylko spadek po piosenkarzu i twórcy piosenek. To nie był jedynie kawałek starego drewna. To był katalizator, coś, co miało zbliżyć go do ojca o kolejny krok, było biciem jego serca. Za pomocą tej gitary David potrafił przekazać synowi rzeczy, o których nie umiał mówić.

Matka wyszła. Jed wsłuchiwał się w odgłos jej kroków na drewnianej podłodze korytarza. Ustawił palce, żeby zagrać G, a potem dostroił strunę A do G i zagrał pięć dźwięków małym palcem na trzecim progu, tak jak nauczył go ojciec.

Cały ból w moim sercu i rany w mej duszy

Przy pożegnaniu szarpią i rwą.

Cały smutek więziony w środku pędzi jak przerwana tama...

Była to zaledwie jakaś zabłąkana myśl, którą zapisał w pamiętniku. Przesiedział z gitarą ojca całą noc. Brzdąkał na niej, pisał w zeszytach, na zmianę śmiał się i płakał. Jego serce, choć złamane, powoli się wypełniało. Już wiedział, co chce robić w życiu.

Jak tylko Rose Jordan sięgała pamięcią, wiodła dobre życie. Jej rodzina pracowała na farmie i doglądała winnicy. Zapach winogron w sezonie, ich obciążające pnącza dojrzałe kiście wypełnione sokiem, który symbolizował życie – to wszystko bardzo cieszyło Rose.

Korzenie rodziny Jordanów sięgały czasów pierwszych osadników, którzy wyruszyli w podróż i zakochali się w żyznej glebie odnalezionej w stanie Kentucky. Ziemia była przekazywana z pokolenia na pokolenie dopóty, dopóki w 1820 roku nie zasiedlono miasteczka Sharon. Wtedy to na skutek rodzinnych sporów podzielono ją na dwie części.

Rose lubiła myśleć, że kiedy spogląda przed siebie na krzewy winorośli, widzi to samo co jej matka i babka, i pozostałe kobiety z rodziny aż po XVII wiek, kiedy to jej przodkowie osiedlili się w tym miejscu.

Bracia Rose, zniechęceni ciężką pracą w winnicy, uciekli stąd, gdy tylko dorosli. Rose wiedziała zaś, że nigdy nie opuści tego miejsca. Chłopcom kojarzyło się ono jedynie z bezustannym wysiłkiem, którego wymagała produkcja wina, a jej – z darem życia. Praca przynosiła Rose, podobnie zresztą jak jej matce, nie zmęczenie, lecz ukojenie. Po mozolnym dniu dziewczyna miała dobre, spokojne sny.

Jej ojciec, Shephard Jordan, odzywał się tylko wtedy, kiedy musiał. Był filarem lokalnej społeczności, jedną z najważniejszych osób w miasteczku. Wiódł spokojne życie. Jeśli ktoś czegoś potrzebował, zawsze mógł do niego przyjść – czy to w sprawie popsutego traktora, czy niedomagającego konia, czy problemów finansowych. Dla kilku rodzin mieszkających na obrzeżach jego ziemi stał się hojnym dobroczyńcą – ich majątki rozrosły się od jednej trzeciej akra do dwóch lub nawet trzech akrów. Czymże byłoby życie, gdyby nie dało się obdarowywać innych?

A jednak winnica Jordanów budziła pewne kontrowersje. Niektórzy mieszkańcy miasteczka twierdzili, że padał na nią cień złamanego życia wielu ludzi.

– *Szydercą jest wino, krzykaczem – napój upajający [...] –* rzuciła pewnego dnia w twarz Shepowi Eunice Edwards. Stała na ganku ich domu i groziła ojcu Rose palcem. Drugą rękę oparła na swoim szerokim biodrze. Rose, urzeczona kwiatowym wzorem sukienki, która przylegała do kobiety jak skórka do winnego grona, patrzyła na nią z bezpiecznej odległości kanapy w salonie.

– *[...] kto się im oddaje, nie wykazuje mądrości –* mówiła dalej Eunice. – Tak mówi Pismo Święte, Księga Przysłów 20, werset 1.

Rose spojrzała na samochód kobiety i dostrzegła w nim Eddiego, najmłodszego z chłopców Edwardsów. Siedział z tyłu i bębnił palcami w szybę. Był mniej więcej w jej wieku. Zawsze miał taki wyraz twarzy, jakby wiedział więcej niż inni.

– Eunice, nie mogę powiedzieć, że się z tobą nie zgadzam – odparł Shep. –

W Biblii jest wielokrotnie mowa o tym, żeby nie upijać się winem. Ale ono stanowi też dar Boga dla ludzi. Jest symbolem życia.

– Shep, widziałam niejedno życie zniszczone przez alkohol. Nie wiem, dlaczego marnujesz swoje na coś, co niszczy ludzi.

– Zawsze można wykorzystać dobro do niecnym celów. Na przykład samochód może zabrać ciebie i twojego syna do kościoła, ale możesz też pojechać nim do baru. Problemem nie jest samochód, lecz serce...

– Musimy się przemieszczać z jednego miejsca do drugiego, za to nie musimy pić wina.

– Masz rację. Nie musimy go pić. Ale Bóg nam je dał. To dar, z którego trzeba mądrze korzystać.

Eunice rzuciła mu ostre spojrzenie spod okularów w cienkich oprawkach. – Będę się za ciebie modlić, Shep. Będę się modlić, żeby Bóg wybaczył ci grzech, który popełniasz. I by wybaczył grzechy twoim przodkom.

Spojrzała na okno domu i dostrzegła przez nie Rose. – Masz małą córkę, którą wychowujesz bez matki. Co zrobisz, gdy któregoś dnia złapie za butelkę? Co zrobisz, jeśli twoi chłopcy staną się pijakami?

Nie odpowiedział jej, chociaż Rose bardzo tego chciała. Miała ochotę wykrzyknąć na głos kilka wersów biblijnych, w których chwalono wino. Jest dobre na żołądek, jak powiedział św. Paweł. Przecież Biblia mówi, aby się nie upijać, ale to wcale nie znaczy, że nie można w ogóle pić. Stwierdzono by wprost: *Nie pij wina*. Ale pani Edwards odpowiedziałaby pewnie, że wino, które pijał św. Paweł, to zupełnie inna sprawa.

Kiedy samochód Edwardsów zniknął za krzewami winorośli, Rose wyszła na ganek i stanęła obok ojca. – Dlaczego ona była taka niegrzeczna? – zapytała. Tata wziął ją na ręce. – Pewnie ma to coś wspólnego z jej ojcem. I mężem. Ludziom, którzy obrywają od życia, należy nieco odpuścić, Rose.

– Czy to dlatego jest taka złośliwa?

– Nie jest złośliwa. Po prostu cierpi. Zwierzę, które jest dobre i łagodne, też ryczy, kiedy się zrani. Pamiętaj o tym, gdy ludzie postąpią w stosunku do ciebie nieładnie. To zwykle oznacza tylko tyle, że cierpią.

Teraz, dziesięć lat później, Rose przypomniała sobie tę scenę, kiedy próbowała wytaszczyć ze schowka w stodole stary domek dla lalek. Był ciężki i nieporęczny. Potrzebowała pomocy, ale nie chciała prosić ojca. Gdyby się dowiedział, że chce się pozbyć zabawki, zrobiłoby mu się przykro. On i bracia Rose włożyli niegdyś w ten domek wiele pracy. Cięli materiały, kleili, malowali, aby wręczyć jej go na dziewiąte urodziny, zaledwie kilka dni po najeździe Eunice Edwards. Podarowali go dziewczynce niespełna rok po śmierci mamy. Przez wiele miesięcy bawiła się tym prezentem każdego dnia. Domek składał się z trzech pięter. Na pierwszym znajdowały się kuchnia, jadalnia, salon, pralnia i pracownia (ta ostatnia powstała w

hołdzie dla mamy). Na drugim wydzielono sypialnie, a trzecie było małym pokojem przypominającym pomieszczenie w latarni morskiej. Mąż i żona mogli patrzeć z niego na swoje ziemie i podziwiać zachody słońca. Rose fascynowała niezwykła liczba detali. Była wdzięczna tacie i braciom, którzy zadali sobie tyle trudu, żeby zrobić coś tak wyjątkowego, tak niezapomnianego, choć ich serca krwawiły wtedy z bólu.

– Pomogę ci – powiedziała Denise Lawton. Była wyższa od Rose o kilka centymetrów. Miała długie, ciemne włosy, a kiedy się uśmiechała, jej oczy wydawały się iskrzyć. I zawsze znalazła powód, by rozniecić te iskry. Była królową scen – w dzieciństwie obsadzano ją w każdym szkolnym przedstawieniu.

– Ale czekaj! Chyba nie chcesz się tego pozbyć?! – spytała zdziwiona. – Rose, nie możesz tego zrobić!

– Przecież leży w stodole od lat.

– Ale bawiliśmy się nim, kiedy byliśmy małe. Powinnaś go zachować dla swojej córki.

Denise odwróciła się w kierunku stodoły, ale Rose pociągnęła domek mocniej w swoją stronę. – Nie wracamy. Idziemy do samochodu.

– Robisz błąd. Kochałaś ten domek.

Zabawka wydawała się coraz cięższa. Postawiły ją na trawie. Rose pogłaskała dach i małą kopułkę. – Tak, kochałam ten domek, ale już z niego wyrosłam. I teraz uszczęśliwi jakąś inną małą dziewczynkę.

– To jest pamiątka rodzinna. Nie wyrasta się z pamiątek rodzinnych. Przekazuje się je dalej.

– Nie chcę, żeby moje życie polegało na gromadzeniu rzeczy. Jeśli kiedykolwiek będę miała dzieci, opowiem im o tym, co dla mnie zrobili bracia i tata. Nie muszę zatrzymywać domku, by o nim pamiętać. Chcę się go pozbyć.

– Jestem jak najbardziej za pozbywaniem się rzeczy, których nie potrzebujesz. Porządkowanie jest dobre. Ale należy mądrze wybierać. Robisz błąd, uwierz mi. Za kilka lat będziesz go chciała z powrotem.

– No dobra. Zostań i nie ruszaj się stąd! – krzyknęła Rose i pobiegła do domu. Denise zawołała, że zamierza sobie pójść, ale wciąż stała przy domku, kiedy Rose wróciła z aparatem.

– Trzymaj! Zrób zdjęcie, żebym mogła je pokazać wszystkim dzieciom, które, jak sądzisz, będę miała.

– Będziesz ich miała pełen dom. I będziesz świetną matką. Ludzie, którzy mają świetne matki, są świetnymi rodzicami.

– To słodkie, co powiedziałaś. Wydaje mi się, że właśnie usłyszałam komplement.

– To był komplement dla twojej mamy.

Rose przykucnęła obok domku. Z uśmiechem na ustach chwyciła mały

kuchenny stoliczek i jedno z krzeseł. Denise zrobiła kilka zdjęć.

– Wystarczy. Teraz idziemy z tym do samochodu.

– Jeśli się tego pozbędziesz, zranisz ojca.

– Tata będzie dumny, że pomagam potrzebującej rodzinie w zbieraniu funduszy.

– Jak zwykle, wspaniała filantropka. A tak na marginesie, co to za rodzina?

– Należą do Kościoła. Ich syn musi przejść poważną operację. W ten weekend organizują sprzedaż niepotrzebnych rzeczy na pikniku kościelnym. Ciekawe, ile dostaną za mój domek?

Podniosły domek i wsunęły go na przyczepę, obok roweru stacjonarnego. Było tam jeszcze kilka worków z ubraniami, książkami i innymi przedmiotami, które podarowali ludzie przychodzący do kościoła. Kiedy Rose zobaczyła swój domek dla lalek wśród tych wszystkich przedmiotów, zakłuło ją w sercu. Podjęcie takiej decyzji to jedna sprawa, a postanowienie, aby nic nie odczuwać – inna.

Wskoczyła na przyczepę i usiadła. Spojrzała na pola i winnicę, która ciągnęła się aż po łagodne wzgórza. Następnie zamknęła drzwi do sypialni w domku dla lalek i usłyszała charakterystyczny klik. Taki mały szczegół.

Uśmiechnęła się do Denise. – Wiesz, przypomniały mi się musicale, które odgrywałyśmy z chłopakami. Pamiętasz? Stałyśmy w rozkroku nad domkiem i śpiewałyśmy: *Ooooooklahoma!*

– A lalki zawsze siedziały w kuchni i nasłuchiwały, rozmarzone. Czekały na swoich mężów, którzy mieli wrócić po ciężkim dniu pracy.

Rose zamknęła oczy i pozwoliła powrócić słodkim wspomnieniom. – Pomogłaś mi znów zacząć się śmiać...

– O czym ty mówisz?

– Po śmierci mamy, po tym wszystkim, co się stało w naszym domu, gdy moi bracia próbowali sobie z tym poradzić i nie umieli... Zachowywali się tak, jakby przegrali rozgrywki Małej Ligi. A tata stał się taki obojętny! Byłam jedyną osobą, która płakała i źle się z tym czuła. Ty pozwoliłaś mi na płacz, a nawet zachęcałaś mnie do niego. I właśnie to pomogło mi się znowu śmiać.

– Chciałam po prostu odzyskać dawną siebie.

– To twoja mama zaproponowała, żeby zorganizować moje urodziny, prawda?

Denise pokiwała głową. – Rozmawiałyśmy o tym, jaka jesteś smutna. Kiedy do nas przychodziłaś, chciałaś cały czas siedzieć na podwórku. Huśtać się na huśtawce i gapić na trawnik.

– Potrafiłaś słuchać.

– Mama powiedziała mi, że twój tata rozplakał się, gdy zaproponowała mu zorganizowanie przyjęcia urodzinowego dla ciebie.

– Naprawdę?

– Jej zdaniem, on tak naprawdę wiedział, że tego potrzebujesz, ale ciężko mu się było za to zabrać. To twoja mama zawsze planowała wszystkie przyjęcia i kupowała prezenty.

– I piekła torty, i dekorowała dom. W dzień przyjęcia zawieszała balony na skrzynce na listy. – Rose ciężko westchnęła i opuściła nogi. – Nie sędzę, by chodziło mu o zrobienie zakupów czy zawieszenie dekoracji. Myślę, że ciężko mu było zdecydować się na wpuszczenie do domu na nowo odrobiny radości. Gdybyśmy znowu się śmiali, cieszyli życiem, wyglądałoby to na pewien rodzaj zdrady wobec mamy.

– Ale ona na pewno chciałyby, żebyś się śmiała. To szalone myśleć inaczej. I na pewno chciałyby, żebyś zatrzymała ten domek dla jej wnuków.

Rose przewróciła oczami. – Denise, chyba nie jestem gotowa myśleć o jej wnukach.

– Będziesz miała piętnaścioro dzieci. Samych chłopców.

Rose roześmiała się serdecznie. – Wtedy domek dla lalek nie będzie mi potrzebny. A poza tym, czy ty sobie wyobrażasz piętnastu chłopców w jednym domu?!

– Musiałabyś jeździć na zakupy do spożywczego szkolnym autobusem.

– Ale żeby to się stało, musiałabym najpierw znaleźć im tatusia.

– Eddie Edwards zawsze czuł do ciebie miętę. Jest słodki.

– Słodkie to są szczeniaki.

Denise pokręciła głową. – Jesteś beznadziejna. Faceci się zabijają, żeby cię poznać.

– Jakoś żadnego nie widzę.

– Nie uwierzyłabyś, ilu facetów rozmawia o tobie w kościele.

– Rozmawianie o mnie a rozmawianie ze mną to dwie różne rzeczy. Dlaczego żaden z nich nie daje najmniejszego znaku?

– Wiesz dlaczego. Boją się twojego ojca. Nie patrz tak na mnie. Musisz przyznać, że jest groźny.

– Może trochę.

– Mówienie, że twój tata jest TROCHE groźny, to jak twierdzenie, że Mount Everest to ośła łączka – westchnęła Denise. – On naprawdę bardzo cię kocha, na swój szalony, egoistyczny, wyjątkowy, staroświecki, farmersko-opiekuńczy sposób. Ale jestem też pewna, że facet dla ciebie gdzieś jest. I czeka. Wszystko planuje. Jak tajną operację.

– Jak wygląda?

– Zastanówmy się nad tym... Mniej więcej metr osiemdziesiąt pięć. Silne ramiona, które będą nosić ten domek dla lalek, gdzie tylko będziesz chciała. Niebieskie albo zielone oczy. I dobra twarz. Zawsze będzie chodził w świeżej białej koszuli i dżinsach, które będą wyglądały jak dopiero co zdjęte z wieszaka. Mała bród-

ka jak u Tima McGrawa.

– Kogo?!

– Piosenkarza country. Rose, naprawdę musisz trochę nadrobić, jeśli chodzi o muzykę. Nie możesz ciągle słuchać tylko klasyki.

– Lubię klasykę. Moja mama też ją lubiła.

– No dobrze. W takim razie ten facet też musi lubić klasykę. Będzie miał po-nagrywane wszystkie największe przeboje i będzie słuchał stacji, która nadal je gra.

– Mówisz, jakbyś go już spotkała. Jakbyś miała jego numer telefonu.

– Chciałabym. Gdybym takiego znała, sama bym się nim zainteresowała.

– Oddaję ci go. Ja już skończyłam z facetami.

– Nie możesz z nimi skończyć, skoro nawet nie zaczęłaś. Chyba że bierzesz pod uwagę Stanleya z piątej klasy.

– Stanleya Hickleya?

Wybuchnęły śmiechem. Rose zakryła dłonią usta.

– Przynosił ci kwiaty, prawda?

– Był taki słodki! Każdego ranka przed szkołą temperował dla mnie ołówek i wręczał mi go, jakby składał u mych stóp zabitego smoka. To pierwszy chłopak, z którym tańczyłam. I jedyny chłopak, z którym tańczyłam.

– Niestety, porzucił cię dla innej kobiety.

– Kto to taki?

– Mała Debbie.

– Słyszałam, że schudł – powiedziała Rose, kiedy opanowała już nieco śmiech. – Po przeprowadzce do Lexington dostał się do zespołu zapaśników. Kiedyś widziałam jego zdjęcie. Nadal ma ten swój słodki uśmiech.

– Widzisz, nie skończyłaś z facetami, skoro myślisz o Stanleyu. Może wróci? Mógłby pracować na farmie twojego ojca. – W głosie Denise zabrzmiała nutka niepokoju. – Rose, a właściwie to co ty zamierzasz zrobić? Nie chcesz chyba zostać tu na zawsze, co?

– Ktoś musi pomóc tacie, a na pewno nie będą to moi bracia.

– Twój tata nie chce, żebyś tu została i poświęcała się dla niego.

– To żadne poświęcenie kochać kogoś, kto kochał cię całe twoje życie.

– A może Bóg chce inaczej?

– Szacunek dla ojca jest chyba dobrą rzeczą?

– Pewnie. Ja tylko chcę powiedzieć, że...

– Niechęć do studiowania i brak jakiejś szczególnie niezwykłej wizji swojego życia nie oznaczają, że sprzeciwiam się woli Boga. Pasję można rozwijać w każdym miejscu, także w rodzinnym miasteczku. Nie próbuj mnie wpasowywać we własne marzenia, OK? To świetnie, że masz wielkie plany. Realizuj je. Ale ja nie jestem tobą.

Denise skrzywiła się na chwilę. – Wygląda na to, że dotknęłam czułego

miejsca.

– Nie. Stanęłaś na nim swoim ciężkim buciosem i brutalnie je zdeptałaś.

– Masz rację. Nie musisz opuszczać farmy, żeby realizować to, czego chce dla ciebie Bóg. Może któregoś dnia facet twoich marzeń zleci zniecka z nieba i upadnie u twoich stóp.

– Jeśli Bóg ma kogoś dla mnie, wszystko samo się ułoży.

– I tu się mylisz. Musisz się stąd ruszyć, Rose. Musisz działać. Nie możesz tylko siedzieć i czekać, że życie samo ci wszystko sprezentuje. Musisz sama zdobywać. Musisz żyć.

– I mówi to osoba, która nie pozwala mi się pozbyć domku dla lalek?

– Rose...

– Denise, kocham to miejsce. Są z nim związane wszystkie moje marzenia. Moja przyszłość. Nie chowam się tu przed niczym. Ja tu żyję.

Denise wpatrywała się w nią przez dłuższą chwilę. – No dobra – westchnęła.

– Czyli domek dla lalek stąd wyjeżdża?

Rose uśmiechnęła się do przyjaciółki. – Tak, domek wyjeżdża.

cztery

Kiedy tylko w telewizji zaczęto nadawać program dla utalentowanych młodych ludzi, wszyscy namawiali Jeda, aby się do niego zgłosił. Dzięki takim programom można było zostać zauważonym i wypromować swoje nazwisko. Jed jednak czuł całym sobą, że to nie jest odpowiednia droga dla niego. To byłoby jak zdrada własnej sztuki. Chciał zrobić tak jak jego ojciec – po prostu grać swoje piosenki i pozostawić sprawy własnemu biegowi. Zamierzał śpiewać z całą energią i zobaczyć, co się stanie. I tak właśnie robił. Był blisko spokrewniony ze słynnym muzykiem country, dlatego kiedy zaczął występować, budził ciekawość i zainteresowanie.

Pewnego wieczoru w małej knajpce znajdującej się na południe od Louisville podszedł do niego pewien człowiek.

Stan Russel usilnie walczył o to, by nie wyglądać na pięćdziesiąt lat, które miał, ale były to daremne zmagania. Jego włosy się przerzedzały, a brzuch rósł. Stan, ubrany w dobry garnitur, wyglądał jak człowiek, który wiele może.

– Widziałem cię w zeszłym tygodniu w pewnej knajpce. Dowiedziałem się, że dzisiaj będziesz grał tutaj – rzucił do Jeda.

– Dziękuję, że znalazł pan czas, aby przyjść i mnie posłuchać, panie Russel. Czuję się zaszczycony.

Stan uśmiechnął się dobrotliwie. – Masz wyjątkowy talent i solidną technikę. Twój głos jest mocny. Słowa piosenek wydają się naprawdę pochodzić z twojego wnętrza. To mieszanka wybuchowa, synu.

– Dziękuję.

– Oczywiście, trzeba cię trochę oszlifować, ale tego potrzebuje każdy w twoim wieku. A także kogoś, kto pomoże zrobić kolejny krok.

– Tak, proszę pana.

– Nie mówię tego ot tak. Nie jestem tu bez powodu.

Jed zamilkł i spojrzał na Stana ze zdziwieniem.

– Chciałbym cię reprezentować, Jed. Sądzę, że z takim talentem i energią odniesiesz sukces. I do tego cała ta scheda po twoim ojcu... – Stan obrzucił go spojrzeniem, które Jed później zwykł nazywać *spojrzeniem Stana*. – Będziesz występował w dobrych miejscach.

– Co to miałyby być za miejsca?

– Jakie tylko chcesz. Chicago? LA? Nie chcę, abys występował tylko lokalnie. Chcę ci pomóc naprawdę się wybić. Radia nadające muzykę country będą grały twoje piosenki. Możesz na mnie liczyć.

– Co muszę zrobić?

– Przekonałem całkiem sporą wytwórnę płytową, aby pozwoliła ci spróbo-

wać. Potrzebna jest jedynie piosenka, która będzie twoim znakiem rozpoznawczym, połączy cię z twoim ojcem. Daj mi ją, a ja zajmę się resztą.

– Wszyscy agenci, którzy ze mną rozmawiali, twierdzili, że powinienem pozbyć się z piosenek Boga. Czy pan też tak uważa? – spytał Jed.

– Wręcz przeciwnie. Nie chcę, byś pozbywał się ze swoich piosenek czegokolwiek, co pochodzi stąd. – Stan wskazał palcem pierś Jeda. – Nie chcę słyszeć żadnego fałszu. Chcę słyszeć prawdę. Nie obchodzi mnie, czy jesteś ateistą, chrześcijaninem, czy wierzysz w kosmitów, którzy nas obserwują. Chcę, abyś śpiewał tak, jak zostałeś do tego stworzony, tak jak robił to twój ojciec.

Tego wieczoru uścisnęli sobie dłonie. Nie podpisali ani nie obiecali sobie niczego. Stan po prostu wręczył Jedowi swoją wizytówkę, a ten wsunął ją w otwór gitary. Potem Jed przez całą noc nie zmrzył oka – pracował nad czymś, co kotłowało się w jego głowie od śmierci ojca. Słowa tego utworu to była szczerza prawda. A czasami szczerza prawda w dziwny, słodko-gorzki sposób dodaje otuchy temu, kto potrafi jej spojrzeć prosto w oczy.

Na początku delikatnie, z idealnym wyczuciem dotknął strun gitary. Dźwięki instrumentu rozbrzmiewały w jego głowie – one i tylko one. *Mogłaby pojawić się również delikatna linia basu*, pomyślał. Zaczął pisać o swoim ojcu, ale czuł, że również o sobie, o tym, do czego mógłby być zdolny, gdyby nie wybrał tej trudniejszej drogi.

*Pewnie była to miłość,
Sam nie wiem, co myśleć mam.
Tak, ich losy się skrzyżowały,
Przysięgi małżeńskie skruszały,
Ale konsekwencje zostały,
Konsekwencje zostały.
Rodziny rozdzielone tylko z powodu twojej hardości,
Bo wasze losy się skrzyżowały.
Sięgnąłeś po nie swoje,
Ale konsekwencje zostały,
Konsekwencje zostały.
Tak, urodziłem się synem króla,
Ale nie masz pojęcia, jak to jest.
Możesz myśleć, że to na jawie sen,
Ale sny zwykle sprawdzają się
Nie do końca tak, jak się chce.*

Niektórzy dopatrzyliby się w tej piosence złości, powiedzieliby, że Jed oskarża swojego ojca o mieszanie ich nazwiska z błotem. Inni po przeanalizowaniu tekstu stwierdziliby, że autor wybacza swojej matce, choć przecież i ona była winna rozpadowi dwóch rodzin. Jed czuł jedynie, że w tym utworze po prostu opi-

sał prawdę. Miała ona w podtekście wszystkie kłótnie rodzinne, kwestie alimentów, finansowych upadków i wzlotów, wrzeszczących fanów i ciemną stronę sławy. I to, że jeśli odrzucić to wszystko, życie człowieka ogranicza się zaledwie do kilku rzeczy.

Na samym końcu próbował połączyć swojego ziemskiego ojca z Ojcem Niebieskim, dopóki całość nie nabrała dla niego sensu.

Boże w niebie,

Daj mi mądrość, żebym to wszystko zrozumiał.

Nie wybierałem miejsca swego urodzenia,

Ale muszę wierzyć, że Ty tak.

Więc, Boże w niebie,

Daj mi mądrość, żebym to wszystko zrozumiał.

Miłość to wybór, którego warto dokonać,

Ale nawet jeśli nie dokonam go sam,

Nadal pozostanę synem króla.

Niektóre piosenki powstają błyskawicznie. Tak właśnie było z kawałkiem „Syn króla”. Kiedy Jed go skończył, rozplakał się, bo wiedział, że stworzył coś wyjątkowego.

Odwrócił gitarę, aby wypadła z niej wizytówka Stana. Zadzwoił do niego o czwartej rano i odtworzył mu całą piosenkę. Potem zasnął i spał mocno, dopóki nie obudził go telefon.

– Czy możesz dzisiaj przyjechać do Nashville? Ile ci to zajmie? Zabierz gitarę i tę piosenkę.

Festiwal plonów był pomysłem mamy Rose. Początkowo gromadziła się na nim tylko rodzina, aby wspólnie pobiesiadować i pomuzykować. Rose pamiętała, że kiedy była dziewczynką, przyjeżdżali do nich dalsi krewni i rozbijali namioty na trawniku. Grali do późna w domino i w karty. W pamięci Rose pozostały dźwięki pianina, na którym grała mama, oraz rozbrzmiewające w tle pieśni ze starego śpiewnika wykonywane na cztery głosy.

W miarę upływu lat festiwal stawał się prawdziwą fetą. Był świętem nierozdzielnie związanym z winnicą, sposobem na podzielenie się obfitością zbiorów z przyjaciółmi. Przyjeżdżali oni na te trzy październikowe dni, aby się zrelaksować i zjeść coś dobrego. Degustowali też winne nowości. Było opowiadanie historii i malowanie twarzy dzieciom. Sprzedawano dynie za połowę ceny. Kobiety przynosiły swoje wypieki. Organizowano przejażdżki na wozach z sianem i na kucykach. Dzieci dostawały soczyste jabłka na patyku oblane cukrem.

Najważniejszym wydarzeniem podczas festiwalu zawsze był sobotni koncert. Co roku Rose i jej tata starali się zorganizować coś większego i lepszego. Wcześniej zapraszali zespoły z kościoła, które śpiewały za darmo. Raz odbył się nawet konkurs talentów. Wystąpili w nim dosłownie wszyscy – od śpiewających dzieci, poprzez brzuchomówcę, aż po faceta, który kręcił talerzami do ciasta. W końcu jednak Rose i Shep uznali, że czas zacząć zapraszać profesjonalistów. Przez kilka kolejnych lat Shep sprowadzał najdziwaczniejszych wykonawców, jakich Rose widziała na oczy. Gościa grającego na harfie i śpiewającego falsetem największe hity Slima Whitmana. Trzech facetów, którzy nazywali swoją grupę kwartetem, ale nigdy nie mieli czwartego towarzysza. Byli nienagannie ubrani... w stylu, który trafił do lamusa w latach siedemdziesiątych wraz z modą na włochate dywany.

– W tym roku ty przejmujesz dowodzenie – zapowiedział latem Shep. – Wybierz piosenkarza, osobę z talentem – kogo tylko chcesz. Umywam od tego ręce.

– Naprawdę? – zaskoczona Rose uśmiechnęła się do ojca.

– Ciekawy jestem, co z tego wyniknie.

– Jaki mamy budżet?

Kiedy odpowiedział, mina jej zrzędnęła. – Tato, ale to oznacza, że znów będzie to samo. Musimy przeznaczyć na ten cel trochę więcej pieniędzy.

– A ile to jest *trochę więcej*?

Wymieniła kwotę, a wtedy to jego mina zrzędnęła. – Rose, ledwo możemy pozwolić sobie na to, co już jest.

– Ale pomyśl o tym trochę inaczej. Jeśli ściągniemy lepszego artystę, kogoś, kogo ludzie znają, przyjedzie więcej gości. A to oznacza, że sprzeda się więcej dyń

i jabłek. Więcej osób będzie chciało skosztować twojego wina i kupić butelkę lub dwie. Przyjadą tu, zgłodnieją i będą chcieli zabrać coś ze sobą do domu.

– A kogo konkretnie masz na myśli? – zapytał.

– Zostaw to mnie.

I tak się stało. Przysporzyło to Rose nieco stresu, ponieważ dziewczyna niewiele wiedziała o muzyce. Oczywiście, lubiła śpiewać i słuchać radia. Miała całe stosy płyt CD ze starymi przebojami, ale i tak muzyka była dla niej w codziennym życiu raczej hałasem w tle.

Zadzwoiła do Denise. Przyjaciółka już w szkole próbowała podążać za swoim marzeniem o aktorstwie i nawet zagrała kilka niezłych ról w letnich przedstawieniach plenerowych. Rose obejrzała je prawie wszystkie. Kiedyś Denise wspominała coś o przeniesieniu się po szkole do Nowego Jorku, ale na przeszkodzie stanęły pieniądze. Wtedy jakiś znajomy wkręcił ją do studia w Nashville. Pracowała tam jako asystentka producenta.

Nashville znajdowało jakieś dwie godziny drogi od ich miasteczka, a Denise przyjeżdżała do domu raz w miesiącu na weekend. Kiedy Rose zadzwoniła i poprosiła ją o pomysły na festiwal, przyjaciółka natychmiast wzięła się do roboty. Wkrótce pojawiła się na ganku domu Rose z listą, którą tworzyło dziesięć nazwisk, i folderami.

– Dla mnie wszyscy oni są w porządku – stwierdziła Rose. – Może po prostu ty wybierz jednego wykonawcę lub grupę.

– To nie powinno tak być. Musimy pomyśleć, który z nich najbardziej pasuje do waszej winnicy. Chyba nie chcesz, żeby jakiś podchmielony gość wyśpiewywał rubaszne kawałki? – roześmiała się Denise.

– Każdy będzie lepszy od faceta kręcącego talerzami.

– Może chcesz zespół śpiewający gospel? – Denise podała Rose broszurę ze zdjęciem. – Ta rodzina występuje już od dłuższego czasu. Dzieci grają na każdym instrumencie, jaki przyjdzie ci do głowy. Chociaż byłoby to trochę jak pokaz tresowanych psów i kucyków. Wiesz, *tylko proszę spojrzeć na naszego dwulatka grającego „Dueling Banjos” na flecie pikolo.*

– Ludzie byliby zachwyceni.

– Ale dopiero po szklaneczce lub dwóch chardonnay. Odpadają.

Rose nadal studiowała listę piosenkarzy i komików.

– A jak tam się mają sprawy z Eddiem? – odezwała się nagle Denise. – Nadal kroczy do przodu, kroczy do tyłu?

– Widujemy się – odpowiedziała lakonicznie Rose. – Tata nadal mu nie ufa.

– A ty?

– Jakiś czas temu wspomniałaś, że jest słodki.

– Nie zmieniaj tematu.

– Myślałam, że tematem jest wybór artysty.

– Tak, ale musisz mi powiedzieć wszystko o swoim życiu miłosnym. Umieram z ciekawości.

– Nie ma o czym opowiadać. Spotykamy się kilka razy w tygodniu. Widuję go też w kościele.

– W kościele? Czyli to coś poważnego?

– To nie jest nic poważnego.

– A co z jego mamą? Co ona myśli o was dwojgu?

– Jest... nieco podejrzliwa w stosunku do mnie. Tak sędzę. Ostrożna. Myśli, że zmienię Eddiego w pijaczną.

– Mhm.

– Czy możemy wrócić do listy? Co to za dziewczyna?

– Valerie? Zaśpiewała hymn narodowy na meczu i jakieś dziesięć minut później podpisano z nią kontrakt płytowy. Jest przemiła, ale ma niesamowicie mocny głos, który może wam nie odpowiadać. Sugerowałabym ci raczej coś kameralnego, bardziej intymnego. A to od razu nasuwa mi myśl o Eddie.

– Czy możesz przestać wypytywać mnie o Eddiego?

– Ja po prostu chciałabym, żebyś była szczęśliwa, Rose. Swoją drogą, mam przyjaciółkę, która też poznała Eddiego. Umówiła się z nim kilka razy. Mówiła, że wcale nie jest taki słodki jak szczeniak.

– Co masz na myśli?

– Powiedziała, że potrafi pokazać pazur i rwie się do całowania. Musiała go walnąć, by się uspokoił.

Rose roześmiała się głośno. – Mówiliśmy o winnicy. Że mocny głos pewnie nie zabrzmiałby tutaj dobrze. Potrzebujemy chyba czegoś akustycznego...

– Wiesz, jesteś beznadziejna. Ale tak, takie brzmienie pasuje do winnicy jak najbardziej – stwierdziła Denise, przerzucając foldery.

– Po prostu chciałabym zaprosić kogoś, kto nie spowoduje, że młodzi ludzie będą przewracać oczami, a starsi zatkają sobie uszy.

– W takim razie musisz wziąć tego gościa. Gra trochę w stylu rockabilly. Ma dużo patriotycznych kawałków, no wiesz, o żołnierzach wracających z wojny i o 11 września.

Rose zerknęła na nazwisko. – Chad Houston? Nigdy o nim nie słyszałam.

– Możesz sobie na niego pozwolić. Jego gaża mieści się w twoich widelkach. Dobre sobie: *Nigdy o nim nie słyszałam*. Jeśli dorzucisz kolejne 500 dolarów, to może znajdziemy kogoś z kategorii: *Czy to nie ten gość, który śpiewa...?* Przy tysiącu więcej krzykniesz: *Och, uwielbiam jego kawałki!* Większość piosenkarzy, których znasz, jest poza twoim zasięgiem. Ci tutaj to lokalni artyści z pewnym dorobkiem, jedną lub dwiema płytami, na razie bez większych sukcesów. Ale pomyśl sobie, że zaprosisz takiego Houstona na festiwal plonów, a po jakimś czasie okaże się wielką gwiazdą.

Rose kiwnęła głową. – Przekonałaś mnie. Bierzemy go.

Denise skontaktowała się z odpowiednimi osobami i pod koniec sierpnia Rose dostała do podpisu kontrakt. Jego strony wypełniono prawniczymi paragrafami i informacjami, ile należy zapłacić Chadowi, jak długo będzie grał, co należy przygotować dla niego do picia i jedzenia przed koncertem, jaki system nagłaśniający jest konieczny itp. Wszystko to nieco przytłoczyło Rose. Zadzwoiła do Denise i poprosiła ją o wyjaśnienie niektórych kwestii.

– Jestem trochę zdziwiona tym, że to wszystko zostało opisane w kontrakcie.

– Nie przejmuj się za bardzo. Będzie szczęśliwy, gdy dostanie czek i kilka kanapek.

Rose podpisała kontrakt i odesłała go wraz z zapłatą, aby mieć pewność, że Chad u nich wystąpi. Potem zabrała się za reklamę. Rozesłała ulotki i zamieściła odpowiednie informacje w internecie. Właściciele okolicznych sklepów pozwolili jej nakleić na szyby wystawowe plakaty. Zaczęto mówić, że tegoroczny festiwal plonów zapowiada się na najlepszy w historii.

Wszystko spokojnie toczyło się aż do połowy września, kiedy to do Rose zadzwonił ktoś z agencji z Nashville. Dobrą wiadomością było to, że zwracano jej całą sumę, którą zapłaciła za koncert, a złą – że Chad Houston wybrał się pomiędzy występami w Kalifornii na narty wodne, złamał nogę w trzech miejscach i odwołał wszystkie swoje koncerty, które miały się odbyć w przyszłym miesiącu.

– Zobaczę, co da się zrobić – powiedziała Denise, kiedy zrozpaczona Rose do niej zadzwoniła.

Dwie godziny później Denise oddzwoniła. – Jest za późno, żeby zaklepać kogokolwiek innego z listy, którą ci dałam. Dlatego musimy opracować plan B. Choć może raczej będzie to plan Z.

– Co masz na myśli?

– Nie możesz być zbyt wybredna, bo zostało niewiele czasu. Znam pewnego menedżera, który reprezentuje kilku artystów. Nazywa się Stan Russel. Widziałam się z nim dzisiaj i dałam mu twoją wizytówkę. Powiedział, że ma takiego gościa, Jeda Kinga, który być może zgodzi się wystąpić.

– Ale nie kręci talerzami?

Denise roześmiała się do słuchawki. – Wysyłam ci jego notkę biograficzną i inne informacje. Ten gość w pewnym sensie jest i nie jest związany z wytwórną płytową. Stan mówił o nim tak, jakby chciał go sobie odpuścić. Trochę to wszystko poplątane, ale Stan powiedział, że ten Jed jest naprawdę dobry. Śpiewa o Bogu. Ma własne piosenki.

– W takiej sytuacji rzeczywiście nie mogę być zbyt wybredna. Na pewno jest wolny w tym terminie?

– Stan ma z nim pogadać dziś wieczorem. Obiecał, że powie mu o koncercie, a potem Jed do ciebie zadzwoni.

– Mam nadzieję, że zrobi to szybko.

sześć

Po kilku występach w radiu, początkowym zamieszaniu wokół *syna Kinga* i zaśpiewaniu na paru imprezach targowych Jed znów wylądował w Louisville. Występował w tych samych barach i spelunkach. Kiedyś zagrał na prowizorycznej scenie na postojach dla ciężarówek. Słuchała go tam jedna z najlepszych publiczności, przed którą w życiu występował. Ale nadal marzył, żeby grać prawdziwe koncerty, podczas których ludzie raczej klaskaliby i śpiewali razem z nim, niż zajadali się gumowymi naleśnikami z proszku.

Pewnego wieczoru występował w małym barze. Czuł, że jest w doskonałej formie. Muzyka płynęła gładko. Jed śpiewał całym sobą, ale zagłuszały go ustawiony w kącie flipper i głośne rozmowy ludzi. Kiedy skończył grać jedną ze swoich najbardziej energicznych piosenek, nie było żadnej reakcji. Tylko dwie kobiety zwróciły na niego uwagę, ale Jed wiedział, że tak naprawdę nie interesowała ich jego muzyka. Zakończył występ i otrzymał żalosny aplauz. Podeszedł do baru. Kobiety podażyły za nim. Obie były dość ładne, ale nieco tandetnie ubrane.

– Świetny występ, Jed.

– Dziękuję.

– Mam na imię Laura.

– A ja jestem Katie.

Uścisnął im dłonie i uśmiechnął się zdawkowo.

– Uwielbiam twoje kawałki – powiedziała Katie i mrugnęła porozumiewawczo.

Jed odszukał wzrokiem barmana, który wydawał się ociągać.

– Jakie masz plany na wieczór? – zapytała Laura. – Może masz ochotę z nami poimprezować?

– Poimprezować? – zdziwił się Jed.

– Taaa, no wiesz... – Laura uwodzicielsko oblizała usta i delikatnie dotknęła jego ramienia – ... poimprezować.

Próbowała nasycić to słowo erotyzmem, jakby to miało wszystko wytłumaczyć. Uśmiechnęła się wyzywająco.

Jed odrzucił głowę do tyłu i zrobił krok w jej kierunku. – Lauro, czy ty mnie kochasz?

Spojrzała na swoją przyjaciółkę, a potem znów na Jeda. – Pytasz poważnie?!

– Połączenie dwóch dusz to poważna sprawa – stwierdził. – Dlatego muszę wiedzieć, czy mnie kochasz. Czy będziesz ze mną na dobre i na złe. Ze mną i z naszymi dziećmi.

Laura zrobiła właśnie taką minę, jaką Jed chciał zobaczyć. Na jej twarzy malowało się niedowierzanie pomieszane z niezrozumieniem. – Cooo?!

– Dzieci też musiałybyś kochać, Lauro, nie tylko mnie. Nasze dzieci. – Teraz odwrócił się do jej przyjaciółki, która patrzyła na niego, jakby na czole wyrosły mu rogi. – Laura chyba tego nie rozumie, Katie. A ty mnie kochasz?

– Jesteś stuknięty, wiesz o tym? – powiedziała Katie.

– Spadamy stąd – rzuciła Laura i kobiety wyszły, oglądając się za siebie z pogardą.

Jed nie potrafił powstrzymać uśmiechu. Odwrócił się do barmana, który gapił się na niego z opadniętą szczęką.

– Jesteś szurnięty – stwierdził mężczyzna.

– Tak, tak. Wiem. Sorry. Najwyraźniej mam jakiś problem.

– Dziewczyny miały na ciebie ochotę.

– Tak im się tylko wydawało.

Barman westchnął, pokręcił głową i wrócił do pracy.

Jed odwrócił się w kierunku sali i obrzucił wzrokiem tłum. W końcu znalazł w odległym kącie osobę, której szukał. Zabrał swojego drinka i usiadł przy stole naprzeciwko Stana Russela.

– Jak się masz, Jed?

Jed z namysłem ważył słowa. – Jestem trochę zmęczony. Ganiem w takich miejscach. Śpiewaniem dla ludzi, którzy nie chcą słuchać tego, co mam do przekazania, i są zainteresowani wyłącznie tym, czego chcieliby się napić.

– Mówiłem ci, to jest proces. Szybkie kariery szybko się kończą. Najlepiej zaczynać spokojnie i powoli budować mocną bazę fanów. Przecież o tym wiesz.

– Stan, a co z moją mieszanką wybuchową?

– Przykro mi, ale sprawy nie ułożyły się tak, jak chciałeś. Jak chcieliśmy. Miałem nadzieję, że do tej pory już wystartujemy, ale się nie udało.

– I nadal nie wystartujemy, jeśli nie zaczniesz rezerwować większych sal, z większą publicznością. Stan, przecież jeśli zorganizowałbyś mi takie występy, sprzedalibyśmy więcej płyt. A tutaj ile było osób? Osiemnaście?

– Organizuję dla ciebie sale, które jesteś w stanie wypełnić, OK? Podsumowując, przyjacielu, to są twoje wyżyny.

– Musimy zmienić podejście. Na mojej następnej płycie...

– Nie będzie następnej płyty.

Jed wlepił w mężczyznę wzrok. Nie mógł zrozumieć tego, co usłyszał.

– Opuuszczają cię sobie.

To był cios, którego Jed się nie spodziewał. Kiedy podchodził do stolika, był pewien, że sobie poradzi. Wystarczy wyjaśnić Stanowi, jak należy pokierować sprawami, by znowu mieć wszystko pod kontrolą. Ale tymi kilkoma słowami i ponurą miną Stan usunął mu grunt spod nóg.

– Znajdę inną wytwórnię – rzucił Jed.

Stan pokiwał głową. – No dobra, stary. Nie będę owijał w bawełnę. Ludzie

przychodzą cię posłuchać tylko z jednego powodu: ponieważ kochali twojego ojca. Dopóki nie odnajdziesz w sobie pasji, inspiracji czy czegoś prawdziwego, o czym mógłbyś śpiewać, będziesz jedynie synem Davida Kinga.

Menedżer powinien podnosić na duchu swojego podopiecznego i choć trochę w niego wierzyć. Dodawać mu pewności, kiedy ten zaczyna w siebie wątpić. Mówić mu, że wszystko się ułoży i że od ogromnego sukcesu dzieli ich już naprawdę niewiele... Jed był całkowicie pewien: człowiek, który kierował jego muzyczną karierą, właśnie się poddał.

Rozległo się głośne westchnienie. Stan popchnął plastikowy kubek z piwem na środek stołu. – Twój ojciec był wrażliwcem o wielkim sercu. Ludzie przychodzą, żeby cię zobaczyć, ponieważ naprawdę go kochali. Ale nie chcą słuchać, jak pierzesz brudy w swoich piosenkach. Przykro mi, Jed.

To zabawne, jak coś tak prawdziwego może się obrócić przeciwko człowiekowi. Wcześniej Stan i pracownicy wytwórni byli podekscytowani tym, że gra dla nich *syn Kinga*. A teraz menedżer za brak sukcesów Jeda winił piosenkę, która była, jego zdaniem, szczerą do granic i niewinna. Stan i ludzie z wytwórni traktowali Jeda po prostu jako kolejne dorosłe dziecko wściekające się na swojego rodzica. Najpierw związali się z nim z powodu tej piosenki, by teraz pozbyć się go właśnie przez nią. To rozzłościło Jeda jeszcze bardziej.

Stan wyciągnął z kieszeni wizytówkę i wręczył ją Jedowi. – Ale mam dla ciebie mały prezent na pożegnanie. Obok Sharon jest winnica, której właściciele co roku jesienią organizują duży festiwal. Potrzebują muzyka. Dobrze płacą. A to tylko trzydzieści minut drogi stąd. I nie musisz mi płacić.

– Mówisz poważnie?!

– Tak, całkiem poważnie.

Jed wziął wizytówkę i przedał ją na pół, a potem jeszcze raz, i rozrzucił kawałki na metalowym stole.

– Jestem mostem. Jestem cały w ogniu. – Stan pochylił się w jego stronę. Jed poczuł jego kwaśny oddech. – Doceń to.

– Lepiej już idź – powiedział cicho Jed.

Stan podniósł obie ręce i wygramolił się zza stolika.

– Z największą przyjemnością.

Jed miał ochotę pobiec za mężczyzną i uderzyć go. Albo chwycić gitarę i rozbić ją na głowie Stana. Zbić instrumentem szybę w barze. Menedżer odszedł, jakby uciekał od jakiejś panny sprzed ołtarza. Jakby Jed był nikim. Jakby uścisk dłoni nie miał żadnego znaczenia.

Jed wstał i ruszył za Stanem. Próbował znaleźć w głowie ostre słowa, które mogłyby zranić jak nóż. Ale nagle się zatrzymał. Odwrócił się i podszedł do stolika. Sięgnął po strzępy wizytówki. Z trudnością odczytał: *Winnica Jordanów*. Chwycił gitarę i wrzucił wszystkie kawałki kartonika do jej środka.

Postanowił wyjechać z miasta – jak najdalej od światła, na pustkowie, gdzie będzie mógł popatrzeć w gwiazdy. Wyłączył muzykę. Słuchał świerszczy i żab, sielskich odgłosów Kentucky. Obserwował świetliki i gwiazdy, coraz jaśniejsze na ciemnym niebie.

To Jahwe [kieruje] krokami człowieka, bo i jakże człowiek mógłby pojąć swą drogę?

– Boże, żeby to była prawda! – modlił się Jed. – Muszę wierzyć, że kierujesz moimi krokami. Myślę, że mam dar. Myślę, że nie chcesz, bym go zmarnował. Ale być może nie podążam we właściwym kierunku. Nie chcę sławy ojca. Widziałem, co ona może zrobić z człowiekiem. Może przysporzyć jedynie cierpienia. Potrzebuję czegoś więcej niż sławy, pieniędzy i sukcesu.

Przy drodze stał stół piknikowy. Jed położył się na nim, podłożył sobie ręce pod głowę i wpatrywał się w niebo. – Wierzę, że masz dla mnie lepszy plan, niż ja sam jestem w stanie wymyślić. Dałeś mi dar i jeśli chcesz, abym go wykorzystał na Twoją chwałę, zrobię to. Jeżeli natomiast pragniesz, bym kopał rowy, będę kopał rowy i włożę w to całe swoje serce. A może chcesz, żebym pracował na budowie? Albo robił jeszcze coś innego? Cały oddaję się Tobie, Panie. Nie godzę się na to, by ludzie z wytwórni i menedżer dyktowali mi, jak mam kierować swoim życiem. Sukces to nie liczba sprzedanych płyt, lecz podążanie za Tobą – tak blisko, jak tylko się da. Pokażesz mi, jak to zrobić?

siedem

Następnego dnia Rose odkleiła ogłoszenia z okien sklepów i usunęła informacje o występie Chada Houstona z internetu. Ostatnią rzeczą, której by sobie życzyła, było to, żeby ludzie przyszli na jego koncert i musieli wysłuchać kogoś innego. To nie byłoby fair. Żałowała, że Denise nie dała jej numeru do Jeda Kinga. Wtedy mogłaby sama do niego zadzwonić. Jedyne kontakty, jakie wyszukała w internecie, to numer jego menedżera, Stana Russela.

Musiała po prostu czekać i mieć nadzieję, że Stan dotrzyma obietnicy. Nie chciała mówić ojcu o zmianie piosenkarza, ponieważ wiedziała, jak zareaguje – skrzywi się i powie: *No to niezły ubaw!* Potem poklepie ją po ramieniu, ale pomyśli sobie, że sam powinien się tym zająć. Rose nie cierpiała udowodniać ojcu, że naprawdę potrafi prowadzić winnicę i się do tego nadaje.

Odszukała wiadomość od Denise z notką biograficzną Jeda Kinga i przyjrzała się jego zdjęciu. W rękach miał gitarę ze znakiem korony. Patrzył w dal. Jego chłopięca twarz – szczupła, kształtna, jakby wyrzeźbiona – wydawała się taka niewinna! Miał ciemne włosy i przeszywający wzrok. Od całej jego postaci bił jakiś smutek czy może melancholia, która sprawiała, że Rose zrobiło się go żal. Ubrany był w wypłowiały T-shirt i dżinsy. Wydawał się mówić: *Właśnie taki jestem i nie obchodzi mnie, co myślisz.* Był do kogoś podobny... Hmm, może do jakiejś gwiazdy, która grała kiedyś piosenkarza country w filmie? Zaraz, jak ten facet z długimi włosami i pięknym uśmiechem się nazywał?

Zadzwonił telefon. Nawet nie spojrzała na numer. Byłby to niezły zbieg okoliczności, gdyby Jed zatelefonował do niej właśnie wtedy, gdy przypatrywała się jego zdjęciu.

– Cześć, Rose – usłyszała głos Eddiego. Poczula, że jej ciało przeszywa dreszcz. Nie była pewna, czy to dobrze, czy źle.

– Cześć, Eddie.

– Co porabiasz? Myślisz o mnie?

– Pewnie. Bez przerwy.

– Właśnie to chciałem usłyszeć.

– I pracuję nad festiwalem.

– Pieczesz ciasteczka? – Była pewna, że nie miał zamiaru jej urazić tą uwagą i swoim śmiechem. Cóż, niektórzy mężczyźni ciągle myślą o dziewczynach jako o pomocach kuchennych. *Wracaj do kuchni i garnków, kochanie!* Ale Eddie nie był taki. Nie mógł być.

– Zawalił nasz artysta. Złamał nogę i nie może przyjechać.

– I co zamierzasz zrobić?

Powiedział to, ziewając, ale pewnie po prostu był zmęczony. Zamknęła oczy

i wyobraziła sobie jego ciemne włosy i oczy, które przeszywały człowieka na wy-
lot. Eddie potrafił być poważny, ale lubił też dobrą zabawę.

– Próbuję załatwić innego gościa.

– No tak. Ja to mam szczęście!

– Co takiego?

– Próbujesz sobie załatwić innego gościa. Ja to mam szczęście!

– Eddie!

– Ale poważnie, Rose. Jeśli jesteś zainteresowana kimś innym, po prostu mi
o tym powiedz.

– O czym ty mówisz? Nie ma nikogo innego. Wiesz, co do ciebie czuję.

– Nie. Nie wiem. Za każdym razem, kiedy się do ciebie zbliżam, odpychasz
mnie. Za każdym razem, kiedy próbuję ci udowodnić, co ja do ciebie czuję, od-
suwasz się daleko. Nie rozumiem, dlaczego nie chcesz, żebym cię kochał.

– Chcę, żebyś mnie kochał. Tylko nie w ten sposób. Jeszcze nie.

Rose usłyszała w słuchawce westchnienie podszyte poirytowaniem. W tej sa-
mej chwili jej ojciec wszedł do domu i zawołał ją.

– Rozmawiam przez telefon, tato! – odkrzyknęła.

– Dobrze. Kiedy skończysz, zejdź na obiad.

Zamknęła drzwi i znowu usiadła przed komputerem. Popatrzyła w okno.
Wieczór był jej ulubioną porą. Uwielbiała przyglądać się winnicy, ziemi skąpanej
w miękkim świetle zachodzącego słońca, stawowi u podnóża wzgórz, który mienił
się złotem.

– Tata wrócił do domu – powiedziała do Eddiego.

– Jutro kilka osób spotyka się nad jeziorem Barkley. Mój wujek ma tam do-
mek. W pobliżu są park, stoliki, siatka do gry w piłkę i mała plaża. To naprawdę
ładne miejsce. Spokojne. Zapowiada się dobra zabawa. Ale żadnych nacisków z
mojej strony.

– A kto tam będzie?

Wymienił kilka nazwisk osób, których w ogóle nie знаła, oprócz jednego
chłopaka widywanego w kościele. – Moglibyśmy spędzić cały dzień nad jeziorem,
a potem poobserwować gwiazdy z domku mojego wujka. Możemy pooglądać fil-
my. Albo po prostu pogadać. Chcę z tobą być, Rose.

– To brzmi nieźle – odpowiedziała. Naprawdę tak myślała. W towarzystwie
Eddiego zawsze było wesoło.

– Moglibyśmy zabrać jakąś butelczynę wina twojego taty. I popływać łódką
po jeziorze.

Zamknęła oczy. Wyobraziła sobie jezioro i drewniany domek. Dobrze było-
by oderwać się od tych wszystkich stresów, choćby na jeden dzień. Zostawić za
sobą smutki i zmartwienia.

– I co powiesz, Rose?

Jej komórka zabręczczała. Spojrzała na ekran, na którym wyświetlił się numer zaczynający się od 502.

– Eddie, czy mógłbyś chwilę poczekać? Wydaje mi się, że dzwoni ten nowy piosenkarz.

Znów głębokie westchnienie. – Pewnie. Poczekaam.

Wcisnęła guzik i powiedziała drżącym ze zdenerwowania głosem: – Dzień dobry, z tej strony Rose.

– Cześć, Rose. Tu Jed King. Czy pracujesz w...? – Mała przerwa, jakby miał problem z przeczytaniem informacji. – ... w winnicy Jordanów?

– Zgadza się, proszę pana. Miałam nadzieję, że pan zadzwoni.

– Szukacie kogoś, kto wystąpiłby na waszym festiwalu?

– Festiwalu plonów. Tak, wszystko się zgadza.

– Czy mogę zapytać, dlaczego tak długo zwlekaliście ze znalezieniem artysty?

– Cóż, jeśli mam być szczerą, to wcześniej już się z kimś umówiliśmy, ale niestety piosenkarz miał wypadek na nartach wodnych.

– Chodzi o Chada?

– Zna go pan?

– Grałem z nim kilka razy tutaj, w Louisville. To dobry człowiek. Chociaż niezbyt dobry narciarz wodny.

– Najwyraźniej! Dlatego zrobiło się miejsce i bardzo liczymy na to, że pan będzie mógł do nas przyjechać.

– Cóż, muszę sprawdzić terminarz, pogadać z moimi ludźmi i dowiedzieć się, czy sekretarka nie zaplanowała już dla mnie czegoś wcześniej.

Poczuła, że słabnie. – Ach... No cóż... A kiedy będzie pan gotów mnie poinformować, czy...

– Żartuję. Nie mam żadnych swoich ludzi. Żadnej sekretarki. I chyba nawet nie mam terminarza. Zagram dla was.

– Naprawdę? – Uśmiechnęła się od ucha do ucha. – To świetnie! Z pewnością ma pan kontrakt, w którym są uwzględnione wszelkie wymagania dotyczące jedzenia, sprzętu i wszystkiego, czego pan potrzebuje. Czy może mi go pan przesłać?

– Nie potrzebuję kontraktu. Moje słowo i twoje słowo znaczą dla mnie tyle co kontrakt.

– Dziękuję.

– Przyjadę godzinę przed koncertem, żeby zainstalować się na scenie. Przypuszczam, że koncert będzie wieczorem. Około siódmej?

– Tak. Proszę przyjechać wcześniej. Zapraszamy na kolację.

– Brzmi super. Zabiorę ze sobą gitarę, bandžo i stół, na którym chciałbym rozłożyć swoje płyty CD do sprzedaży. Może tak być?

– Oczywiście. Jeśli będzie pan chciał, mogę zorganizować kogoś do pomocy.
– Byłoby fajnie. Potrzebuję jedynie działających głośników i mikrofonu. Piosenki przywiozę ze sobą – zażartował.

– W porządku. Świetnie. W takim razie do zobaczenia siódmego października.

– Chwileczkę! Siódmego?! Myślałem, że chodzi o tę sobotę!

– Czy to jest problem?

– Tylko taki, że będę musiał poczekać jeszcze trochę, by dla was zagrać. Do zobaczenia siódmego.

Rose nie mogła powstrzymać uśmiechu. Jed King był kimś zupełnie obcym, ale budził zaufanie. Wydawał się miły. I zwyczajny. Inny niż artyści, o których słyszała.

Rozłączyła się i natychmiast przypomniała sobie o Eddiem. Wcisnęła guzik, ale nikt się nie odezwał. Szybko wybrała ponownie numer. Telefon zadzwonił, zanim zdolała się połączyć.

– Nie mogę uwierzyć, że się ze mną rozłączyłaś! – krzyknął Eddie.

– Nie rozłączyłam się przecież. Rozmawiałam z nowym piosenkarzem.

– Jak on się nazywa?

– Eddie, to nieważne.

Znów westchnienie. – Rosie, zgódź się na jutrzejszy wyjazd. Pomyśl o jeziorze, domku. Tylko tego pragnę.

– Ale to naprawdę nieźle brzmi.

– Będzie świetnie. Wyjedziemy wcześniej rano, a wrócimy późnym wieczorem. Uprzedź tatę.

– Muszę rozwieźć ulotki do sklepów.

– Możesz to zrobić w sobotę. Rosie, nie daj się prosić. Tylko jeden dzień.

– No dobrze. Przyjedź po mnie jutro rano.

– Super! Och, będziemy się dobrze bawić. Nie będziesz żałować.

Kiedy powiedziała siedzącemu nad zimnym kurczakiem i purée ziemniaczanym ojcu, że spędzi dzień z Eddiem, wydał z siebie jęk. Na jego czole, tuż nad lewym okiem, była taka zmarszczka. Pojawiała się zawsze wtedy, kiedy nawalił traktor albo jakiś młokos w rozpedzonym samochodzie uszkodził stojącą przy drodze skrzynkę na listy. Pokazała się i teraz. Rose zauważyła, że na twarzy taty można dostrzec efekty upływu czasu. Kiedy była mała, wydawał się jej taki silny i młody! Ale śmierć mamy, wyprowadzka chłopców i ciężar tych wszystkich lat odcisnęły swoje piętno.

– Wiem, że trudno ci się pogodzić z moją dorosłością i podejmowaniem własnych decyzji... – zaczęła niepewnie.

Oderwał kawałek bułki, uniósł go jak hostię, obrócił w palcach i przyjrzał mu się uważnie przed włożeniem do ust. Kiedyś delectował się dobrym jedzeniem.

Rose pamiętała, że mama w niedziele i święta kładła na stole obrus. Gumowy kurczak i purée z proszku były dalekie od tego, co wtedy jadali, ale przywykli już do takich posiłków.

– Myślisz, że Eddie nie jest dobrym wyborem... – odezwała się Rose.

Odłożył nóż i wytarł rękę z tłuszczu. – A ty jak myślisz, Rose?

– Myślę, że jest miły i przystojny. Ma dobre serce i naprawdę lubi moje towarzystwo.

– Twoje towarzystwo?

Pozwoliła temu pytaniu wybrzmieć w ciszy. Zastanawiała się, czy ojciec nie wie przypadkiem o Eddie'ciu więcej, niż sądziła. – Jest dobrym człowiekiem, tato. Nie jest taki jak inni.

– Jesteś pewna?

Przyglądał jej się jasnoniebieskimi oczami. Nagle zdała sobie sprawę z tego, że powiedziała to bardziej dla siebie niż dla niego, raczej po to, by przekonać własne serce, niż uspokoić tatę.

– Udało mi się dzisiaj znaleźć nowego piosenkarza – zmieniła temat.

– Ale ten nie jeździ na nartach wodnych, co?

Uśmiechnęła się szeroko. – Dowiedziałeś się?

Zignorował jej pytanie. – Co śpiewa?

– Nie jestem pewna. Chyba country. Mówią, że jest dobry. To Denise go zaproponowała.

– Wynajmujesz faceta, chociaż nie wiesz, co śpiewa?

– Po prostu ufam Denise. A poza tym mamy naprawdę niewiele czasu.

– Mam nadzieję, że to nie jest jakiś knajpiany artysta. No wiesz, typ: *upijmy się wszyscy razem na umór dziś wieczorem*.

– Denise mówi, że on śpiewa o Bogu i wielu ważnych sprawach... – Głos Rose zadrżał. Nagle poczuła się znowu jak mała dziewczynka albo nastolatka, na którą tata patrzy z dezaprobatą z powodu makijażu lub tego, ile wydała na fryzjera.

– Wiem, że nie masz do mnie zaufania w tych kwestiach, ale...

– Podpisałaś z nim kontrakt?

– Powiedział, że go nie potrzebuje. Że jego słowo jest jak kontrakt.

Ojciec odsunął talerz, zmiął serwetkę i rzucił ją na stół. – Rose, nie chciałem cię urazić. Nie odczytuj tego w ten sposób. Ufam ci. Wiesz, że staję się trochę nerwowo, kiedy zbliża się festiwal.

– Nie musimy go organizować. Możemy go sobie odpuścić w tym roku.

– Nie możemy tego zrobić twojej mamie.

– Mamie?

– Przyrzekłem jej coś. Wiesz o tym.

Słyszała już tę historię tysiące razy. – Opowiedz mi to raz jeszcze – poprosiła.

– Przynależem jej, że każdego roku zorganizujemy coś, co będzie świętem życia. Wino jest symbolem życia. Sama wiesz.

Wiedziała to aż za dobrze.

– Twoja mama nie cierpiała tego, że podejmowanie decyzji trwa u mnie tak długo. Nie lubiła rozważania wszystkich za i przeciw. Zestawień kosztów i ryzyka, no i zastanawiania się, co ludzie powiedzą. Ciągłego zamartwiania się o pieniądze. Uważała, że takie życie wcale nie jest życiem, tylko paralizem. Więzieniem.

Rose nigdy nie słyszała, żeby tata mówił w tak filozoficzny sposób o życiu.

– Zrozumiałem to dopiero wtedy, gdy umarła. Pojąłem, że uchylanie się od zrobienia kolejnego kroku do przodu w życiu, od trudnych i niewygodnych decyzji nie jest prawdziwym życiem. Powiedziałem sobie, że się zmienię. Organizowanie festiwalu każdego roku jest dla mnie takim małym symbolem tej zmiany.

Rose pogładziła go po dłoni, a jej oczy napełniły się łzami. – To będzie najlepszy festiwal, jaki się do tej pory odbył.

Uśmiechnął się do niej. – Pamiętaj, miej Eddiego na oku. Słyszysz?

W drodze do domku Eddie włączył radio. Słuchali jego ulubionej porannej audycji. Prowadzący naśmiewał się z celebrytów i dzwoniących. Jego poczucie humoru było dość okrutne, a żarty sprośne. Mimo to Eddie wydawał się dobrze bawić. Co chwila zanosił się śmiechem i uderzał dłonią w kierownicę. Kiedy dotarli nad jezioro, stało tam już kilka samochodów. Rzucano frisbee i grano w siatkówkę. Jakaś grupka stała pod daszkiem i rozpaliała grilla.

Eddie wjechał na parking i wyłączył radio.

– Dlaczego milczysz?

– Myślę.

– O czym?

– O festiwalu. O tacie.

– Nie lubi mnie za bardzo.

– Nie lubi nikogo, kto zaczyna się mną interesować.

– Jeśli o mnie chodzi, nie musi się denerwować. Jestem prawdziwym dżentelmenem. – Wyciągnął rękę, złapał ją za kolano i delikatnie je pogładził. – Chodźmy. Rozerwiemy się trochę.

Rose nie знаła prawie żadnego z zaproszonych na piknik ludzi. Eddie zaciągnął ją na boisko do siatkówki, chociaż wcale nie chciała grać. Stała przed siatką. Naprzeciwko ustawiła się Kristen. Rose wiedziała, że dziewczyna jest zainteresowana Eddie. Kristen głośno się śmiała i podskakiwała w ciasnych szortach i koszulce, która wydawała się na nią o kilka rozmiarów za mała.

Kristen spojrzała na Rose. Jej twarz rozjaśnił uśmiech. – Cześć, Rose, udało ci się przyjechać!

Jakby wiedziała, że Rose ma tu być. Co jeszcze wiedziała?

– Cześć, Kristen – odpowiedziała Rose. Ktoś z drużyny Kristen zaserwował.

Piłka wylądowała na piasku tuż obok Rose.

– Powinnaś ją odebrać! – krzyknął Eddie.

Następny serw skończył się uderzeniem w siatkę i piłka spadła przy stopach Kristen. Dziewczyna podniosła ją, podrzuciła, a potem podała Rose.

– Teraz twoja kolej.

Rose próbowała zaserwować, ale piłka poszybowała gdzieś w bok.

– Spróbuj jeszcze raz! – zawołał Eddie.

– Tak, zobaczmy to ponownie! – zaśmiała się Kristen.

Rose próbowała skoncentrować się na piłce. Podrzuciła ją i zamachnęła się, ale piłka znów poleciała w bok. Rose usiłowała nie patrzeć na innych graczy. Ciągłe słyszała śmiech Kristen. Resztę meczu spędziła na próbach unikania piłki.

– Tak, bardzo się starałaś – stwierdził Eddie po skończonym meczu. – Nic się nie stało. Chodźmy coś zjeść.

Wszyscy rozsiedli się przy stołach piknikowych. Zajadali się hamburgerami i hot dogami. Były słodkie napoje i mnóstwo piwa. W miarę upływu czasu impreza stawała się coraz głośniejsza. Z otwartego jeepa ryczała muzyka, słychać było też śmiechy.

– Nie chcę tu dłużej być – powiedziała Rose do Eddiego.

– W porządku. Możemy się przenieść do domku mojego wujka.

Powiedział wszystkim, że się zmywają. Kiedy znaleźli się w samochodzie, poczuła się lepiej. Gdy odjeżdżali, Rose dostrzegła ostre spojrzenie Kristen, stojącej pod zadaszonym grillem.

Im bardziej oddalali się od zabudowań, tym okolica była piękniejsza. Liście zmieniły już barwę, ale jeszcze nie opadły. Mieniły się wszystkimi możliwymi kolorami.

Domek stał po drugiej stronie jeziora, na małym wzniesieniu. Prowadziły do niego piaszczysta droga, wzdłuż której rosły drzewa, i długi, wyłożony drewnem podjazd. Domek zbudowano na planie litery A. Eddie musiał odryglować ciężkie drzwi. Na górze znajdował się loft. W kuchni Rose dostrzegła granitowe blaty, piecyk i ogromną lodówkę, jak się okazało – wypchaną jedzeniem. Drewniane podłogi błyszczały w świetle zachodzącego słońca.

– Tu jest wspaniale! – zachwyciła się Rose. Stała przy oknie i patrzyła na połyskującą taflę jeziora. – Twój wujek musi być bogaty.

– Jest budowlańcem. Użył materiałów, które zostały mu po wielkiej budowie w Nashville. Jakiś magnat komputerowy budował sobie dom w Brentwood. Wiesz, z tyłu domku są małe kaskady. – Eddie stanął przed Rose, zasłaniając jej widok. – Ale dom i jezioro wcale nie są tu najpiękniejsze.

Rose zaczerwieniła się i spytała: – Ma jeszcze łódź?

Eddie się roześmiał. – Nie mam na myśli łodzi. To, co tutaj najpiękniejsze, stoi właśnie przede mną. – Położył dłonie na ramionach dziewczyny i spojrzał jej w oczy. – Jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką w życiu widziałem. Wiem, że nie zawsze potrafię się odpowiednio wyrazić. I boję się, że tak naprawdę mnie nie lubisz.

– Ależ ja cię lubię, Eddie!

Nachylił się, żeby ją pocałować. Po kilku sekundach Rose oswobodziła się z jego objęć. – Może pójdziemy na spacer nad jezioro? – zaproponowała.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł. O tej porze jest mnóstwo komarów. Ale na patio jest jacuzzi. Chodźmy.

Chwycił ją za rękę i poprowadził na zewnątrz. Po chwili zaczął ściągać plandekę przykrywającą jacuzzi. Kiedy ją zwijał, Rose zeszła na mały pomost służący do cumowania łodzi. W głowie miała różne myśli. Podobało jej się to, że była adorowana, ale nie sprawiała jej przyjemności presja ze strony Eddiego.

– Co robisz? – spytał Eddie, wchodząc na pomost.

– Myślę, że powinniśmy wracać do domu.

– Przecież dopiero co tu przyjechaliśmy! – stwierdził Eddie. – Chcę przygotować dla ciebie kolację. I oglądać razem gwiazdy.

– Ale to oznacza, że będziemy wracać późno w nocy!

– Może powinniśmy więc spędzić noc tutaj?

– Eddie, daj spokój...

Podszedł do niej, a ona się cofnęła. Jej stopy znalazły się niebezpiecznie blisko krawędzi pomostu. Położyła ręce na piersiach Eddiego, żeby nie wpaść do wody.

– Piękna Rose! – wyszeptał Eddie. – Bez żadnych kolców...

– Nie byłabym tego taka pewna...

Pochylił się nad nią. Poczula zapach miętówek, które jadł podczas jazdy. – Tylko jeden mały pocałunek. Przecież nie zaszkodzi, prawda?

Pewnie nie. Doskonale wiedziała, że nie zaszkodzi. A wręcz przeciwnie – będzie przyjemny. Poza tym nie mogła się już dalej odsunąć. Pozwoliła się pocałować. Pocałunek był spokojny i namiętny. Rose poczuła, że zaczyna się poddawać. Objęła Eddiego, a on mocniej przyciągnął ją do siebie. W tym momencie straciła równowagę. Krzyknęła, złapała go za szyję i razem wpadli do wody.

– Zrobiłeś to specjalnie! – stwierdziła, kiedy wynurzyła się z wodorostami we włosach i piorunami w oczach. Z trudem łapała powietrze.

Eddie roześmiał się głośno. – To ty mnie wciągnęłaś!

Podpłynęła do pomostu i podciągnęła się na rękach. Wiał silny wiatr. Rose poczuła chłód. Pobiegnęła do domu, zostawiając za sobą mokre ślady. Eddie zaproponował, żeby wyprali swoje rzeczy.

– Nie ma mowy! – rzuciła kategorycznie.

– Spokojnie. W sypialni są szlafroki. Zdejmij mokre ciuchy, a ja je szybko

wypiorę.

Wręczył jej gruby szlafrok, taki jak te, które widywała w reklamach luksusowych spa. Poczowała się tak, jakby wtulała się w miękką owieczkę. Kiedy wyszła z pokoju, ciasno owinięta szlafrokiem, ujrzała Eddiego z gołą klatką piersiową. Miał na sobie jedynie ręcznik.

– Muszę wziąć prysznic po tej brudnej wodzie z jeziora. Chcesz się do mnie przyłączyć?

– Nie.

– W takim razie pocałuj mnie jeszcze raz.

Ale tym razem było w jego oczach coś jeszcze. Ogień. Determinacja.

Rose przeszła obok niego i skierowała się do pralni. Zamknęła za sobą drzwi, wypłukała swoje rzeczy, wycisnęła je w rękach i wrzuciła do wirówki.

– Może ci pomóc? – zawołał Eddie.

– Nie. Poradzę sobie – odpowiedziała. Czowała, że jej żołądek obraca się niczym rzeczy w wirówce. Dopiero teraz zaczęła dostrzegać, że w tym wszystkim wcale nie chodziło o Eddiego. Chodziło o nią, o uczucia, które w niej wrzały. Przez cały czas próbowała je w sobie zdusić.

Po chwili usłyszała odgłos wody spływającej z prysznicza. Wyciągnęła swoje rzeczy i założyła, chociaż nadal były wilgotne. Wyszła tylnymi drzwiami. Ruszyła w kierunku szosy tą samą drogą, którą przyjechali. Pół godziny później podjechało do niej auto Eddiego.

– Rose, wsiądź do samochodu!

– Nie rozkazuj mi!

– To głupie! Zamierzasz wracać na piechotę? Co takiego zrobiłem?

– Eddie, nie sądzę, byśmy do siebie pasowali. Jesteśmy zupełnie inni.

– Chciałem tylko, żebyśmy miło spędzili czas. Jesteś taka piękna! Co ja na to poradzę?

– Och, możesz sobie z tym poradzić. Nie jesteś nastolatkiem, który nie kontroluje hormonów. Jesteś dorosłym mężczyzną. I powinieneś słuchać, kiedy mówię...

– Rose, daj spokój! – przerwał jej. – Pozwól się podwieźć. Jeśli chcesz, możesz usiąść z tyłu. Będę twoim szoferem.

Zatrzymała się i odwróciła. Eddie wyskoczył z samochodu i otworzył tylne drzwi. – Nie ruszę się stąd bez ciebie. Chociażby dlatego, że twój ojciec by mnie zabił. Spójrz na słońce, już zaszło. Za dwadzieścia minut zrobi się zupełnie ciemno.

Rose miała w torebce telefon, ale pewnie i tak nie złapałaby tu zasięgu – znajdowali się na prawdziwym odludziu. Na drodze nie było innych samochodów. I rzeczywiście robiło się ciemno.

Wsiadła do auta. Przez dziesięć minut jechali w milczeniu. Potem Eddie włączył radio i słuchał audycji. Rose wlepiała wzrok w szybę. Poczowała płynącą po po-

liczku łzę.

Żadne z nich nie odezwało się do końca drogi.

Kiedy zatrzymali się przed jej domem, Eddie zapytał: – Chyba nie bierzesz tego wszystkiego na poważnie?

– Biorę to na poważnie. Jeśli nie masz szacunku do tego, co chcę...

Eddie parsknął. – Mówisz, że zachowuję się jak nastolatek, ale z nas dwojga to ty musisz dorosnąć, Rose.

Wyskoczyła z samochodu i trzasnęła drzwiami.

Eddie odkręcił szybę i krzyknął: – Znajdę sobie prawdziwą kobietę, która będzie wiedziała, jak udowodnić, że mnie kocha! Bo z tobą już skończyłem!

Po chwili samochód Eddiego z rykiem odjechał. Rose, potykając się, wbiegła do domu.

– Rose, co się stało?! – spytał zaniepokojony ojciec.

Zbyt mocno płakała, żeby mu odpowiedzieć.

Jed regularnie rozmawiał ze swoją mamą. Zawsze prosiła, żeby ją odwiedził, jeśli znajdzie czas. Oddalali się od siebie. Był to naturalny proces, a jednak Jed słyszał w jej głosie ból – najpierw straciła męża, a potem syna, który wiódł niezależne życie. Dzień przed koncertem w winnicy Jordanów zaskoczył ją wizytą. Zjedli razem lunch i rozmawiali na bezpieczne tematy. Powiedział jej o występie, o tej miłej wiejskiej imprezie. I o tym, że nie ma specjalnych oczekiwań. Wtedy zamilkła.

– Co jest? – zapytał Jed.

– Nie chcę, abyś czuł, że musisz się mną opiekować.

– Wcale nie czuję, że muszę. Chcę, byś była obecna w moim życiu.

– Chciałabym być dla ciebie podporą w twoich dążeniach. Nie chcę ci stawać na drodze.

– Pewnie słyszałaś o Stanie? Że się mnie pozbył?

Kiwnęła głową. – To była decyzja ludzi z wytwórni.

– O tym też wiesz?

Wytarła usta serwetką i spróbowała słodkiej herbaty. – Zadzwoił do mnie po rozmowie z tobą. Martwi się, wiesz?

– Jeśli tak się martwi, to dlaczego mnie nie zatrzymał? Tak postąpiłby przyjaciel.

– To jest biznes, Jed, a nie sprawa osobista.

– Ale wydaje się osobista.

Mama zamyśliła się na chwilę. Wyglądało na to, że sięga gdzieś do głębokich pokładów pamięci, odgrzebuje kolejne warstwy dawnych wydarzeń. – Jed, to wcale nie jest najważniejsza sprawa. Życie daje nam najbardziej w kość wtedy, kiedy najmniej się tego spodziewamy. Każdy tego doświadcza. Najważniejsze jest to, jak sobie z tym radzimy. Jak odpowiemy na wyzwania.

To tak jak w piosence taty, pomyślał Jed. Chodziło o zwrotkę piosenki z pierwszego albumu ojca, którą Jed śpiewał, kiedy uczył się grać.

Życie będzie miało swe nagłe zwroty

I nie będzie na ciebie czekać.

Musisz robić uniki, kluczyć i mocno trzymać się na nogach,

I próbować nie wypaść z raz obranej drogi.

– Myślałem, żeby wrócić do stolarki – powiedział po chwili. – Zrobić sobie przerwę od muzyki. Pisać i grać, ale poczekać, aż sprawy się same ułożą. Jest taka budowa, na której potrzebują...

– Jed, byłbyś świetnym stolarzem. Wiele się nauczyłeś od ojca. Ale nie do tego zostałeś stworzony. Wiesz o tym, prawda?

– Jesteś moją mamą. Musisz mówić takie rzeczy.

– Ja również występowałam. Śpiewałam z najlepszymi, a pozostałych oglądałam i słuchałam. Widziałam takich, którzy mieli *to coś*, i takich, którzy chcieliby *to* mieć. Ty masz naturalny talent, którego nie można się nauczyć. Nieuchwytny urok gwiazdy. Energię. I serce. Prawdziwą dobroć. Uda ci się bez zmieniania tego, kim jesteś.

– Tak myślisz?

– Jestem o tym przekonana.

– Zabawne, bo Stan powiedział, że właśnie tego wszystkiego mi brakuje. Serca. Pasji. Inspiracji. Powiedział, że moje piosenki... Jak on to ujął? Nikogo nie poruszają. Czy jakoś tak.

– Miał rację.

Jed spojrzał na nią i zmarszczył czoło. – Prawdziwa z ciebie podpora – rzucił.

Mama uśmiechnęła się do niego. – Zaszedłeś ze swoim talentem i muzyczną schedą najdalej, jak było można.

– Chcesz powiedzieć, że ludzie mnie słuchają, bo lubili muzykę taty? Stan też tak powiedział.

– Nie to miałam na myśli. Chcę powiedzieć, że doszedłeś do punktu, w którym musisz podjąć decyzję.

– O czym?

– Czy dobrze ci z tym, jaki sukces osiągnąłeś do tej pory. Czy to ci wystarczy, czy sięgniesz po coś więcej. I co rozumiesz przez sukces. Pierwsze miejsce na listach przebojów? Kolejny kontrakt? Dużo pieniędzy w banku?

– Tata wszystko to miał, a był nieszczęśliwy przez większość swojego życia.

– Właśnie. Czy to cię czegoś nauczy? Będzie dla ciebie dobrym nawozem?

Jed wyprostował się na krześle. Nie zrozumiał, o co chodziło mamie.

– Twój ojciec zwykł tak mawiać. Większość życia to gnój, nawóz. Sztuką jest nauczyć się poradzić sobie ze smrodem i zrobić użytek z tego, co z niego powstanie.

– Wiejski filozof.

Oboje się roześmiali, co rozluźniło napiętą atmosferę. Po chwili mama poruszyła kolejną delikatną kwestię.

– A jak tam twoje sprawy sercowe?

– Mógłbym cię zapytać o to samo – odparł przekornie.

Znowu się uśmiechnęła, ale tym razem smutno. – Po życiu, jakie wiodłam z twoim ojcem... Nie sądzę, żeby ktoś był w stanie go zastąpić. Jeśli Bóg planuje dla mnie coś takiego, jestem na to otwarta, ale nie proszę Go, by wypełnił tę pustkę kimkolwiek poza sobą.

– No dobrze.

– A co z tobą?
– Dałem sobie spokój z kobietami.
– Tak szybko? Zupełnie? Nieodwołalnie?
– W liceum chodziłem na poważnie z Janis. Ale bardzo się od siebie różniliśmy. A kiedy wyjechała na studia...

– A co z Tracy?
– Najśłodsza dziewczyna, jaką kiedykolwiek spotkałem. Nie pisała się jednak na życie, jakie mogłem jej zaproponować.

– Nie chciała być żoną stolarza?
Roześmiał się głośno. – Może gdybym został stolarzem, to byłaby zainteresowana.

– To czego ty szukasz?
– Nie spisałem tego. Nie istnieje żadna lista osiemdziesięciu cech, które powinna mieć moja dziewczyna...

– Ale skoro Janis i Tracy nie były odpowiednie, to musisz wiedzieć, o co ci chodzi.

Jed westchnął i odłożył widelec. – Przede wszystkim to ja muszę być odpowiedni. Ale chciałbym też spotkać dziewczynę, która umocniłaby moją więź z Bogiem znacznie bardziej, niż mógłbym dokonać tego sam.

– To może być trudne.
– Kiedy ją zobaczę, będę wiedział, że to ona.
– A niby skąd?

Zamyślił się na chwilę. Przez jego głowę przewijały się obrazy dziewczyny, której nigdy nie spotkał – z obłądną figurą i uśmiechem rozświetlającym ponure dni. Długie włosy czy krótkie – to akurat nie miało żadnego znaczenia.

– Rozpoznam ją, bo sprawi, że będę chciał zaśpiewać nową piosenkę.
– Tylko uważaj, abys nie narzucił jej jakichś niemożliwych do spełnienia standardów.

– Odpowiadam tylko na twoje pytanie.
– Chciałam powiedzieć, że jeśli szukasz kobiety, która ma być twoją inspiracją, uważaj, byś nie wywierał zbyt dużej presji. Inspiracja nie przychodzi z zewnątrz, tylko pojawia się, gdy przyglądasz się światu.

– Czy to też jedna z myśli naszego wiejskiego filozofa?
– Jego i moja. – Pochyliła się i położyła dłoń na jego dłoni. – Po prostu nie czekaj, by dziewczyna sprawiła, że twoje serce ożyje. To nie jej zadanie.

– Zabrzmiało jak słowa piosenki, prawda?
– Być może – odparła mama. – Ale przede wszystkim jakbyś wcale nie skończył z kobietami.

– Oczywiście, że skończyłem – odpowiedział z uśmiechem.

dziewięć

Grób Lily Jordan znajdował się na pagórku nad stawem na terenie ich posiadłości. Rodzinne cmentarze dają więcej intymności niż wielkie połacie ziemi z licznymi kamieniami nagrobnymi. Rose ucieszyła się, że tata nie zdecydował się pochować mamy w pobliżu winnicy. On również chciał tam kiedyś spocząć.

Wpatrywała się w myślnik wyryty pomiędzy datami urodzenia i śmierci matki. Ubolewała nad tym, jak niewiele czasu z nią spędziła. Mama zostawiła jej listy. Rose miała je otwierać co roku w dniu swoich urodzin, dopóki nie skończy dwudziestu jeden lat. Ale listy się już skończyły i Rose bardziej niż kiedykolwiek czuła, że jest sama.

Zanim odkryto, że mama choruje, rak piersi zaatakował już węzły chłonne. Mama trzymała się do urodzin Rose i jeszcze trochę po nich. W końcu choroba zwyciężyła i Lily Jordan przestała przypominać radosną kobietę ze zdjęć w albumach.

Rose pragnęła zapytać ją o tyle rzeczy! I tak wiele miała jej do powiedzenia! Często przychodziła na wzgórze, aby u grobu matki analizować swoje życie. Zdawała sobie doskonale sprawę z tego, że tak naprawdę wcale z nią nie rozmawia i nigdy nie otrzyma od niej odpowiedzi. Ale uspokajało ją samo mówienie na głos o własnych sprawach, choćby o tym, czego nie miała odwagi powiedzieć ojcu.

– Nie wiem, dlaczego tak mnie dręczy ta historia z Eddiem – stwierdziła, układając jaskry i żonkile, które zerwała rankiem. – On nie jest dobrym człowiekiem. Pewnie o tym wiedziałaś, kiedy widywałaś go w naszej podstawówce. Nie mam pojęcia, dlaczego dostrzeżenie tego zabrało mi tyle czasu. Nawet teraz, kiedy mam już tę świadomość, jakaś część mnie chce do niego wrócić. Ale dobrze wiem, że to byłoby głupie.

Rose wstała, podeszła do rosnącego w pobliżu dębu i usiadła pod nim. Lekki wiaterek poruszał gałęziami nad jej głową.

– Wiem, co teraz byś powiedziała. Wystarczająco wiele razy przeczytałam twoje listy. *Bądź taka, jaką Bóg chciałby, żebyś była. I biegnij ku Niemu. Jeśli ktoś za tobą nadaży, zapytaj go o imię.* Sądziłam, że tym kimś będzie Eddie – przecież od dziecka chodził z nami do kościoła. Ale tata mówi, że samo chodzenie do kościoła wcale nie czyni z człowieka lepszego chrześcijanina niż... – zamilkła. – Wiesz, co on mówi. Nie muszę ci tego powtarzać.

Wpatrywała się w kamienny nagrobek. Któregoś dnia obok mamy spocnie ojciec... Ta myśl przyprawiała ją o dreszcze. Po śmierci mamy możliwość utraty ojca budziła w niej paraliżujący strach. Chciała być z tatą przez cały czas. W szkole stale czuła niepokój. A jeśli coś mu się stanie? Ale – podobnie jak „Scout” Finch w *Zabić drozda* – musiała pogodzić się z koniecznością nauki. A tata obiecał, że nie

umrze.

Kiedyś nauczycielka w szkółce niedzielnej opowiedziała zebranym historię o Łazarzu. Rose przeprosiła, pobiegła do łazienki i zaczęła rozpaczliwie płakać. Później kobieta zaprosiła ją na herbatę. Zaczęła wypytywać Rose o jej mamę, co zaskoczyło dziewczynkę, bo wszyscy znajomi unikali rozmów na ten temat. A Rose chciała rozmawiać, chciała pamiętać. Połowa jej strachu dotyczyła właśnie tego, że zapomni o mamie.

– Nie mam dobrego wytłumaczenia tego, co się stało – zaczęła nauczycielka.
– Jeśli naprawdę chcesz wiedzieć, to myślę, że śmierć jest do bani.

– Jedna z pań w kościele powiedziała, że wszystko, nawet śmierć kogoś, kogo się kocha, obraca się w dobro – wyszeptwała Rose.

– Kto tak powiedział?

– Pani Bailey. – Była to nieco sztywna, ale porządna kobieta. Miała wręcz encyklopedyczną wiedzę o Piśmie Świętym.

– Najgorsza rzecz, jaka zdarzyła się w jej życiu, to złamany paznokieć – zachnęła się nauczycielka. – Ta kobieta żongluje wersetami z Biblii, jakby podrzucała piłki w softballu. Te prawdy nie są naklejkami ze sloganami czy plakietkami, które rozdaje się cierpiącym ludziom. A ty się nieźle nacierpiałas, dzieciaku. Czy kiedykolwiek złościłaś się na Pana Boga?

– Nie.

– Wiesz, gdzie trafisz, jeśli będziesz kłamać, prawda?

Rose uśmiechnęła się do niej.

– Przed Bogiem nie musisz udawać. Poczytaj sobie Księgę Psalmów. Udawanie oznacza oszukiwanie zarówno siebie, jak i Boga w prawdziwym życiu, a właśnie takie On pragnie ci dać. Wyrzuc z siebie wszystkie uczucia i poproś Go o pomoc, która przyniesie ci ulgę.

– Czy mama umarła, bo zrobiłam coś złego?

Nauczycielka zmrużyła oczy i posmutniała. – Chyba tak nie myślisz?

– Przyszło mi to do głowy.

– Rose, to nie twoja wina. W żadnym wypadku Bóg cię nie karze. Cierpisz, a On na to pozwala – nie sędzę, żebyś uzyskała jakiegokolwiek wytłumaczenie tego po tej stronie nieba. Ale pomyśl sobie tak: ten sam Bóg, który pozwolił mamie opuścić ten świat, nigdy mnie nie opuści.

– To już wolałabym mamę z powrotem – odparła Rose.

– Rozumiem – odrzekła nauczycielka. – To jest szczerze i prawdziwe, choć gdyby uczyła cię pani Bailey, pewnie wyleciałabyś za te słowa z lekcji.

– Skąd pani to wszystko wie?

– Straciłam mamę, kiedy byłam mniej więcej w twoim wieku. Męczyłam się przez wiele lat. Uciekłam od Boga. Zagłuszałam uczucia. Ale dzięki dobroci Pana wróciłam do Niego. I myślę, że pozwolił mi przejść przez to wszystko, abym mo-

gła pocieszać innych – na przykład ciebie.

Teraz, nad grobem mamy, Rose dziękowała Bogu za ludzi, którzy pomogli jej przetrwać tamten czas wypełniony bólem.

– Mamo, zawsze powtarzałaś, że dobre rzeczy przychodzą do ludzi, którzy potrafią czekać – wyszeptała. – Zatem będę musiała jeszcze poczekać na odpowiedniego mężczyznę. A jeśli się nie pojawi, przynajmniej będę blisko Boga.

Ułożyła kwiaty i ruszyła w stronę domu.

dziesięć

W chłodny jesienny dzień Jed jechał przez okolicę usłaną pagórkami. Pola wyglądały tak, jakby je ktoś przykrył na zimę. Liście drzew miały rudawy odcień, choć nadal widoczne były także oznaki życia – plamy zieleni. Jed nie wiedział, dlaczego Bóg tak to wszystko zaplanował – że wszystko musi umrzeć, aby żyć. Tak po prostu było.

Kiedy droga stała się wąska, przystanął i zaczął wpatrywać się w mapę, którą rozłożył na kierownicy. Posklejana wizytówka od Stana leżała na siedzeniu obok.

Już myślał, że przegapił zakręt, kiedy dostrzegł tablicę z napisem *Sharon, liczba ludności 2221*. Gdzież to przywiodły go życie i muzyka? Chciał grać wielkie koncerty, a wjeżdżał do miasteczka ukrytego gdzieś na końcu świata.

W winnicy panował zgiełk. Jed minął stodołę i zaparkował z głośnym piśkiem hamulców. Przyjechał wcześniej, niż było trzeba. Postanowił przejść się trochę, poczuć atmosferę tego miejsca i przyjrzeć się ludziom. Było tam mnóstwo dzieciaków i młodych rodziców. To dobrze. I mnóstwo jedzenia.

Wszędzie leżały dynie, kolby kukurydzy i bele siana. Kiedy Jed zobaczył miejsce, w którym winogrona można było rozgniatać nogami, uśmiechnął się szeroko. Nad jego głową wisiały sznury światełek. Bardzo chciał zobaczyć, jak to wszystko wygląda po zmroku, kiedy na niebie świeci księżyc. Wprawdzie nie było to Grand Ole Opry, ale opłacało się tu przyjechać.

Nagle dopadły go wątpliwości. Czy do końca życia będzie grywał jedynie na jarmarkach, festiwalach i z kościelnymi grupami młodzieżowymi?

Minął stoisko z cydrem, którego zapach przywołał dobre wspomnienie mamy i taty razem na farmie z czasów, kiedy był dzieckiem. Tylko ich trójka. Nikt nie wiedział, kim jest jego ojciec – ogolony mężczyzna w kapeluszu zasłaniającym oczy. Biegali po labiryncie kukurydzy. Nagle Jed odwrócił się i zobaczył, jak rodzice się całują. Wybuchnął śmiechem i zaczął z nich żartować, ale gdzieś w środku poczuł rozlewające się ciepło.

Tata dał mu wtedy plastikowy kubek z cydrem. Dolał zimnej wody, żeby złagodzić ostry smak napoju. Po tych wszystkich latach Jed nadal czuł w ustach ów smak.

Na farmie Jordanów grano w najróżniejsze gry, na przykład kręgle zbijane dyniami. Wozy z sianem były wypełnione ludźmi. Na nierównym gruncie rodzice walczyli z wózkami dziecięcymi, a drepczące obok nich berbecie co chwila oglądały się za siebie i przewracały.

Zapach jabłek w karmelu i waty cukrowej sprawił, że Jedowi pociekła ślinka. Na specjalnym stole znajdowało się też wino do degustacji. Było tam po prostu coś dla każdego.

– Jed? – zapytał ktoś za jego plecami słodkim głosem. Odwrócił się i zobaczył dziewczynę, która pokonywała labirynt stołów i krzeseł. Choć nie unosiła się w powietrzu i nie była duchem, to dzięki słońcu rozświetlającemu jej jasne włosy wyglądała trochę jak zjawą. Miała na sobie biały sweter i biały szalik. Jed patrzył na jej piękną twarz, którą bez przesady mógł nazwać anielską.

– Jed King, prawda? – Nie wiedział, że anioły potrafią mówić z tak charakterystycznym akcentem.

– Owszem – odpowiedział dość sztywno, jakby czytał jakiś tekst i nie mógł z siebie wydusić nic więcej. Serce waliło mu jak oszalałe. Kiedy usłyszał głos dziewczyny po drugiej stronie telefonu, stworzył sobie w głowie jej obraz, ale nie pasowała do niego.

– Rose Jordan – powiedziała, przyłożyła rękę do serca i uśmiechnęła się ciepło. Cały świat wydał się nieco jaśniejszy. – Rozmawialiśmy przez telefon.

– Tak, tak, oczywiście – zmieszał się Jed. Uśmiechnął się i zdjął okulary przeciwsłoneczne.

– Miło cię poznać – powiedziała, wyciągając do niego rękę. Jej dźwięczny akcent padł na słowo *miło*. Zabrzmiało to trochę jak *miło*. Dała mu tym samym do zrozumienia, że czuje się wiejską dziewczyną i nie zamierza tego ukrywać. Była, kim była. Mocno uściśnęła jego dłoń.

Zabrakło mu słów. W końcu wyjąkał: – To twoja winnica?

– Mojego ojca – odpowiedziała łagodnie, z mieszaniną szacunku i powagi. Jakby była dumna zarówno z farmy, jak i ze swojego taty.

– Pięknie tu – stwierdził. Mówił o miejscu, ale nie mógł oderwać wzroku od dziewczyny. Orzechowe oczy. Dołki w policzkach. Ile ma lat? Czy nosi obrączkę? Nie do wiary, że był w stanie pomyśleć o tym wszystkim jednocześnie!

– Tata pewnie chciałby wiedzieć, że już tu jesteś...

Obserwował ją i zachwycił się wszystkim – sposobem, w jaki się poruszała, jej pewnością siebie... Widział w życiu wiele pięknych kobiet, ale w Rose było coś jeszcze. Spokój, łagodność, delikatność. Nie, najważniejsze słowo to jednak anielskość.

Szła i nie odwracała się do niego. – Tata ma na imię Shephard, ale wszyscy nazywają go Shep.

Mężczyzna wyglądał na sześćdziesiąt parę lat. Miał surową twarz. Siłował się z jakimś urządzeniem ustawionym na starcie labiryntu z beli siana.

– Z czym on się tak męczy? – zapytał Jed, nie zwalniając kroku.

– To jest prasa do wina – odparła. – Tata lubi się chwalić, że wszystko potrafi naprawić sam. Kiedy nie daje rady, zaczyna się frustrować.

– No dalej, kupo złomu! – mamrotał pod nosem Shep, uderzając czymś metalowym w maszynę.

– Tato?

– Tak?

– Jed King jest tutaj.

Mężczyzna nie przerwał pracy. – Kto?

– Nasz piosenkarz.

Shep odłożył narzędzie, wstał i mrużąc oczy, mocno uściśnął dłoń Jeda. Skóra na jego rękach była zrogowaciała i zniszczona od pracy na farmie. Dłonie Jeda nie były aż tak szorstkie, mimo różnych robót budowlanych, które uwielbiał i wykonywał od czasów, gdy był małym chłopcem.

– Nie chciałbym panu przeszkadzać... Mam na imię Jed.

– Shephard Jordan – przedstawił się mężczyzna. Był o kilka centymetrów niższy od Jeda. Rose patrzyła na ojca z dumą.

– Miło mi pana poznać. Właśnie mówiłem Rose, że to piękne miejsce.

– Jesteś synem Davida Kinga – powiedział Shep. Zabrzmiało to bardziej jak oskarżenie niż pytanie czy spostrzeżenie. To się często zdarzało.

– Tak, proszę pana.

Shep spojrzał na Rose, a potem znów na Jeda. – Idź, córcia, pokaż mu, gdzie jest scena. Mam jeszcze dużo pracy. Chłopcze, miło było cię poznać.

– Dobrze, tato – odparła Rose.

– Mnie również było miło pana poznać – odezwał się Jed.

Mężczyzna bez słowa wrócił do pracy. Po chwili słychać było już tylko chrząkanie, pomrukiwanie i jeszcze więcej stukania.

– Tata jest naprawdę bardzo miły, tylko teraz trochę się zestresował – usprawiedliwiała go Rose.

– Wszystko w porządku – odparł Jed.

– Powiedział, że jak nazywał się twój ojciec?

– David King.

Spojrzała na niego z zakłopotaniem. – On także był piosenkarzem?

Jed zatrzymał się, również zakłopotany. Chciał zapytać, na jakim świecie ona żyje, ale ugryzł się w język. – Nie wiesz, kto to taki?

Znów się uśmiechnęła, ale tym razem z zażenowaniem. – Och, bardzo cię przepraszam. Nie mam zielonego pojęcia o muzyce.

Większość ludzi chciała z nim rozmawiać tylko o ojcu. Często jedynie z jego powodu w ogóle starano się o znajomość z Jedem. Ludzie oczekiwali pikantnych szczegółów z ostatnich lat życia Davida. A ta dziewczyna nie miała pojęcia o jego sławie!

– Nie, nie przepraszaj. To bardzo dobrze. Uwierz mi.

Zmierzali w kierunku sceny. Kiedy mijali budkę z lodami, Jed pomyślał, że nie może się zdarzyć bardziej idealne sobotnie popołudnie w październiku niż to.

Ktoś mówił przez głośniki albo przez jakiś radiowęzeł. Nagle tuż obok Jeda stanął mężczyzna nieco młodszy od niego. Szturchnął jakąś blondynkę i spojrzał w

kierunku Rose, jakby chciał powiedzieć: *Tylko popatrz!*

– Cześć, Rose – odezwał się mężczyzna.

Twarz Rose się zmieniła. – Eddie. – W wypowiedzianym przez jej usta imieniu był jakiś ból. – Co ty tu robisz?

– Degustuję wino. To darmowa degustacja, zgadza się? Tak było napisane w gazecie.

Eddie miał rozpięty kołnierzyk koszuli. Wydawało się, że jest mu znacznie cieplej niż pozostałym ludziom na imprezie. Jego włosy były zaczesane do tyłu. Blondynka wyglądała na równie mocno zakochaną w nim jak w lampce wina, którą kurczowo trzymała.

Rose najwyraźniej była zakłopotana. Jed pragnął jej jakoś pomóc.

– To jest Kristen – powiedział Eddie.

– Tak, pamiętam – odparła Rose. Nagle jej głos stał się smutny. – Jak się masz?

Kristen miała rozszerzone źrenice. – Wino jest naprawdę dobre. – Uśmiechnęła się nienaturalnie. Najwyraźniej alkohol uderzył jej już do głowy.

– Dziękuję. Cieszę się, że ci smakuje.

– Kto by pomyślał? – dodała Kristen. – Coś takiego w Kentucky?

Zapadła niezręczna cisza. Kristen nie przestawała się uśmiechać. Jej sweter wydawał się odrobinę przyciasny, a włosy połyskiwały nienaturalnym odcieniem. Nie żeby nie była ładna – była. Ale stojące przed Jedem dwie kobiety wyraźnie różniły się od siebie – zarówno stylem, jak i osobowością.

– Więc jesteście razem...? – spytał Eddie i wskazał na nich kieliszkiem z winem.

– Nie, my... właśnie się poznaliśmy – odparła Rose. Wydawała się zdenerwowana.

Jed skorzystał z okazji i odezwał się: – Tak. – Zerknął na Rose. – Nie bądź nieśmiała. – Potem spojrzał na Eddiego i wyciągnął rękę. – Jed King.

Eddie miał wiotką, miękką jak ciasto dłoń. Jed pomyślał, że jego praca polega pewnie na noszeniu przez cały dzień słuchawki przy uchu.

– Jed King... Tak jak David King?

Jed spojrzał wymownie na Rose. – Widzisz? – A potem znów zerknął na Eddiego. – Tak.

– Jesteś przystojniejszy niż twój ojciec – wybełkotała Kristen i posłała mu zaciekawione spojrzenie. Zszokowany Eddie spiorunował ją wzrokiem. Znowu zapadła kłopotliwa cisza.

– Dziękuję – powiedział Jed. Zerknął w kierunku Rose, która się uśmiechnęła.

– No proszę – odezwał się Eddie, nie potrafiąc ukryć zirygowania. – Jesteś w czymś lepszy od swojego taty.

Jed chciał mu się jakoś zgryźliwie odciąć, ale nic nie przyszło mu do głowy.
– A jak się ma *twój* tata? – Eddie skierował pytanie do Rose. Coś musiało się między nimi wydarzyć, bo Rose posłała mu spojrzenie ostre jak sztylet.

– Może sam go o to zapytasz? – odpowiedziała pytaniem.

Jed odwrócił się i spojrzał na Shepa. Tata Rose właśnie kopał maszynę, przy której pracował.

– Chyba jest zajęty – stwierdził z wahaniem Eddie.

– Nie, nie, jestem pewna, że chętnie utnie sobie z tobą pogawędkę. – Jej słowa były pełne sarkazmu.

– Może trochę później – wysapał Eddie. – Idziemy, Kristen. Wybaczcie.

– Miło było cię poznać! – zawołała przez ramię dziewczyna, kiedy już odchodzili. Eddie pociągnął ją za sobą. Być może znów na degustację wina.

– Przepraszam – powiedziała Rose, najwyraźniej wzburzona. – Tak to już jest.

– Jeden zero dla niego – odparł Jed.

Kiedy doszli do sceny znajdującej się za stodołą, Rose poczuła się nieswojo. Żałowała, że Eddiemu poszło tak gładko.

– Oto scena dla ciebie. Rozgość się, proszę.

– Dziękuję.

– I raz jeszcze przepraszam za Eddiego. To kretyn.

– Zaslługujesz na kogoś lepszego.

Jej twarz spochmurniała. Rose odwróciła wzrok. – Wiem, że zasługuję na kogoś lepszego niż facet, który rzuca dziewczynę, bo się z nim nie przespała. Tylko nie wiem, czy ten ktoś lepszy w ogóle istnieje.

Uśmiechnął się do niej. Podziwiał jej odwagę.

– Wow, nie wierzę, że to powiedziałam. – Roześmiała się nerwowo.

– Nie, w porządku – odparł Jed. – Kiedy już skończę grać, a ty uporasz się ze wszystkim, co masz do zrobienia, to może się spotkamy?

Rose nabrała powietrza w płuca i przez chwilę przyglądała mu się uważnie. – Posłuchaj, wydajesz się naprawdę miły...

– Miły... to trochę zabolalo.

– Chodzi o to, że dopiero cię poznałam.

– No tak, racja – powiedział spokojnie, żeby nieco złagodzić napięcie.

– On mi się nawet nie podoba. Ale i tak widok ich razem mnie zabija.

Zamyśliła się głęboko. Ostatnią rzeczą, jaką chciałby teraz zrobić, było przynaglanie jej, naciskanie. Postanowił powiedzieć jej coś pocieszającego, coś, co sprawi, że dziewczyna go polubi. Postawił na to, co zawsze się sprawdzało: swój urok osobisty i poczucie humoru.

– Cóż, nie chcę, żebyś umierała.

Uśmiechnęła się, kiwnęła głową, a potem wskazała ręką scenę. – Powodze-

nia, Jed.

Patrzył za nią, kiedy się oddalała, a potem odtworzył sobie w głowie końcówkę rozmowy. *Nie chcę, żebyś umierała.* Jakież to było prostackie! Jakie żenujące! Tak dobrze im się rozmawiało, a potem to zakończenie... *Pewnie nigdy więcej jej nie zobaczę,* pomyślał.

Ale może Rose posłucha chociaż jego muzyki? Może usłyszy w niej to, co jest ukryte w nim głębiej? W głowie Jeda zaczęła powstawać nowa piosenka. Pojawiła się bez wysiłku czy planowania.

Pozwól, spytam tylko raz, Rose.

Kiedy widzę twą piękną twarz,

Ciśnie mi się na usta: dlaczego?

Nie mógł zaśpiewać piosenki, którą wymyślił tu, na miejscu, zaraz po spotkaniu z nią. Nie zaryzykowałby kompromitacji. Ale kiedy zanosił na scenę gitarę i bandžo, każdy krok przynosił mu kolejną linijkę, kolejną myśl, kolejny wiersz. Zawsze w ten sposób przetwarzał zdarzenia, porządkował je, ożywiał. Cały chaos, brud, znój i prawda o kondycji ludzkiej mogą zostać wyrażone w kilku liniijkach wiersza obramowanych rytmiczną melodią, która na długo przykleja się do człowieka. Na tym właśnie polega magia muzyki i słowa.

Ale czy to podziała na Rose?

Jed przysiadł na scenie, wyciągnął z pokrowca na gitarę notes i ołówek, a następnie zaczął zapisywać słowa piosenki.

jedenaście

Chociaż za cały trzydniowy festiwal odpowiedzialny był tata, to Rose musiała radzić sobie ze wszystkimi pomniejszych kwestiami każdego dnia. Gdzie można znaleźć punkt pierwszej pomocy dla dziewczynki, która stłukła sobie kolano? Jak uruchomić maszynę do robienia waty cukrowej? (Jak się okazało, wtyczka wysunęła się z kontaktu). Gdzie są toalety? Rose martwiła się też tym, że niektórzy ludzie degustowali wino w zbyt dużych ilościach. Czy trzeba będzie ich wyprosić? Na przykład Eddiego i Kristen? Rose zdawało się, że ta para piła alkohol na długo przed przyjazdem na festiwal.

Słońce zaczęło zachodzić. Farmę spowiła pomarańczowa poświata. Ostatnim punktem programu był koncert Jeda. Rose musiała go tylko zapowiedzieć, a potem mogła odetchnąć i po prostu cieszyć się muzyką. Nie cierpiała występować publicznie, ale w Jedzie było coś...

Oczywiście, jego uśmiech. I lekki zarost na twarzy. Sposób, w jaki na nią patrzył, kiedy spotkali się po raz pierwszy. Serce Rose miękło. Kiedy Jed zaproponował spotkanie po koncercie... nie wiedziała, co powiedzieć. Po katastrofie z Edziem i utracie wiary w mężczyznę to zaproszenie przyprawiło ją o drżenie kolan.

Na niebie pojawił się księżyc. Ludzie zaczęli przysuwać krzesła do sceny. Rodzice z mniejszymi dziećmi usiedli z tyłu. Pookrywali je kocykami w wózkach i pozwolili im zasnąć. Odrobina wytchnienia. Nad głowami migotały światełka. Miejsce kojarzyło się z Toskanią.

Kiedy Rose wchodziła na scenę, poczuła, że jej żołądek się zaciska. Nawet gdy w latach szkolnych stawała przed klasą i rozwiązywała przy tablicy jakieś zadanie z matematyki, czuła niepokój. A przecież była dobra w liczeniu. Innym dzieciom takie wystąpienia nie sprawiały najmniejszego problemu. Rose zgadywała, że pewnie jedni ludzie są stworzeni do występów, a inni do oglądania.

– Gotowy? – zapytała Jeda.

Studiował uważnie jakąś kartkę. Po chwili wsunął ją do tylnej kieszeni spodni. – Chodźmy!

Odwróciła się i spojrzała na zgromadzoną publiczność. Była zaskoczona tym, jak dużo osób dojechało na imprezę przez ostatnią godzinę. Z trudem przełknęła ślinę i się uśmiechnęła. W oddali dostrzegła Eddiego i Kristen, która opróżniała kolejny kieliszek.

Rose podeszła do mikrofonu. Publiczność zaczęła bić brawo.

– Dziękuję wszystkim za przybycie. Mamy dla was prawdziwą perełkę. Proszę, przywitajcie ciepło Jeda Kinga z Louisville.

Krótko, miło i rzeczowo. Rose zbiegła ze sceny, a Jed przysunął do siebie mikrofon. Oklaski ucichły, za to głośniki cicho zapiszczały.

Ponad tłumem rozległ się drwiący głos Eddiego: – Niezłe bandžo, Jed.

Kristen też coś powiedziała, ale Rose nie usłyszała jej słów. Sposób, w jaki Kristen się śmiała, świadczył o tym, że zdecydowanie przesadziła z alkoholem. Rose zrobiło się żal Jeda. Sama także czuła się upokorzona. Kiedy uniosła głowę, spostrzegła, że Jed patrzy wprost na nią.

Pozwól, spytam tylko raz, Rose, śpiewał. Kiedy widzę twą piękną twarz, ciśnie mi się na usta: dlaczego? – Wyciągnął rękę w kierunku Eddiego.

Rose zmroziło. Poza szumem głośników i cykaniem świerszczy zapanowała kompletna cisza. Nagle ktoś zachichotał.

I gdybym nie występował,

Chętnie bym zareagował.

A Eddie już okładałby lodem swe podbite oko.

Publiczność spodziewała się czegoś zupełnie innego. Rose najchętniej zapadłaby się pod ziemię. Ale jednocześnie była zachwycona. Jed wykorzystał swoją muzykę i stanął w jej – i swojej – obronie. I było to naprawdę mocne, chociaż uderzał zaledwie w kilka strun na bandžo, jednocześnie śpiewając. W winnicy czuć było unoszącą się w powietrzu energię.

Absolutnie się nie godzę,

By stanął na naszej drodze

I tego, co możemy razem mieć.

Nie chcę cię opuścić, dziecino,

Nie chcę opuścić, dziewczyno,

I raczej padnę, niż umrzeć ci dam.

Wiem, że strata boli i nie chce dać wytchnienia,

I ciąży jak serce z kamienia.

Ale już czas dać szansę prawdziwej miłości.

Ludzie zaczęli wstawać. Klaskali, gwizdali, krzyczeli i śmiali się głośno. Rose spojrzała na Eddiego, który zastygł jak głaz. Ale Jed jeszcze nie skończył.

Szkoda by było

Dzielić się tobą...

Wziął głęboki wdech, a potem zaśpiewał na jednym wydechu kolejną zwrotkę, której słowa właśnie przysły mu do głowy.

Zwłaszcza z gościem,

Który naśmiewa się z mojego bandžo

I pojawia się z inną, choć wie,

Że tu będziesz,

Który boi się twojego ojca

I zrywa z najpiękniejszą dziewczyną na świecie

Z najgłupszego powodu na świecie.

Rose, nasza miłość rozkwitnie jak majowe kwiecie.

Teraz już wszyscy poderwali się na nogi. Kiedy w końcu Rose oderwała wzrok od Jeda, zauważyła, że Eddie i Kristen się wymknęli. Spozregła również ojca. Stał z rękami w kieszeniach i patrzył na Jeda.

Od tej chwili Jed naprawdę się rozkręcił. Rose wydawało się, że doskonale panuje nad tłumem. Wszyscy kołysali się w takt jego ballad, klaskali w dłonie przy szybszych kawałkach i płakali przy smutnych. W tym, jak grał, w jego głosie była wolność. Nie wykonywał jedynie piosenek; one były migawkami z jego życia, którymi chciał się podzielić z innymi.

Kiedy koncert się skończył, ludzie podchodzili do Rose i pytali: – Jak udało ci się sprowadzić kogoś takiego do Sharon?

Rose odczekała, aż tłumek wokół Jeda się zmniejszy. Podeszła do mężczyzny i wyręczyła mu kartonowe pudło. W środku były butelki z najlepszym winem jej ojca.

Jed wyjął jedną butelkę i zaczął ją oglądać. – Wow! To naprawdę miły gest. Ja też mam coś dla ciebie.

Wręczył jej płytę CD.

– Och, bardzo dziękuję! To na pewno świetna płyta.

– Tak myślisz?

– Tak. Chociaż, jak powiedziałam, nic nie wiem o muzyce.

– Każdy coś wie o muzyce.

– Ja wiem naprawdę bardzo mało.

– A jaka jest twoja ulubiona piosenka The Beatles? Każdy ma swoją ulubioną piosenkę tej grupy. „Strawberry Fields Forever”? „Hey Jude”?

– Zawsze podobał mi się kawałek „Turn! Turn! Turn!”.

Jed wydawał się skonsternowany. Kiedy Rose zaczęła nucić piosenkę, uśmiechnął się do niej.

– No co? Uwielbiam tę piosenkę.

– Ja też ją uwielbiam. Ale to nie jest utwór The Beatles.

– A właśnie, że tak.

– Nie, to kawałek The Byrds.

– Polemizowałabym.

– No i nadal byłabyś w błędzie.

Rose zawahała się na chwilę. – Słowa są z Biblii. Z tym się chyba zgodzisz?

– Oczywiście.

Robiło się coraz chłodniej. Rose dostrzegła, że z ust Jeda wydobywa się para. Mogła pozwolić mu zabrać pudło z winem i odejść. Ale nie mogła się oprzeć jeszcze jednej myśli. Spojrzała na płytę. – Szkoda, że tu nie ma tej mojej piosenki. Nigdy wcześniej nie miałam własnej. – Kołysała się na czubkach palców, niepewna, czy pozwoli dalej płynąć słowom. – Pewnie będziesz się chciał ze mną umówić, co?

Jed zawahał się na moment. – Wiesz, przepraszam cię. To było niepotrzebne.

– Nie, nie szkodzi...

– Powiniennem najpierw zapytać o to twojego tatę.

Badała wzrokiem jego twarz. – Co takiego?!

– Wygląda na gościa, który lubi być pytany o różne rzeczy.

– Może o ślub, ale o jedną randkę?

– Będziemy mieli więcej niż jedną randkę.

Dech w piersiach zapało jej nie to, co powiedział, ale pewność bijąca z jego słów. – Skąd wiesz?

– Po prostu wiem – odparł.

– Teraz tata jest zajęty sprzątaniami. – Zamyśliła się na moment. – Poniedziałek?

– Zgoda.

– Dobrze – odrzekła Rose. – Przyda ci się dzień, żeby się przygotować – dodała ze znaczącym uśmiechem.

Tej nocy Rose nie mogła spać. O pierwszej zadzwoniła do Denise i obudziła ją z głębokiego snu. Zaspana przyjaciółka zapytała Rose o festiwal i przeprosiła, że nie mogła się na nim pojawić.

– Wiesz, sądzę, że go spotkałam – powiedziała Rose, ledwo oddychając.

– Kogo spotkałaś? – głos Denise wydał się wyraźniejszy.

– Mężczyznę, za którego zamierzam wyjść.

Denise, teraz już zupełnie rozbudzona, zapytała: – Masz na myśli Jeda?

Rozmawiały przez dwie godziny. Denise wydawała się coraz bardziej podniekształcona.

– Jak to powiesz ojcu? – zapytała na koniec.

– Jed mu powie. W poniedziałek. Zamierza poprosić tatę o zgodę na randkę.

– Mówisz poważnie?!

– Sam to zaproponował.

– To musisz schować całą broń ojca. Powinnaś zacząć już teraz.

– Nic mu nie będzie – odparła Rose, choć nie była tego taka pewna.

Rose nie spała do rana. Kiedy usłyszała, że ojciec schodzi do kuchni, poszła do niego.

– Myślałem, że sobie dzisiaj pośpisz – powiedział. – To był naprawdę ciężki weekend.

– Nie. Żadnego wymigiwania się od kościoła.

Pokiwał głową i nalał sobie kawy. Sam nie pozwoliłby na to, by festiwal

przeszkodził im w niedzielnej mszy. Rozmawiali o imprezie – o tym, co się udało, a co nie, co muszą jeszcze zrobić po południu. Tata ani razu nie wspomniał o Jedzie i to niepokoiło Rose.

W drodze z kościoła do domu zapytała, co ludzie mówili o koncercie. Spojrzał na nią z poważną miną. – Wiedziałaś, że Eddie też się pojawi?

Zmarszczyła brwi. – Nie jestem jego opiekunką, tato. I nigdy nią nie byłam.

– Byłem zaskoczony tym, że przyszedł. I przyprowadził swoją nową dziewczynę.

– Ja też się zdziwiłam – odparła. – I trochę mnie to zabolalo, kiedy zobaczyłam ich razem.

– Jego matka dopadła mnie po mszy.

– Pewnie narzekała, że Eddie za dużo wypił?

– Mniej więcej. Chciałem jej powiedzieć parę słów o samokontroli i darach Ducha Świętego, ale ugryzłem się w język. Ćwiczę swoją cierpliwość.

Rose uśmiechnęła się do ojca. Uwielbiała w nim to, że nie można było tak łatwo wyprowadzić go z równowagi.

– Wściekała się też na tego piosenkarza. Powiedziała, że zrobił z Eddiego pośmiewisko. Tak słyszała.

– I miała rację. Utał mu nosa.

– W jaki sposób dowiedział się o tobie i Eddie?

Opowiedziała mu, co się stało. Kiedy opisywała, jak Eddie wbijał Jedowi szpile, ojciec coraz mocniej zaciskał palce na kierownicy.

– Tato, po koncercie Jed i ja rozmawialiśmy.

– O czym?

– Powiedział, że powinien najpierw zapytać ciebie, zanim zaprosi mnie na randkę.

– Naprawdę?

– Myślałam, że ci się to spodoba.

– Może gdyby to był ktoś inny, to rzeczywiście by mi się to spodobało.

Jej serce zaczęło bić mocniej. Odwróciła się w stronę ojca i spytała cicho: – Co masz przeciwko niemu?

Tata spojrział na nią. Już wiedziała, że będzie nerwowo. Przebierała palcami. Był w stanie wyczytać wszystko w jej sercu.

– Osobiście nie mam nic przeciwko niemu. Sądzę, że ma dobry gust, skoro mu się spodobałaś. Nie podoba mi się tylko jego rodzina. Jabłko nie pada daleko od jabłoni. Ani grona od winorośli.

Wpatrywała się w brudną szybę. – Chciałabym się z nim spotykać.

– Rose.

– A co, jeśli Bóg nas ze sobą zetknął?

– Kurczę blade! – krzyknął. Były to najbliższe przekleństwu słowa, jakie od

niego kiedykolwiek usłyszała. – Myślisz, że Bóg tak właśnie działa? Pojawia się jakiś artysta, zagada do ciebie, a ty już jesteś gotowa z nim uciekać?!

– Nie uciekam z nim. Ale chciałabym się z nim umówić. I chciałabym, żebyś znów się z nim spotkał i tym razem wydusił z siebie coś więcej. I nie krzywił się na jego widok.

– Byłem zajęty.

– Kurczę blade! – znowu odwróciła się do niego. – Porozmawiasz z nim? Jeśli uznasz, że nie jest dobrym człowiekiem, to...

– To co zrobisz?

– Nie wiem, co zrobię. Spróbuję cię wysłuchać. Zawsze cię słuchałam.

– Ale niczego nie obiecujesz?

– Spotkasz się z nim jutro? Daj mu szansę.

– Jutro? – zapytał ze zdziwieniem. – Facet nie traci czasu, co?

Przez resztę drogi do domu ojciec już się nie odzywał. Kiedy wrócili, Rose chciała zadzwonić do Jeda i podać mu godzinę, o której mógłby do nich przyjechać, ale się powstrzymała. Wiedziała, że tata musi się zastanowić, porozmyślać, przetrwać wszystko. Jak podpowiadało jej doświadczenie, gdy już oswoi się z nową myślą, uspokoi się, a wtedy ona będzie miała większą szansę coś ugrać.

Późnym wieczorem, już po imprezie i sprzątanii, zjedli kolację składającą się z resztek. Kiedy ojciec skończył, wstał od stołu i przez tylne drzwi wyrzucił psom to, co zostało z ich posiłku. Potem umył swój talerz i ruszył w kierunku schodów. Drewniana podłoga skrzypiała pod jego stopami. Nagle zatrzymał się i oparł ręce o ścianę.

– Powiedz mu, żeby był tu o trzeciej.

Jed nie powiedział nikomu o spotkaniu z Rose – nie zadzwonił ani nie wysłał wiadomości do mamy czy któregokolwiek ze swoich przyjaciół, choć na drugi dzień po poznaniu dziewczyny od rana myślał jedynie o niej. Zastanawiał się nawet, czy to wszystko nie było snem. Czy nie wymyślił sobie, że poznał na wsi tak cudowną kobietę.

Ale Rose była rzeczywista. I to, co poczuli do siebie wzajemnie poprzedniego wieczoru, również. Mógł o niej tyle powiedzieć po tym jednym spotkaniu! Czyż ono mogło być przypadkowe? Rose miała zasady i skrupuły. Nie przespała się z jakimś durniem tylko po to, żeby się z nim związać. Ciężko pracowała. Kochała swojego ojca i farmę. To, czym się zajmowała, przynosiło jej radość. Jej sposób odnośnienia się do ludzi, rozmawiania z dziećmi... Wszystko go w niej urzekało.

Wcale nie pragnęła znaleźć się w centrum uwagi. Była taka skromna! Wydawała się zawstydzona, kiedy musiała stanąć przed tłumem, żeby zapowiedzieć występ. Miała poczucie humoru, śliczny uśmiech i w ogóle była bezkonkurencyjna.

Na drodze do ich szczęścia mógł stanąć tylko jej ojciec. A także brak znajomości muzyki i to, że The Beatles nie śpiewają „Turn! Turn! Turn!”.

W niedzielny wieczór Jed odszukał zlepioną taśmą wizytówkę. Jeśli rzeczywiście to wszystko się uda, będzie musiał zadzwonić do Stana i podziękować mu nie tylko za koncert, lecz także za zapoznanie z miłością jego życia.

Wybrał numer telefonu. Rose odebrała zaraz po pierwszym sygnale.

- Właśnie miałam do ciebie dzwonić – powiedziała.
- Naprawdę?
- Tata proponuje, żebyś przyjechał jutro o trzeciej. Żeby porozmawiać.
- Brzmi złowieszczo.
- Jeszcze jak!
- Jesteś pewna, że chce tylko tego? Pogadać? Nie chce mnie przypadkiem pokroić na drobne kawałki?

Roześmiała się głośno. – Nie, w jego stylu są raczej kawałki średniej wielkości.

Kiedy słyszał jej głos, czuł w środku ciepło. Znał wiele dziewcząt, ale Rose w ogóle ich nie przypominała. Nie tylko dlatego, że nie miała pojęcia, kim był jego ojciec.

- Jak było dziś po południu na festiwalu? – zapytał.
- Dobrze. Dziś nie pojawiło się tak dużo ludzi jak wczoraj, no ale nie było z nami Jeda Kinga.
- Naprawdę bardzo się cieszę z wczorajszego koncertu. Trudno mi to wytłumaczyć, ale potrzebowałem tego.

- Co masz na myśli?
 - Westchnął ciężko. – Moja kariera wydaje się w miejscu stać i donikąd gnać.
 - Całkiem ładny rym.
 - Dziękuję. Nie chodzi tylko o moją muzykę, lecz w ogóle o życie. Całość.
- A wyjazd, koncert u was i spotkanie z tobą coś zmieniły. Żałuję, że tym, co czuję, nie da się napęłnić butelek, by je później sprzedawać.
- Nawet po tym, jak Eddie próbował wszystko popsuć?
 - Tak naprawdę nawet dobrze się stało. Pewnie nie zaśpiewałbym twojej piosenki, gdyby Eddie nie rzucał swoich złościwości.
 - Eddie jest w tym dobry.
 - Chcę powiedzieć, że dobrze było znowu poczuć się sobą i robić to, w co wkładam serce. To było takie naturalne, wiesz?
 - Wiem – odparła. – Nadal powinieneś robić to, co robisz. Bez względu na to, co twierdzą inni.
 - Dziękuję bardzo. Nie mogę się już doczekać, żeby się z tobą zobaczyć i porozmawiać o twoim życiu, tacie i... wszystkim innym.
 - W takim razie do zobaczenia o trzeciej.
 - Będę o trzeciej.
- ***

Nie musiał nawet spoglądać na mapę. Czuł się, jakby wracał do domu. Kiedy dotarł na miejsce, Rose siedziała na ganku. Pomyślał o piosence Bruce'a Hornsby'ego o powrocie do miłości sprzed lat...

Szedł w kierunku domu Rose i nie mógł oderwać od niej oczu. Wyciągnęła rękę na przywitanie, a potem poprowadziła go do środka. – Czeka na ciebie w gabinecie. To tutaj.

Jed dostrzegł męskie kowbojki na podłodze obok skóry niedźwiedzia. – Myślisz, że przeżyję? – wyszeptał.

Rose uśmiechnęła się leciutko. Patrzyła, jak wchodzi przez otwarte drzwi.

Shep Jordan wstał, uścisnął dłoń Jeda i kazał mu usiąść. W pokoju znajdowały się dwa skórzane fotele. Kiedy Jed usiadł, zauważył dwa wypchane wilki. Wydawało mu się, że wlepiają w niego wzrok. Po chwili w kącie pokoju dostrzegł indyka w pełnym upierzeniu. Tuż za nim stał niedźwiedź. Na oparciach obu foteli leżały zwierzęce skóry. A nad paleniskiem kominka znajdował się... cóż, Jed nie miał pojęcia, co to było, ale wyglądało groźnie.

– Wow, imponujące! – wykrztusił. – Ty je wszystkie upolowałeś?

– Mhm. – Shep usiadł i założył nogę na nogę. Na stoliku obok niego stał kubek z gorącą kawą.

Jed położył ręce na kolanach. Kiedy tu jechał, ćwiczył swoją przemowę. Obiecywał sobie, że pokieruje rozmową i nie będzie owijał w bawełnę. Spoglądał

w lusterko samochodowe i mówił: – Panie Jordan, wprawdzie poznałem pana córkę w sobotę wieczorem, ale z całą pewnością mogę stwierdzić, że jest w niej coś wyjątkowego. Chciałbym ją lepiej poznać. Ale najpierw proszę pana o zgodę na to, byśmy mogli się widywać.

Będzie twardy. Będzie patrzył Shepowi w oczy i walił prosto z mostu, ponieważ właśnie w ten sposób powinno się rozmawiać z takim człowiekiem. Tak myślał, dopóki nie przekroczył progu gabinetu.

Zanim jednak zdołał się odezwać, Shep wycedził: – Panie King, nie znam pana. – Potem zamilkł i po prostu siedział, wpatrując się w Jeda, jakby ustawiał celownik.

– To prawda, proszę pa-pana – Jed zaczął się jąkać. Był speszony siłą i pewnością siebie w głosie mężczyzny. – Jeśli pan chce, proszę do mnie mówić po prostu Jed.

Ale Shep Jordan najwyraźniej nie chciał się z nim spoufalać. – Niby dlaczego miałbym ci pozwolić spotykać się z moją córką?

Jed wziął głęboki wdech. – Przynajmniej wie pan już, panie Jordan, że nie boję się poprosić kogoś groźnego o pozwolenie na chodzenie z jego córką.

Shep pokręcił głową i szybko odparł: – No, to akurat więcej mówi o mnie niż o tobie.

Wyglądało na to, że będzie ciężiej, niż Jed się spodziewał. – Chciałbym, aby pan wiedział, że szanuję pana i Rose – powiedział łagodnie.

Mężczyzna zagryzł wargi i wlepił w niego wzrok. – W swoich piosenkach śpiewasz o Bogu, prawda?

– Śpiewam o tym, na czym mi zależy.

– Na przykład o Rose?

– Więc pan słyszał?

Shep wyprostował się nagle. Jego głos przybrał nieco ostrzejszy ton. – Kocham Rose. Bardzo. I zawsze próbowałem chronić ją przed mężczyznami pewnego typu. Takimi jak twój ojciec.

No i proszę! Strzał wprost. Nóż w serce. Syn pokutuje za grzechy ojca. Prześladowający Jeda duch Davida Kinga tym razem stanął na drodze do czegoś dobrego.

– On też, zdaje się, śpiewał o Bogu? – ni to stwierdził, ni to spytał Shep. Jed poczuł, że ojciec Rose najchętniej prześwietliłby kilka pokoleń jego rodziny. Cóż, musiał bronić swojego taty. Wszyscy znali tylko wizerunek sceniczny Davida i wiedzieli, że popełnił ogromny błąd. A właściwie kilka błędów. Ale Shep nie znał go takim, jakim był naprawdę. I nie miał pojęcia o jego przemianie.

– Wiem, że popełniał błędy, panie Jordan. Ale uczył się na nich. I ja również. Nie zamierzam ich powtarzać.

Zza drzwi dobiegł jakiś hałas. Jed podskoczył jak oparzony. Coś spadło na podłogę. W szparze przy drzwiach pojawił się cień. To Rose podsłuchiwała ich

rozmowę.

Shep odwrócił się i wbił wzrok w Jeda. Jed również patrzył na niego bez mrugnienia okiem.

– Wzbudziłeś trochę mojego zaufania. Ale musisz je zdobywać kawałek po kawałku. Pojawiłeś się tu punktualnie. Doceniam to. Zdałeś pierwszy egzamin. Możesz wyjść z moją córką dziś wieczorem. – Pochylił się i położył rękę na grzbiecie wilka. – Ale masz ją odwieźć przed dziesiątą.

– Dziękuję panu. – Jed wstał i wyciągnął rękę. – Nie zawiodę pana.

Shep spojrział na jego dłoń, a potem chwycił ją tak mocno, jakby ścisnął uchwyt pompy. – Nie pozwolę ci na to, synu.

Jed kiwnął głową i uśmiechnął się do niego.

Shep ściszył głos do szeptu. – Nie marnuj jej czasu. Jeśli zorientujesz się, że między wami nie iskrzy, skończ to. A przede wszystkim nie łam jej serca.

– Tak jest, proszę pana.

– I trzymaj ręce przy sobie, słyszysz?

trzynaście

Rose pozwoliła Jedowi wybrać restaurację. Jechali już około godziny i rozmawiali. Jed pytał dziewczynę o winnicę i życie na farmie. Zanim się spotkali, Rose cztery razy się przebierała. Obawiała się, czy brak snu nie wpłynie na jej zdolności prowadzenia sensownej rozmowy i czy nie zjedzą jej nerwy. Ale gdy tylko zaczęli rozmawiać, wszystko potoczyło się naturalnie i gładko.

Restauracja była bardziej elegancka, niż Rose się spodziewała. Dziewczynie bardzo spodobały się wykrochmalone białe obrusy i palące się świece. Wszystko było takie romantyczne! Jed wybrał wino z winnicy jej ojca. Najwidoczniej już wcześniej upewnił się, że w lokalu je serwują.

Po obiedzie poszli na spacer nad rzekę. Rose zapytała Jeda o jego ojca i o to, jak się dorasta w domu kogoś sławnego. Jed opowiadał o swoim dzieciństwie wymijająco, z rezerwą. Rose nie drążyła tematu. Jeśli to ma być coś poważnego, będzie czas, żeby o tym wszystkim porozmawiać.

A więc już zaczęła myśleć w ten sposób? O poważnym związku? Nie mogła uwierzyć, że przyszło jej to do głowy po tym, co sobie przyrzekła, kiedy tak bardzo zawiodła się na Eddiem. Przecież nie była zainteresowana mężczyznami. Nie chciała mieć z nimi nic wspólnego. I nagle pojawił się Jed, z tym swoim pięknym głosem, błękitnymi oczami i radosnym śmiechem. Kiedy delikatnie ją objął, poczuła się, jakby w jej ciele wybuchły małe fajerwerki.

Zrobiło się ciemno. Poszli do kafejki i zaczęli rozmawiać o Shepie.

– Nie będę cię okłamywać. Przestraszyłem się twojego ojca – powiedział Jed. – Trochę.

– No cóż, będziesz mi musiał wszystko opowiedzieć, bo przecież wcale nie podsłuchiwałam waszej rozmowy.

Jed wybuchnął śmiechem. – OK. Jako że nie podsłuchiwałaś, streszczę ci naszą rozmowę. On bardzo cię kocha. A w gabinecie ma niezłe trofea.

– Tak. – Nie mogła powstrzymać się od śmiechu. – Moja przyjaciółka Denise mówi, że ojciec wypycha więcej niż fabryka poduszek.

– Niezłe. Będę musiał to zapamiętać.

– Wiem, że mnie kocha. Okazuje mi to na tysiące sposobów.

– Naprawdę nie podsłuchiwałaś? Wydawało mi się, że słyszę jakiś hałas tuż za drzwiami.

– Odkurzałam – stwierdziła. – To spadł wazonik mamy, który stał w przedpokoju.

– Ale się nie stłukł, prawda?

– Nie, jest z drewna. To cenna rzecz dla mnie. Mama dała mi go tuż przed swoją śmiercią.

– Ile miałaś wtedy lat?
– Osiem.
– Musiało ci być bardzo ciężko... Stracić ukochaną osobę tak wcześnie!
– Było ciężko. I po części dlatego tata tak wiele dla mnie znaczy. Widział, jak przez to przechodziłam. Był przy mnie każdej nocy, kiedy płakałam w poduszkę. Sam radził sobie z sytuacją w inny sposób.
– Nie tak emocjonalny?
– Tak. Przyjmuje wszystko we własnym tempie. Krok po kroku, powoli ruszył swoją drogą. Ale również mocno to przeżył. Parę dni temu powiedział mi, że organizuje festiwal po to, aby spełnić obietnicę daną mamie.
– To ładne. Założę się, że jesteś do niej podobna.
– Tak mówią.
– Czyli była piękna.
Przewróciła oczami. – Jak długo ćwiczyłeś tę kwestię?
– Nie, naprawdę. Niczego nie ćwiczyłem. Nie da się wyćwiczyć czegoś, co przychodzi tak łatwo. I jest prawdą.
Roześmiała się i zaczerwieniła. Poczwała, że świat jest cudowny.
– Chcesz coś zobaczyć? To ma związek z moją przeszłością – powiedziała.
Spojrzał na zegarek. – Obiecałem twojemu ojcu, że...
– Och, to jest po drodze do domu.
Jechali w kierunku Sharon. Kiedy mijali stary znak wskazujący drogę do szkoły, Rose nakazała: – Zjedź i zatrzymaj się przed głównym wejściem.
Budynek był mroczny niczym nawiedzony dom. Dookoła słychać było odgłosy żab i świerszczy. Wysoko na niebie gwiazdy błyszczały jak diamenty.
– To jest podstawówka, do której chodziłam jako dziecko. Mogę cię oprowadzić po każdej sali i opowiedzieć, co mi się przydarzało.
Jed zmrużył oczy. – Potłuczone szyby. Budynek nie jest już wykorzystywany, prawda?
– Jakież problemy z konstrukcją. Szkołę zamknęli rok temu. Zbudowali drugą na terenie, na którym nie ma zagrożenia powodziowego.
Jed podniósł kamień i rzucił go, celując w parapet jednego z okien. – Co się wydarzyło w tej sali?
– Pani Taylor. Druga klasa. To było w tym samym roku, w którym zmarła mama.
Zamilkł na chwilę, po czym podniósł następny kamyk i rzucił w parapet z drugiej strony budynku. – A co się stało tutaj?
– Piąta klasa. Pani Adkins. Miała małe akwarium. Wszyscy troszczyliśmy się o rybki. Uwielbiała zwierzęta. Któregoś dnia ktoś znalazł na podwórku pod drzewem pisklę i przyniósł jej. Postanowiliśmy się nim opiekować. Pani Adkins ustawiła w sali lampę, która dostarczała mu ciepła. Karmiliśmy je. Maleństwo wyda-

wało się dochodzić do siebie, kiedy ten okropny dzieciak... – Rose próbowała przypomnieć sobie imię. – Myślę, że miał na imię Romey. Tak, Romey McCallister. Nie mógł się odnaleźć w szkole. Przez kilka lat nie przechodził z klasy do klasy. Był wyższy nawet od pani Adkins. Któregoś dnia przyłapałam go, jak bierze do ręki pisklę. Pani Adkins powiedziała nam, żebyśmy nie dotykali tego maleństwa, a Romey zaczął je tarmosić!

– I co zrobiłaś?

– Krzyknęłam, żeby je odłożył. A on na to: *I tak umrze któregoś dnia*. Pani Adkins nie było wtedy w klasie i nikt poza mną nie ujął się za pisklakiem.

– Co się stało później?

– Romey rzucił nim o podłogę, a potem wrzucił ptaszka z powrotem do gniazda. Z wściekłości zrobiło mi się ciemno przed oczami. Wszyscy tylko siedzieli i gapili się na tego chłopaka. Jak owce. Zacisnęłam zęby, ruszyłam przed siebie i z całej siły uderzyłam go, a potem popchnęłam na ścianę.

– A nie był kruszyną.

– Nie, ważył pewnie ze dwa razy tyle co ja. To był jedyny raz, kiedy trafiłam na dywanik. Nadal pamiętam zdziwienie na twarzy dyrektora, kiedy mnie zobaczył. Miałam dwa warkoczyki z różowymi wstążkami. A Romey miał dużego guza na głowie. Dali mu worek z lodem.

– Straszne upokorzenie dla Romeya. Ależ ty byłaś zadziorna!

– Nadal jestem. Jeśli w coś wierzę, chcę to chronić.

Rozmowa z Jedem była zupełnie inna od wszystkich wcześniejszych kontaktów Rose z mężczyznami. On zadawał pytania. Chciał się o niej dowiedzieć jak najwięcej. Nie przerzucał na nią prowadzenia rozmowy. I ani razu nie wypalił, że złowił wielką rybę czy że jest zachwycony ostatnim transferem jakiegoś zawodnika do innego klubu.

Z pewnością miał, jak każdy, także wady. Rose wiedziała, że pochłaniała go kariera muzyczna. Miał artystyczną duszę, co mogło być przeszkodą na ich wspólnej drodze. Ale mogło również przyciągnąć ich do siebie i poprowadzić przez wspólne życie.

No i znowu. Wspólne życie. O czym ona myśli? Dlaczego pozwala swoim myślom galopować tak daleko?

Kiedy spoglądała na Jeda, miękły jej nogi. Jego ciemne włosy, delikatny zarost, mocno zarysowana szczęka... No i te oczy! Kiedy otworzył jej drzwi do kafejki i dotknął jej ramienia, żeby nią pokierować, poczuła dreszcz. Miło było na niego patrzeć. Zaczęła się zastanawiać, jak mogłyby wyglądać ich dzieci. Może miałyby jego rysy i jej blond włosy... Ech, naprawdę powinna przestać.

Za pięć dziesiąta stanęli na schodach przed jej domem. Nie pocałował jej ani nie objął. Nie próbował nawiązać żadnego fizycznego kontaktu. Trzymał ją tylko za rękę. Rose miała ochotę namiętnie go pocałować i wtulić się w niego.

– To był cudowny wieczór – powiedział. – Bardzo chciałbym się z tobą znowu spotkać. Wkrótce.

– Ja też tego chcę – odparła. – Może zjesz z nami kolację? Jutro wieczorem?

– Jutro wieczorem mam zebranie w kościele – od strony frontowego okna dobiegł głos jej ojca. – Może w środę?

Rose i Jed się roześmiali. Umówili się na środę. Jed pochylił się i wyszeptał coś, czego nie dosłyszała.

– Co powiedziałaś?

– Mówiłem ci, że to będzie więcej niż jedna randka.

Uśmiechnęła się do niego. Po chwili Jed odjechał. Rose mogłaby przysiąc, że po drugiej stronie okna rozległ się chichot.

czternaście

Kolacja z Rose i Shepem nie była idealna. Czuło się napięcie. Jakby siedzący przy stole ojciec chciał zapewnić córce ochronę. Shep kojarzył się z niedźwiedziem szykującym się do skoku. Jedowi podobała się wzajemna relacja ojca i córki, sposób, w jaki ze sobą rozmawiali. Rose przygotowała posiłek. Shep uparł się, że upiecze swój słynny chleb kukurydziany. Sam też wybrał wino, które pasowało do kurczaka i sałaty.

– Chleb kukurydziany jest zawsze odpowiedni – stwierdził. I miał rację.

– Chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej o twojej mamie – powiedział Jed, upijając łyk wina. Zerknął w kierunku Shepa. – Jeśli oczywiście nie ma pan nic przeciwko temu.

Zmarszczki na czole mężczyzny zniknęły na moment. Shep ruchem ręki dał znać, żeby Jed kontynuował.

– Jak się poznaliście?

– Och, nie chcesz słuchać takiej opowieści.

– Tato, opowiedz. Uwielbiam tę historię.

Jed wytarł usta serwetką i uśmiechnął się do mężczyzny. Chciał zachęcić go do dalszej rozmowy. W szorstkim, nieprzystępnym Shepie było coś, co przypominało Jedowi jego własnego ojca, ale nie potrafił powiedzieć, co to takiego.

– Oboje byliśmy dziećmi wojny. Urodziliśmy się na początku lat czterdziestych. Mój ojciec od czasu do czasu pracował na farmie jej ojca.

– Pochodzili z dwóch zupełnie różnych światów – dodała Rose.

– Czy ty chcesz opowiadać, czy ja mam mówić? – zapytał Shep.

– Nie, nie. Mów. Chciałam tylko uzupełnić ten obraz.

Shep rozsiadł się wygodnie na krześle, założył ręce za głowę, przeciągnął się i zamknął oczy. – Pamiętam dzień, w którym po raz pierwszy ją zobaczyłem. Była ode mnie o rok młodsza. To było przy szkole podstawowej. Graliśmy w baseball, berka i inne gry. Przez pole szła ta mała, śliczna istota z włosami zaplecionymi w warkocze i książkami przyciśniętymi do piersi.

Rose dotknęła ręki Jeda i poruszyła bezdźwięcznie ustami: *Była jak z obrazka.*

– Była jak z obrazka – ciągnął Shep. – Słodka jak małe szczeniátko. Wcześniej widywałem ją na farmie i na szkolnym podwórku, ale tak naprawdę zobaczyłem ją dopiero wtedy.

– A pamięta pan swoją pierwszą randkę? – spytał Jed.

– To mi zabrało dużo czasu.

– Przekonanie jej, żeby się z panem umówiła?

– Przekonanie jej rodziców, że można się ze mną umówić.

– Był z innego świata – powtórzyła Rose i uśmiechnęła się szeroko. – Czy już o tym wspomniałam?

– Coś sobie przypominam – odparł Jed.

– Moja rodzina nie była majątna, choć tata ciężko pracował. Nauczył nas doceniać codzienny znój. Po prostu nie miał tyle szczęścia co ojciec Lily. Szybko się zorientowałem, że najlepszym miejscem, w którym mogę się z nią spotkać, jest kościół. Ich rodzina często do niego chodziła. Ledwo uchylano drzwi świątyni, oni już byli w środku.

– W szkółce niedzielnej mama i tata siedzieli obok siebie – powiedziała Rose.

– Nie miałem jej zbyt wiele do zaoferowania. Nie rozróżniałem Jezusa od Józefa. Nie potrafiłem znaleźć Księgi Rodzaju w Biblii. Uczyliśmy się poszczególnych ksiąg na pamięć, po kolei, i była to najtrudniejsza rzecz, jaką musiałem wtedy robić. Ledwo byłem w stanie przeliterować własne imię. Lily nauczyła mnie piosenki o wszystkich księgach.

– To pan śpiewa?

Zamachał gwałtownie rękami. – To była dziecięca piosenka.

– Kiedyś przewodziłeś śpiewaniu pieśni w kościele, do którego chodziliśmy, prawda, tato?

– Wtedy chodziło jedynie o to, żeby wszyscy zaczęli i skończyli śpiewać w tym samym czasie. W trakcie całego tego zamieszania oraz wymyślania kolejnych możliwości bliższego poznania Lily natknąłem się jednak na kogoś innego.

Jed uniósł do góry brwi. – Na inną dziewczynę?

– Nie. Na kogoś znacznie ważniejszego. Zawsze sądziłem, że kościoły i religia są dla ludzi, którzy potrzebują pewnego rodzaju podpory, takich kul. Wierzyłem w Boga od najmłodszych lat, ale lubiłem mieć wszystko pod kontrolą i odpuszczać sobie pewne rzeczy. Ale kiedy zacząłem czytać Biblię, obserwować, jak mocno Bóg jest obecny w ludzkich sercach, zapragnąłem, żeby ze mną stało się tak samo.

– I właśnie wtedy mama się nim zainteresowała – rzuciła Rose.

– Może jednak nie będę ci przerywał i opowiesz wszystko do końca – powiedział Shep. Potrząsnął głową i udawał zagniewanego.

– Mama mówiła mi, że tata był największym zawadiaką, jakiego kiedykolwiek spotkała. W szkole i w ogóle. Pierwszy do bójki. Pierwszy, żeby wskoczyć do byle sadzawki. Ale po tym, jak w jego sercu zagościł Bóg, tata zwrócił całą swoją energię i pragnienia w zupełnie innym kierunku.

– Nadal jestem największym zawadiaką – pochwalił się Shep i nałożył trochę masła na kawałek kukurydzianego chleba. – Chociaż Lily nieco mnie utemperowała. Zmiękczyła mnie trochę.

– Jak udało się panu przekonać rodziców Lily o tym, że jest pan dla niej od-

powiednim mężczyzną? – zapytał Jed.

Shep spojrział na niego znacząco, jakby zrozumiał ironię zawartą w pytaniu. – Postawiłem na wytrwałość. I dowiodłem, że jestem wart ich córki. Ojciec Lily był szczwanym lisem, a mama wydawała się słodka i dobra jak lipowy miód. Ale jeśli załazło się jej za skórę, nie dawała za wygraną. Cóż, siedziałem dokładnie w tym miejscu, kiedy poprosiłem o rękę Lily.

Jed odchylił się do tyłu i rozejrzał po pokoju. – To był dom twojej mamy?

– Pochodzi jeszcze z czasów wojny secesyjnej – odparła Rose.

– Z 1863 roku – dodał Shep. – Na początku farma miała trzysta akrów. Hodowano tu krowy, uprawiano tytoń, kukurydzę i co tylko dusza zapragnie. Ziemię przekazywano z pokolenia na pokolenie. Kiedy pobraliśmy się z Lily, jej rodzice w prezencie ślubnym dali nam dziesięć akrów ziemi na pagórku, przy stawie. Zamierzaliśmy wybudować tam dom, ale dostałem pracę w masarni i przeprowadziliśmy się bliżej niej. Potem, kiedy rodzice Lily zaczęli chorować, wróciliśmy tu, żeby im pomóc.

Shep odsunął stojący przed nim talerz i wlepił wzrok w Jeda. – Pora, żebyś ty mi coś opowiedział. Jak się ma twoja mama?

– Dobrze. Zdarza jej się usłyszeć jakąś piosenkę ojca w radiu i wtedy ma gorszy dzień. Moim zdaniem, przez lata nauczyła się żyć z ciężarem błędów, które popełniła, i z tym, że straciła męża.

– Grała w jego zespole, prawda? I była żoną jednego z muzyków.

– Tato, może nie powinniśmy o tym rozmawiać – odezwała się Rose.

– Nie, w porządku – powiedział Jed. – Tak, byli przyjaciółmi. Razem śpiewali. Razem podróżowali.

– Wydaje mi się, że jej pierwszy mąż popełnił samobójstwo.

– Tak. Taka sprawa może się położyć cieniem na całe życie, jeśli się na to pozwoli. Ale Bóg im wybaczył. Człowieka nie definiuje tylko jego przeszłość.

– To prawda – odparł Shep.

Zadał jeszcze parę pytań o to, gdzie Jed dorastał, jak radził sobie ze sławą i z podróżami ojca.

– Tata był kimś więcej niż tylko piosenkarzem i autorem piosenek – mówił Jed. – Większość ludzi widziała w nim jedynie osobę publiczną. A on na przykład nauczył mnie stolarki. Był naprawdę dobrym cieślą. Kiedy wchodziłem do tego domu, najpierw zauważyłem, że został wyjątkowo solidnie zbudowany. Dostrzegłem krzywiznę klatki schodowej. Staranność wykończenia.

– Ciężko pracujemy, żeby utrzymać go w dobrym stanie – rzucił Shep. – A ty nie śpiewasz zbyt wielu piosenek swojego taty. Nie wykonałeś ich na sobotnim koncercie. Myślę, że ludzie właśnie tego chcieliby posłuchać.

– No tak. I może gdybym poszedł w tym kierunku, odniósłbym większy sukces.

– Ale ty nie chcesz iść w tym kierunku.

– Próbuję komponować własne kawałki, panie Jordan. Nie chcę żyć w cieniu ojca ani wykorzystywać jego sławy. Ale jestem pewien, że kiedyś do nich wrócę.

– A jeśli nie uda ci się utrzymać ze śpiewania? – ciężar tego pytania zawisł w powietrzu jak gęsty dym nad wypalającym się ogniskiem.

– Wydaje mi się, że jeśli na pierwszym miejscu będzie u mnie Bóg, wszystko się dobrze ułoży.

– Muszę przyznać, że to niezła odpowiedź – odparł Shep. Wstał i zaniósł swój talerz do zlewu. – Może macie ochotę na spacer? Pokaż Jedowi ten kawałek ziemi, o którym opowiadałem.

– Tato, tylko nie zmywaj. Zrobię to później.

– Nie. Dzisiaj ja pozmywam. Ty gotowałaś. A teraz już idźcie.

Rose uśmiechnęła się i sięgnęła po sweter. Poszli w kierunku stodoły. Poczuli zimny wiatr. Rose skrzyżowała ręce na piersi.

– Nadciąga zima.

– Jak co roku, prawda?

– Jaka jest twoja ulubiona pora roku? – zapytała.

– Lubię, gdy wszystko rośnie wiosną. I upał lata. I zimno zimy, kiedy można się wtulić w ciepły koc przy kominku. Ale myślę, że moją ulubioną porą roku jest jesień.

– Lubisz mieniające się kolorami liście?

– Oczywiście. Ale najbardziej lubię jesień dlatego, że właśnie wtedy odnalazłem Rose.

Odepchnęła go od siebie i pobiegła w stronę wzgórza. Ruszył za nią. Wsluchiwał się w śmiech dziewczyny. Zastanawiał się, czy jej ojciec obserwuje ich przez okno. Czy on też wbiegał za matką Rose na to wzgórze?

– To tutaj – powiedziała, łapiąc oddech. – Właśnie tu mieli wybudować domek i założyć rodzinę.

– Co za widok! – odezwał się Jed. – Wspaniałe miejsce, żeby coś wybudować. Założę się, że można stąd dojrzeć przyszłość.

Zeszli nad staw. Podniósł kamień i puścił kaczkę.

– Jak to zrobiłeś? – zapytała. – Za każdym razem, kiedy próbuję... Sam zobacz. – Chwyła kamyk i wrzuciła go z pluskiem do wody.

– Nie było to mistrzostwo świata – zażartował. – Chodzi o to, żeby znaleźć właściwy kamień.

– Naprawdę?

– Tak. Musi być płaski, tak aby sunął po tafli wody.

– Taki jak ten? – spytała.

– Idealny. Spróbuj jeszcze raz.

Rzuciła kamień. Znowu usłyszeli plusk.

– Twój kamyk odbił się chyba z dziesięć razy – powiedziała z zazdrością. – Jak to zrobiłeś?

– Mój tata słynął z puszczania kaczek. Wszystkich potrafił w tym wykosić. Chodź tutaj.

Stanął za nią i podał jej kamień, który dla niej wybrał. Idealnie wpasowała się w jego ramiona. Jej zapach, włosy – wszystko w niej go upajało. Ale musiał się skupić na zadaniu.

– Łapiesz go, o, w ten sposób. Musisz się zamachnąć, ale tak raczej bokiem. A na koniec wykonaj ruch nadgarstkiem.

Oparła się o niego i spojrzała mu w twarz. Może czuła tak samo mocne przyciąganie jak on? Tym razem rzuciła kamień tak, jak pokazywał mu kiedyś ojciec. Kamień odbił się kilka razy od powierzchni wody. Rozległ się okrzyk Rose: – Udało się!

– Tak, udało się!

I właśnie w tym momencie Jed zobaczył ich w wyobraźni razem. Puszczali kaczki. Byli nieco starsi niż teraz. Towarzyszyło im kilkoro dzieciaków. Zobaczył ich nad stawem, na farmie, w domu w Louisville, a może w Nashville, wyjeżdżających na weekendowe wycieczki... Czy można to wszystko zobaczyć na drugiej randce? A może były to tylko jakieś urojenia?

Nie, to było realne. Uczucie w jego sercu było tak rzeczywiste jak plusk wody i jej pomarszczona tafla.

Skradłaś mi serce, przeszło mu przez myśl. Skradłaś mi serce jednym spojrzeniem.

Pozostawało jedynie pytanie, czy jemu również się to udało.

piętnaście

Bez menedżera i kontraktu płytowego Jed czuł się jak odcięty od świata muzycznego i wszystkiego, co do tej pory próbował zbudować. Wygodnie było, kiedy ludzie wszystko za niego planowali, mówili, dokąd ma jechać i co robić, podczas gdy on koncentrował się tylko na muzyce. Ale temu odcięciu towarzyszyło dziwne poczucie wolności. Jed uwolnił się od oczekiwań ludzi, którzy chcieli, aby stał się kimś, kim nie był.

Na koncercie w winnicy Jordanów pojawił się ktoś z college'u Christian z Campbellsville. Ten człowiek poprosił Rose o numer telefonu Jeda. W ten sposób występ w winnicy doprowadził go do kościoła w Lexington. Jed miał zagrać na piątkowym wieczornym spotkaniu przy kawie. Potem sypnęły się propozycje kolejnych występów. Nie wiązało się to ze znacznym przyływem gotówki, ale Jed czuł, że zapuszcza korzenie w prawdziwej sztuce. W jego śpiewaniu chodziło o coś więcej niż tylko o zarabianie pieniędzy i zdobywanie kolejnych nagród. Chodziło też o to, żeby wracać do Rose.

Ciągle o niej myślał. Każdego wieczoru tuż przed zaśnięciem przypominał mu się jej uśmiech. A kiedy wracał samochodem do domu, analizował ich wspólne rozmowy.

– Byłam wychowywana przez tatę i dwóch braci – powiedziała mu kiedyś podczas jednego ze spacerów.

– Gdzie oni teraz są?

– W Louisville. Nie są stworzeni do pracy w winnicy. Zwiali stąd.

– A ty myślisz, że kiedyś stąd zwiejesz?

– Nie. Kocham to miejsce. Rodzina jest dla mnie ważna. Pewnie mogłabym znaleźć gdzieś inną pracę. Pozwoliłaby mi zapłacić za rzeczy, które i tak w końcu bym wyrzuciła lub zostawiła po śmierci komuś innemu. Rodzina jest na zawsze, prawda?

Te słowa zapadły mu w pamięć.

– A czy twoi bracia pojawiają się czasami w winnicy?

– Nie przyjechali na festiwal. Pewnie byli zbyt zajęci. A może mają zbyt dużo wspomnień związanych z tym miejscem... Z natury nie są źli, ale chyba trochę zagubieni.

Odwróciła się, a on zaczął myśleć o swojej rodzinie, relacji z ojcem i mamą. A także o rodzinie, którą zostawił jego tata.

– Mam dwóch przyrodnych braci i przyrodnią siostrę.

– Czy oni też są muzykami?

– Niestety, nie wiem.

– Dlaczego?

– Nie chcą ze mną rozmawiać.

– Dlaczego?

Kiedy się zawahał, przeprosiła za swoją ciekawość. Machnął ręką i wyrzucił z siebie całą historię o romansie ojca i mamy, poczętym dziecku i planach aborcji, swoich narodzinach. Rose słuchała uważnie, jakby czytała najciekawszą książkę o najbardziej interesującej osobie na świecie.

Zabrał ją do jakiegoś klubu w Nashville na występ piosenkarza country. Kiedyś śpiewał przed jego koncertem, ale podejrzewał, że wykonawca go nie pamięta, za to z pewnością pamięta jego ojca. Usiedli przy stoliku z dala od sceny i rozmawiali, starając się przekrzyczeć muzykę. Nie był pewien, co bardziej lubi – rozmowy podczas podróżowania samochodem czy przy barowych stolikach. Pragnął po prostu spędzać z Rose każdą możliwą chwilę.

– Chciałbyś być teraz tam, na scenie? – zapytała, kiedy muzyk zrobił sobie przerwę.

– Jakaś część mnie by chciała. To jedyna rzecz, jaką do tej pory robiłem poza stolarką. Ale to prawie to samo, wiesz? Pisanie piosenek i budowanie czegoś. Zresztą tak naprawdę nie ma znaczenia, czym się zajmujesz, jeśli tylko robisz to dla Boga.

– Ja też tak zawsze czułam. Jest taki fragment Biblii, który ciągle do mnie wraca. Chodzi o Psalm 37. – Wyprostowała się i zamknęła oczy. Kiedy usiłowała się skoncentrować, na jej czole pojawiła się cieniutka żyłka. Natychmiast pomyślał, że jest to najpiękniejsza żyłka, jaką kiedykolwiek wiedział. – *Złóż nadzieję w Jahwe i czyn, co dobre, a będziesz mieszkał w kraju i żył bezpiecznie. Niech Jahwe będzie twą rozkoszą, a użyty ci [wszystkiego], czego serce twoje pragnie.*

Jed popatrzył na nią z zachwytem. Czuł się, jakby odkrył kopalnię złota.

Kilka tygodni przed Bożym Narodzeniem siedzieli na kanapie, popijali wino i oglądali powtórkę *Tego wspaniałego życia*. Shep zasnął w swoim fotelu, przykryty wełnianym pledem. Zaakceptował już obecność Jeda. Atmosfera w domu Jordanów zmieniła się z napiętej w przyjazną. Jed pomagał przygotowywać winnicę do zimy. Shep wydawał się nawet zadowolony z tego, że ma Jeda pod ręką, choć od czasu do czasu okazywał mu jeszcze swoją nieufność. Tego wieczoru towarzyszył im przez większość czasu. Teraz chrapał w najlepsze, co trochę umniejszało romantyzm spotkania.

Jed uśmiechnął się do Rose. – Czy ty też tak chrapiesz?

– Mam nadzieję, że nie – odparła.

Objął ją ramieniem, przyciągnął do siebie i poczuł, że cały świat odpływa w nieznane.

James Stewart i Donna Reed namiętnie ściskali się wieczorem po swoim ślu-

bie, a deszcz przeciekał przez dziury w dachu starego pałacu Granville. Ernie i Bert śpiewali pod oknem „I Love You Truly”. Jed pomyślał, że ta piosenka to dobry materiał do przeróbki.

– To moja ulubiona rzecz – wyszeptała nagle Rose, sięgając po album ze zdjęciami winnic z całego świata. Na jednej stronie znajdowała się fotografia białej kaplicy otoczonej krzakami winorośli. Przyklejono tam karteczkę z czerwonym napisem: *Uwielbiam to!!!* i strzałką.

Rose jeszcze bardziej wtuliła się w Jeda. Poczuł miękkość jej włosów na swojej skórze. Oparł swój zarośnięty policzek o jej głowę, przyłożył usta do jej ucha i powiedział: – Myślę, że cię kocham, Rose Jordan. – Ujął jej podbródek w swoje dłonie i pocałował ją. Po chwili odsunęła się i spojrzała na niego. Jej oczy skrzyły się ogniem. Jed czekał. Był ciekawy, co ona o tym myśli.

Rose odłożyła album i bez wahania odwzajemniła jego pocałunek. Objęła Jeda i przyciągnęła go do siebie. Znowu pocałowali się namiętnie. Smakował wino na jej ustach.

Nagle w pokoju zapanowała dziwna cisza. Po chwili uświadomili sobie, że to Shep przestał chrapać.

Ojciec Rose zakaszłał znacząco. – Hej, dzieciaki, jak tam film?

– Dobry – odparła Rose i szybko usiadła prosto.

– Choć nie tak dobry jak wino, panie Jordan – dodał Jed. Dostrzegł, że Rose przewraca oczami.

– Miło to słyszeć. Chyba jednak postaram się obejrzeć go do końca.

– Muszę już iść – powiedział Jed.

– Chyba nie z mojego powodu, co? – zapytał Shep.

Jed wypił ostatni łyk wina i założył płaszcz. – Muszę wracać do domu. Myślę, że dziś napiszę nową piosenkę.

Rose stłumiła śmiech i poszła go odprowadzić na ganek.

Jed ujął jej dłoń. – Rose, kocham cię.

Uśmiechnęła się. – Ja też cię kocham.

Jed występował w jednej z kafejek w pobliżu Louisville. Rose była gdzieś w tłumie fanów. zaproponował mamie, żeby poszła z nimi, ale ona nie czuła się dobrze. A Shep nie lubił prowadzić w nocy – jego wzrok nie był już chyba tak dobry jak dawniej.

Jed właśnie zamierzał zagrać swoją ostatnią piosenkę, kiedy nagle coś w niego wstąpiło – być może pod wpływem przyjaznego aplauzu, który dotarł do jego uszu, lub wyrazu twarzy Rose. A może po prostu zatęsknił za ojcem.

– Zwykle tego nie robię – zaczął – ale ten kawałek pewnie świetnie znacie.

Moje uszy niesłyszące, moje oczy słabnące.

Mrok jest blisko i twoje światło oślepiające.

Czy słyszysz, że płaczę i rozpaczą palam?

Bo na kawałki się rozpadam.

Złapiesz mnie, kiedy tak upadam?

To był refren jednej z najbardziej znanych piosenek jego ojca. Jed zaśpiewał ją od pierwszej do ostatniej linijki. Włożył w to całe swoje serce, tak jak zwykł to czynić jego ojciec. Gitara oddawała ból i tęsknotę. Jed spojrzał na Rose, która początkowo wydawała się nieco zdziwiona aplauzem. Kiedy skończył śpiewać, cała sala szalała. Może nie były to niekończące się owacje na stojąco, ale ludzie oddali hołd słowom i muzyce, które płynęły od ojca i syna.

Tego samego wieczoru Jed siedział na przyczepie samochodu Shepa i wpatrywał się w niebo, a potem w oczy Rose. Wszystko stało się dla niego tak jasne, jak nigdy dotąd.

– Byłeś dzisiaj naprawdę świetny – stwierdziła Rose.

– Cieszę się, że tak sądzisz.

– Wszyscy tak sądzą.

Spojrzał na nią uważnie. – Cóż...

– Ludziom najbardziej podobała się ta ostatnia piosenka.

– Tak... – potwierdził z odrobiną smutku w głosie.

– O co chodzi? – zapytała.

– To była piosenka mojego taty.

Dziewczyna wyraźnie się speszyła. Jed szczerze pożałował, że jej to powiedział.

– Och, przepraszam cię – wyszeptała.

– Nie musisz przepraszać. W porządku. To bardzo dobra piosenka. – Zamyslił się na chwilę. Rozważał, czy powiedzieć jej, co tak naprawdę się z nim dzieje. Spojrzał na jej twarz, dostrzegł malującą się na niej miłość i postanowił za ryzykować. – Wiesz, czasami myślę, żeby sobie odpuścić. Muzykę. Patrę na ciebie. Patrę na gwiazdy... I widzę Boga.

Rose spojrzała na niego z uwagą. Biła się z myślami. – Gdybyś mógł poprosić o coś Boga i wiedział, że On się na to zgodzi, to o co byś poprosił?

Przez jego głowę przelatywało mnóstwo myśli. Cofnąłby czas. Uchroniłby ojca od śmierci. Mógłby odnieść sukces. Mieć tysiące fanów.

– Chciałbym być mądry – powiedział w końcu. – Wtedy mógłbym dobrze przeżyć swoje życie. Naprawdę żyć. I śpiewałbym tylko dlatego, że miałbym rzeczywiście coś ważnego do przekazania.

– W takim razie powinieneś o to poprosić – stwierdziła Rose. Odsunęła się od niego i zatkała rękami uszy. Jedowi przeszło przez myśl, że tak właśnie musiała

wyglądać, kiedy była mała. Tak pięknie.

– Nie będę podsłuchiwać – obiecała. – No dalej, prosz.

I tak zrobił. Wypowiedział te słowa do nieba, tak jakby bezpośrednio rozmawiał z Wszechmogącym. – Panie Boże, chcę być mądry. – A potem dodał: – Bardzo o to proszę.

Rose opuściła ręce i spojrzała mu w oczy. – I co, czujesz się jakoś inaczej?

Milczał. W wyobraźni zobaczył kaplicę z albumu. To było tak, jakby Bóg zwrócił się do niego i wskazał mu ścieżkę. Jed ujrzał dłonie swojego ojca spoczywające na kawałku drewna, krzewy winorośli zwrócone ku słońcu, a tuż za nimi białą kaplicę.

Wstał, spojrzał w stronę wzgórza, a potem nagle odwrócił się do Rose. – Myślisz, że twój tata pozwoliłby mi wybudować tutaj kaplicę? W winnicy? Taką jak w albumie?

– Dlaczego chcesz to zrobić? – spytała Rose, a na jej twarzy pojawił się uśmiech.

– Żeby się z tobą ożenić – odparł.

Jej oczy zdradzały wszystko, co chciał wiedzieć. Mówiły o przyszłości. Ich przyszłości.

– Zapytam twojego ojca. I wybuduję kaplicę – powiedział Jed. – Wyjdź za mnie.

Skinęła głową. I nagle znalazła się w jego ramionach. Śmiała się i płakała jednocześnie.

Kiedy się uspokoiła, Jed spojrzał w jej oczy i poprosił: – Pozwól mi to zrobić. Pozwól mi wybudować tę kaplicę.

– Ile ci to zajmie?

– Rok.

Rose potrząsnęła głową. – Tak długo?! Aż tyle mam czekać?!

Następnego dnia Jed pojawił się bez zapowiedzi przed śniadaniem i zapytał, czy może porozmawiać z Shepem w jego gabinecie. Mężczyzna spojrzał na niego, a potem na Rose, która szeroko się uśmiechała.

Jed usiadł naprzeciwko człowieka, który, miał taką nadzieję, zostanie jego teściem, na tym samym krześle i w towarzystwie tych samych wypchanych zwierzaków co wtedy, gdy pytał o pozwolenie na randkę z Rose. To dziwne, ale tym razem wydawały się dodawać mu otuchy.

– Panie Jordan, jak sądzę, wie pan już, że ja i Rose się kochamy.

– Mmhmm. Tak przynajmniej wam się wydaje.

– Słucham?!

– Moim zdaniem, słowo *kochać* jest nadużywane. Ludzie kochają drużyny piłki nożnej, cappuccino, krewetki w panierce, masło orzechowe i zapach nowego samochodu. Ale to nie miłość.

Jed skinął głową.

– Pokochać to znaczy złożyć zobowiązanie. Miłość nie polega na mówieniu, lecz na działaniu. Każdy potrafi o niej mówić, ale tak naprawdę niewielu potrafi jej dowieść w życiu. Rozumiesz mnie?

Jed poczuł suchość w ustach. Znów kiwnął głową. – I dlatego, panie Jordan, chciałbym udowodnić pani córce, że ją kocham. Powiedziałem jej o tym, ale chcę, aby stało się to oficjalne.

– Sądzisz, że Rose jest ci przychylna?

– Wiem, że tak – odparł Jed i pochylił się do przodu. – Panie Jordan, zgodził się pan, bym umówił się z nią i sprawdził, czy między nami wszystko się ułoży. I prosił mnie pan, abym dał jej spokój, jeśli się zorientuję, że ta znajomość do niczego nie prowadzi. Żebym nie zламаł Rose serca. Cóż, nasza relacja stała się ważna. Stoję na straży serca Rose, a ona skradła moje. Szanuję ją i pana. Cały czas próbuję panu udowodnić, że nie jestem taki jak inni mężczyźni.

Shep pokiwał głową. – Wiesz co? Zdałeś ten egzamin. Myliłem się co do ciebie. Przynajmniej tak mi się wydaje. Zrobiłeś wszystko, o co cię prosiłem – a nawet więcej – aby uszczęśliwić moją córkę.

– Dziękuję – Jed niemalże się zachłysnął. – Mam więc pana błogosławieństwo?

– W jakiej sprawie?

– W sprawie zawarcia małżeństwa. Chcę się ożenić z pani córką.

Mężczyzna zmrużył oczy, jakby była to dla niego zupełnie niespodziewana nowina. Pochylił głowę, wstał, wyprostował się i wyciągnął rękę. – Zrób sobie badanie krwi.

– Proszę?!
– Zrób sobie badanie krwi, żeby się upewnić, czy na coś nie chorujesz. Wtedy dostaniesz moje błogosławieństwo.
– Proszę pana, nie ma mowy, żebym miał...
– To dobrze. Zatem badanie krwi nie powinno być dla ciebie żadnym problemem.
– Tak, proszę pana. Ma pan rację. To żaden problem.
Shep mocno uściśnął jego dłoń. – Jeżeli zdasz ten ostatni egzamin, zostaniesz przyjęty.

Badania krwi Jeda i Rose (ona również postanowiła je zrobić) nie wykazały żadnych nieprawidłowości. Rose przeczytała wszystkie dostępne książki na temat małżeństwa. Choć jeszcze nie wzięli ślubu, wydawała się wiedzieć na ten temat wszystko.

Pastor Bingham z wielkim entuzjazmem udzielał im nauk przedmażeńskich. – Większość ludzi starannie przygotowuje się do samej ceremonii ślubnej niż do małżeństwa – powiedział na pierwszej sesji. – Największym prezentem, jaki mogę wam ofiarować, jest uświadomienie problemów, z którymi będziecie musieli się zmierzyć na swojej drodze, i pokazanie, jak nad nimi pracować już teraz, a nie wtedy, gdy będzie za późno.

Rozmawiali o założeniu rodziny, o codziennych obowiązkach, o tym, kto powinien robić zakupy. Niewiele brakowało, a poddali by pod dyskusję nawet to, w jaki sposób wyciskać pastę do zębów z tubki.

– Nie uwierzycie, ile żółci może się wylać przez takie drobiazgi – tłumaczył pastor. – Pary bardzo często skrywają wzajemne urazy, nie mówią o nich, aż w końcu przestaje im już zależeć. A wtedy nie pamiętają nawet, co było prawdziwą przyczyną problemu. Nie chciałbym, żeby coś takiego się wam kiedyś przydarzyło.

Podczas kolejnych sesji stawało się coraz bardziej jasne, że Jed i Rose doskonale do siebie pasują, ba, najwyraźniej zostali dla siebie stworzeni! Oczywiście, były pomiędzy nimi także różnice, ale zdaniem pastora Bingham, mogły one nawet jeszcze bardziej ich do siebie zbliżyć. Jed występował przed publicznością na scenie, lecz lubił spokój i samotność. Był typem myśliciela. Rose natomiast potrzebowała przyjaciół i uwielbiała życie rodzinne.

– Musicie rozpatrzyć i takie sytuacje... – zaczął pastor. – Rose, jak zareagujesz, gdy zostaniecie zaproszeni na imprezę, a Jed nie będzie chciał pójść? Co się stanie, jeśli jego muzyka się nie spodoba i nie zarobicie na rachunki? Czy pójdziesz do pracy?

– Chcę pomagać tacie w winnicy – odparła Rose. – Nie chcę pracować poza nią.

– A jeśli Jed będzie musiał pójść do pracy w jakiejś firmie? I wyślą go do Dallas, Seattle czy Green Bay? Co wtedy zrobisz?

– Jed nie będzie chciał, bym stąd wyjeżdżała.

– Wiem, że to miejsce jest dla niej ważne – odezwał się Jed. – Kiedy zaczęliśmy się spotykać, powiedziała coś takiego... – Zamyślił się na chwilę. – Powiedziała, że rodzina jest ważniejsza niż przedmioty, bo te i tak w końcu się wyrzuca. A rodzina jest na zawsze.

– I ty się z tym zgadzasz?

– Wtedy nie bardzo to rozumiałem, ale teraz już tak.

Serce Rose zabiło mocniej z radości, kiedy usłyszała swoje słowa wypowiedziane przez Jeda. Nie spodziewała się, że narzeczony pamięta ich rozmowę sprzed kilku miesięcy.

Pastor Bingham pokiwał głową i zadał im kolejną serię pytań. Ale Rose najbardziej poruszyło właśnie to o przenosiny w inne miejsce. W nocy długo nie mogła zasnąć. A jeśli rzeczywiście będą musieli kiedyś opuścić winnicę? Czy będzie w stanie kiedykolwiek stąd wyjechać?

Następnego dnia jedli obiad z mamą Jeda. Rose trochę ją już poznała. Chciała, by ich relacja nieco się ożywiła, tak jak w opowieści o Rut i Noemi. Do tej pory Bethany King wydawała się nieco zdystansowana, choć zawsze była miła i uprzejma. Rose liczyła na to, że z czasem ich stosunki się ocieplą.

Kiedy Rose pokazała swój pierścionek zaręczynowy, Bethany nie potrafiła ukryć zdziwienia.

– Skąd miałeś pieniądze?

– Oszczędzałem na dom – odparł Jed. – Ale postanowiłem zainwestować w coś odrobinę wcześniej.

– Jest przepiękny! – wykrzyknęła Bethany.

– Ja naprawdę nie chciałam, by Jed wydał zbyt wiele – odezwała się Rose. – Wystarczyłby mi kawałek rzemienia na palcu.

– Bardzo się cieszę z powodu waszych zaręczyn – stwierdziła Bethany. – Czy wyznaczyliście już datę ślubu?

– Myśleliśmy o pierwszym weekendzie października – odpowiedziała Rose.

– To prawie dokładnie rok od momentu, kiedy się poznaliśmy.

– A wasz pastor nie ma nic przeciwko temu? Że wszystko toczy się tak szybko?

– Mamo, odbyliśmy już trzy sesje nauk przedmałżeńskich – powiedział Jed z nutką zniecierpliwienia w głosie. – Rok to wystarczająco długo, jeśli jest się pewnym.

– Jesteśmy świadomi wielu rzeczy – dodała szybko Rose, żeby załagodzić

sytuację. – Mamy dużo wspólnego, ale wiele kwestii musimy jeszcze przepracować. – Chwyciła dłoń Jeda. – Nie mogę się już doczekać tej pracy.

Bethany pogładziła drugą dłoń Rose i uśmiechnęła się, choć od jej postaci bił raczej smutek. Jej włosy były pokryte siwizną. Nie próbowała jej ukrywać. Jed twierdził, że w końcu zaczęła czuć się dobrze w swojej skórze i pogodziła się z samotnością wdowieństwa.

– Życzę wam wszystkiego najlepszego. Poślubisz naprawdę dobrego człowieka. A ja jestem szczęśliwa, że zyskuję córkę.

siedemnaście

Zanim nadszedł październik, wszystko było gotowe. Wszystko poza kaplicą.

– Wychodzisz za mąż w ramce dwa metry na cztery – powiedziała Denise, spoglądając na wzgórze.

– Sądzę, że to jest piękne – odparła Rose. – Przyczepię do niej białe wstążki i kwiaty.

– Powinnaś wziąć ślub w kościele. Myślę, że uda się jeszcze coś znaleźć.

– Nie sądzisz, że to romantyczne – nasza nieskończona kaplica? To znak, że zaczynamy. Z czasem postawimy ściany i położymy dach. I zbudujemy nasze małżeństwo.

– Słodko. Cudnie. A jeśli na tę twoją metaforę spadnie deszcz? W telewizji zapowiadali opady.

– Nie będę żyć pod dyktando kanału meteorologicznego.

– Ale może chociaż powinnaś to wziąć pod uwagę.

– Niech wieją wiatry i pada deszcz! Jeśli budujesz swoje małżeństwo na solidnych fundamentach...

– Dość tych przerośni. Czy cokolwiek to jest. Spójrzmy na to praktycznie. W październiku bywa wietrznie, mokro, a czasem naprawdę zimno.

– Jeżeli będzie naprawdę źle, przeniesiemy ceremonię do środka. – Gdzie do środka? Do stodoły?! Do domu, z tymi porzastawianymi po kątach martwymi zwierzakami?!

– Denise, to jest mały ślub. Ma być tylko około trzydziestu gości.

– Plus zespół, catering, fotograf...

– Posłuchaj, gdyby to był twój ślub, niczego bym ci nie narzucała. Jestem inna niż ty. Oczywiście, bardzo doceniam twoją pomoc.

– Sądzę, że popełniasz błąd – powiedziała Denise i pokręciła głową. – To zły znak.

– Co?

– Branie ślubu w nieukończonym budynku. Rose, to wygląda tak, jakbyście nie byli gotowi. Jed jest bardziej zainteresowany swoją karierą niż waszym związkiem. Nie widzisz tego?

– Sama zachęcałam go, by skupił się na muzyce. Wierzę w niego. Jesteśmy w tym razem i bardzo się cieszę, że chce nas z tego utrzymywać. Jest bardzo obojętny.

– To dobrze. Cieszę się, że ma chociaż płatne koncerty, choć nie ma kontraktu ani menedżera. Ale jeśli nie potrafi skończyć budowli, w której macie się pobrać, to czy można mu zaufać w poważniejszych sprawach? Pomyśl o tym, Rose.

Myślała o tym. Na początku zupełnie odrzucała przypuszczenia, że Jed

mógłby nie wywiązać się ze swoich zobowiązań. Za każdym razem, kiedy spoglądała na kaplicę, błyszczące w słońcu drewno i mieniące się kolorami liście w tle, do jej serca zakradał się jednak cień wątpliwości. Z pewnością ona zawsze jest dla niego na pierwszym miejscu, a on nigdy jej nie zawiedzie. Ale...

Will i Zack, bracia Rose, przyjechali rankiem w dzień ślubu. Rose wiedziała, że ich pojawienie się będzie trudne dla ojca. W pewnym sensie odrzucili przecież jego sposób na życie. Kiedy tylko weszli do domu, zapanowało w nim napięcie.

– Skup się na sobie – poradziła jej Denise.

I Rose tak zrobiła.

Wkrótce usłyszała nadjeżdżające samochody, głosy ludzi ustawiających stoły i przenoszących krzesła do kaplicy. Całe to zamieszanie było wbrew jej naturze. Coś podpowiadało Rose, żeby uciec gdzieś z Jedem, wziąć cichy ślub i uniknąć tych wszystkich kłopotów. Całe życie starała się nie rzucać ludziom w oczy. Ale marzenie o prawdziwym ślubie, białej sukni i przejściu przez kościół w towarzystwie ojca zwyciężyło.

Bethany King zapukała cicho i weszła do pokoju. Pokręciła głową, rozpromieniona radością. – Wyglądasz przepięknie – powiedziała.

– Ty też się nieźle prezentujesz – odparła Rose.

– Chciałam cię po prostu zobaczyć raz jeszcze przed ceremonią w tej sukience.

– Jak to dobrze, że pomogłaś mi ją wybrać!

– Ucieszyłam się, że mnie o to poprosiłaś. Jestem bardzo szczęśliwa z powodu waszego ślubu. Będzie wam ze sobą dobrze. On cię naprawdę kocha, Rose.

– Bardzo dziękuję. Za wszystko.

Do pokoju weszła Mavis Treadwell. Kobieta układała fryzury wszystkim pannom młodym i królowym balu w Sharon od ponad dwudziestu lat. Rose nie zamierzała wyłamać się z tej tradycji. Mavis wyszczotkowała i ułożyła jej włosy. Potem nadszedł czas na welon. Rose obejrzała się w lustrze. Nie mogła się doczekać, żeby zobaczyć minę Jeda.

– Twoja mama byłaby z ciebie dzisiaj bardzo dumna – odezwała się Mavis.

Trudno było sobie wyobrazić, jak zareagowałaby mama. Upłynęło wiele lat i pamięć o niej nieco zbladła. Rose spojrzała na fotografię matki znajdującą się przy lustrze i drewniany wazonik, który przeniosła niedawno na stolik przy łóżku. Nadal czuła słodkawy aromat perfum czy jakiegoś egzotycznego olejku, który go dawniej wypełniał.

Wszedł ojciec. Wstała, żeby mu się zaprezentować.

– I co sądzisz? – zapytała i obróciła się lekko.

– Wyglądasz olśniewająco! Trzeba będzie zasłonić oczy, kiedy będziesz szła

przez kościół. Wyglądasz wspaniale, ptysiu.

Zwracał się do niej tak, jak w dzieciństwie. W oczach Rose pojawiły się łzy.

– Och, nie! Tylko nie to! Bo oboje popłyniemy!

Wytarła oczy chusteczką, przy okazji ścierając odrobinę tuszu do rzęs. – Tato, czy ja dobrze robię? – wyszeptała. Nie miała odwagi na niego spojrzeć.

Głos ojca był niski i stanowczy. – To, co robisz, jest święte i czyste. Wkrótce połączysz się z kimś, kto składa ci u stóp całe swoje życie.

– To samo zrobię dla niego.

– Wiem. Dlatego będziecie bardzo szczęśliwi.

– Naprawdę tak myślisz?

– Tak, naprawdę. A jeśli okaże się inaczej, będzie miał ze mną do czynienia.

– Powiesz mu to przed ślubem czy po nim?

– On już o tym wie.

Otworzyły się drzwi i weszła roześmiana Denise. – Już czas. Lecę przodem, żeby odśpiewać pieśń na twoje wejście.

– Gotowa na spacer przed egzekucją? – zapytał ojciec po wyjściu Denise.

– Chyba nie będzie aż tak źle, tato.

Zanim Rose weszła na pierwszy stopień schodów, usłyszała cichy dźwięk gitary i delikatny głos Denise płynący nad wzgórzem jak lekki wietrzyk. Od kiedy zaczęli rozmawiać o ślubie, Rose wiedziała, że chce, aby Denise zaśpiewała „I Love You Truly”.

Z rodziny Jeda obecna była tylko mama.

Rose ścisnęło w gardle, kiedy zobaczyła swoich braci, uśmiechających się i wycierających łzy wzruszenia. Nie była na to przygotowana. Sądziła, że chłopcy są pozbawieni uczuć.

– Świetnie ci idzie – szepnął tata. – Tylko tak dalej, ptysiu, a będziemy musieli wykręcić tę sukienkę jak gąbkę.

Rose uśmiechnęła się i z gracją ruszyła wraz z ojcem do przodu. Tata położył jej dłoń na dłoni Jeda. Kiedy pastor Bingham zapytał: – Kto przekazuje tę kobietę temu mężczyźnie? – po policzkach Rose popłynęły łzy.

– Jej matka i ja – odparł ojciec, gładząc jej dłoń. A potem ona i Jed zostali sami.

Pastor Bingham odczytał fragment 1 Listu do Koryntian i nakazał im w każdym momencie życia kierować się miłością. Po chwili Rose, wpatrzona w zamglone oczy Jeda, przyrzekła mu miłość po grób. Wymienili się obrączkami i pocałowali.

Wszystko tak szybko się potoczyło, pomyślała.

Poszli wraz z gośćmi na przyjęcie, by cieszyć się owocami winnicy, muzyką i opowieściami.

Rose była pewna, że tego dnia nigdy nie zapomni. Czekala na niego całe

życie.

osiemnaście

Była poezją, rymem, wszystkim, co najlepsze na świecie. Jed wciąż przypominał sobie słowa miłości wypowiedziane tysiące lat temu: *Jak lilia pośród cierni, tak przyjaciółka moja między dziewczętami.*

Pojechali do domku w Indianie, wybudowanego nad rzeką Ohio. Należał on do producenta trzech największych albumów ojca Jeda. Kiedy ten człowiek dowiedział się o ich ślubie, zaoferował im tydzień pobytu za darmo. – Potraktuj to jako przysługę dla twojego staruszka – powiedział.

Jed z radością przyjął ten prezent. Kiedy przyjechali na miejsce, okazało się, że jest ono idealne. Jed wniósł ich rzeczy, a następnie wziął Rose w ramiona i namiętnie ją pocałował. Był delikatny, ale z trudem panował nad swoimi rękami.

Najbardziej ekscytujące w tym uścisku było to, że Rose go odwzajemniła. Nagle odsunęła się jednak i dziwnie spojrzała na męża.

– Co się stało? – zapytał.

– Mogę być całkowicie szczerą?

– Oczywiście.

Myślał, że powie coś o strachu przed zrobieniem czegoś nie tak. Sam też się bał.

– Umieram z głodu. Myślisz, że znajdziemy tu coś do jedzenia?

Roześmiał się głośno. – Nie jadłaś na przyjęciu?

– Byłam zbyt zajęta rozmowami z gośćmi i robieniem zdjęć. Denise przewidziała to, że zapomnę się najeść i zanim dojedziemy na miejsce, będę umierać z głodu.

– Poczekaj chwilkę – powiedział.

Pobiegł do samochodu i otworzył bagażnik. Dostawcy cateringu zamierzali powyrzucać niezjedzone warzywa, owoce i dipy. Poprosił ich o zapakowanie jedzenia w plastikowe torebki. Chciał to wszystko władować do lodówki Shepa, ale potem zapomniał o zawartości bagażnika.

– Mój bohater! – wykrzyknęła Rose, kiedy przyniósł jedzenie. – Nie wierzę, że udało ci się to zdobyć!

– Chciałbym ci powiedzieć, że to było z góry zaplanowane, ale minąłbym się z prawdą.

Usiedli przy stole. Jed zapalił dwie świece i rozpoczęła się uczta. Zaśmiewali się z tego, jak bardzo byli głodni. Rose przypominała sobie o pewnym wieczorze, kiedy to Jed kupił jej lody. Zrobiło się wtedy zimno i Jed, chcąc rozgrzać dziewczynę, poprosił ją do tańca.

– Masz ochotę znów zatańczyć? – zapytał teraz.

Rose ugryzła truskawkę. Po jej brodzie popłynął sok. Uniosła brwi. – Mam

ochotę na coś więcej niż taniec. I tym razem nie będzie to pocałunek na dobranoc.

Pochylił się i pocałował ją w brodę. Po chwili ich usta spotkały się, słodkie i mokre od soku.

Wzięła go za rękę i poprowadziła po schodach do sypialni. Stanęli twarzami do siebie, bez żadnego skrępowania. Księżyc oświetlał ich postacie. Jed odgarnął włosy z twarzy Rose.

O, jakżeś piękna, przyjaciółko moja, o, jakżeś piękna! Twoje oczy zza twej zasłony są [jak] gołębice! [...] Jak nieć purpurowa – twoje wargi [...].

Pokręcił głową. – Jesteś taka piękna! – Delikatnie przesunął palcem po jej policzku i podbródku.

Zaczerwieniła się.

– Chcę, byś to wiedziała. Wiesz, że jesteś idealna?

Cała piękna jesteś, przyjaciółko moja, i nie ma w tobie zmaży!

– Kocham cię – powiedział.

– Ja też cię kocham – odrzekła. Jej oczy mówiły więcej niż usta. Znow się ku niej pochylił.

Kiedy zasnęli, wtuleni w siebie, nadzy i bez wstydu, Jed miał sen. Był na wyspie, sam, opuszczony. Każdego dnia przychodził na plażę i patrzył w stronę oceanu. Wypatrywał na horyzoncie jakiegokolwiek ruchu. Jego tęsknota stawała się coraz większa, coraz bardziej bolesna.

O 4:44 nagle otworzył oczy. Nigdy nie zapomni tego uczucia pustki. Było ono niczym zepsute wino, którego posmak zostaje na długo w ustach. Po chwili Jed dostrzegł w łóżku Rose – to uosobienie piękna, wdzięku i niewinności. W jego głowie pojawiły się jednocześnie słowa i melodia. Były gotowe, czekały jak dojrzałe winogrona na krzaku winorośli.

Wstał po cichu, chwycił swoje rzeczy i gitarę, po czym poszedł na dół.

dziewiętnaście

Rose przebudziła się i odwróciła w kierunku porannego światła. Zorientowała się, że jest sama. Owinęła się kołdrą i spojrzała za okno, na rzekę płynącą obok domku. Trudno jej było uwierzyć w to, że wyszła za męża.

Zeszła do kuchni. Sądziła, że Jed przygotowuje w niej śniadanie, ale nie było go tam. Przypomniały jej się jakieś straszne historie o miesiącach miodowych, podczas których jedno z małżonków zostaje napadnięte lub przewraca się i umiera. Poczuli, że jej żołądek zaciska się w ciasny supeł. Nagle usłyszała dźwięki gitary.

Wyszła na zewnątrz. Był rześki październikowy poranek. Poczuli gęsią skórę. Jed siedział na werandzie, zwrócony w stronę rzeki.

– Wczesnie wstałeś – odezwała się cicho.

– Coś mi się przyśniło.

Rose odsunęła gitarę i mocno przytuliła się do męża. – Co takiego, kochany?

– Twoja nowa piosenka. Chcesz jej posłuchać? – Był podekscytowany jak dziecko, które dostało nową zabawkę na Boże Narodzenie.

Uniosła brwi i posłała mu tęskne spojrzenie. – Może później – wyszeptała i przylgnęła do niego jeszcze mocniej. Gładziła dłońmi jego ciało.

Odsunął ją od siebie z rozbawieniem. – Czy myślisz o czymś innym?

– Tak, myślę. – Potarła nosem jego nos i poczuła, jak rośnie w niej pożądanie. Gdyby nie było tak zimno, natychmiast zrzuciłaby z siebie kołdrę. Hmm, może w rzeczywistości nie było jednak aż tak zimno?

– Ja też – odparł. Zamyślił się na moment. – Cóż, sądzę, że to coś będzie naprawdę niesamowite po tym, jak posłuchasz piosenki.

Czy mogłoby być jeszcze lepiej?, pomyślała. Czy cokolwiek mogłoby przyćmić miłość pomiędzy kobietą a mężczyzną? W jaki sposób piosenka mogłaby...?

Postanowiła nie obracać tej myśli przeciwko niemu, nie myśleć o najgorszym. I nie narzekać, że jej zimno, jest głodna albo ma ochotę pójść na górę i znów cieszyć się jego bliskością.

Nie bacząc na zimne stopy, burczenie w żołądku, a przede wszystkim rozgrzane do białości pożądanie, usiadła obok Jeda. Oparła stopę o jego nogę. Wiedziała, że trudno mu będzie się skoncentrować.

Zaczął grać jednostajny rytm – bum, bum, bum, bum. Kiedy zaśpiewał pierwszą linijkę, Rose wiedziała, że doświadcza czegoś, co innym kobietom nie jest dane. Usłyszała jego serce.

Aż się pojawisz, czekałem, zabijając udrękę,

Widząc nuty na papierze, a nie piosenkę.

Spijała jego słowa jak młode wino.

Jest dla nas plan, święty plan,

Więc warto było czekać.

Bo teraz za żonę cię mam.

Bez pośpiechu, dobrze udało nam się zgrać.

Dziś to ja będę cię na dobranoc całować.

Jej słowa. Wykorzystał w piosence jej słowa!

Przestał grać. Otworzył oczy i spojrzał, jakby chciał się upewnić, że prezent sprawił jej przyjemność. Rose nie była w stanie mówić. Otworzyła usta w zachwycie. Po jej policzkach popłynęły łzy.

– Zagraj resztę – udało jej się wymówić.

Zrobił to. Im dłużej słuchała, tym bardziej jej się podobało. Jed stawał się coraz bliższy jej sercu. I już wiedziała, że cały dzień będą tworzyć piękną muzykę.

dwadzieścia

Jed słuchał uważnie każdego słowa Rose. Była jego największą fanką – wiedział to – ale nie miał pojęcia, jak wielką, dopóki nie wyjawiała mu bez tchu, co zrobiła.

– Zadzwoiłaś do Stana?! – spytał zaskoczony.

– Musiałam mu powiedzieć, że jesteś gotowy na powrót jak nigdy dotąd. A ta piosenka jest tego dowodem.

Pozwolił wybrzmieć tym słowom. Na początku zdenerwował się – w końcu zrobiła coś za jego plecami. Ale spodobało mu się również to, że tak bardzo w niego wierzyła. – Co powiedział?

– Na początku wydawał się niezainteresowany. Potem zacytowałam mu kilka linijek. Niby był pod wrażeniem, ale nadal wydawał się trochę rozkojarzony.

– Klasyczna poza Stana.

– Wtedy powiedziałam mu, że jeśli nie chce tej piosenki, zadzwonię do agencji Trammel. Tam jej posłuchają.

Jed uniósł brwi. Agencja Trammel to była konkurencja Stana. – I co on na to?

– Powiedział, żeby przyjechać do niego jutro o dziewiątej rano. Do studia. O dziesiątej umówił się na sesję nagraniową. Chce cię przedtem usłyszeć.

Jed nie mógł opanować uśmiechu. – Chyba żartujesz!

– Nie żartuję. Uda się, Jed. Czuję to.

– Chciałem przygotować jeszcze kilka piosenek, zanim do niego uderzę.

Pogłaskała go po ramieniu. – Piosenki się pojawią. Niech jeszcze troszkę dojrzeją. Ale tę musi usłyszeć.

– Pomożesz mi nieco w kwestii dojrzewania?

Zaczerwieniła się, po czym oboje wybuchnęli śmiechem.

Jed długo nie kładł się spać. Pracował nad słowami piosenki. Upewniał się, że są dokładnie takie, jakie powinny być. Rose miała rację. A kiedy był ich już pewien, Rose zabrała mu gitarę.

– Poćwiczmy jeszcze coś innego, zanim pójdziemy spać – wyszeptała.

Następnego ranka Jed dosłownie wyskoczył z łóżka. Rose była nieco powolniejsza, ale zapach świeżo zaparzonej kawy szybko dodał jej wigoru. Dotarli do studia pół godziny za wcześnie. Postanowili zaczekać na parkingu. Śmiali się i rozmawiali. Mimo to Jed był zdenerwowany.

– To zabawne, że potrafię stanąć przed ogromną publicznością, a obecność jednej lub dwóch osób, które mają podjąć decyzję, przyprawia mnie o drżenie ko-

lan.

– Zagraj prawdziwie, od serca, tak jak zrobiłeś to dla mnie.

– To dopiero przerażające!

– Tego właśnie szuka Stan. Serca. Duszy. „Piosenka” jest wspaniała. Po prostu patrz na mnie, kiedy będziesz ją śpiewał.

I tak właśnie zrobił. Kiedy weszli do środka, Jed uściśnął dłoń Stana, a następnie faceta z wytwórni, która go porzuciła. Po chwili chwycił gitarę, spojrzał na Rose, zamknął oczy, wyobraził sobie, że jest na ganku domku nad rzeką, i słowa same popłynęły. Dał z siebie wszystko. Niektórzy muzycy sesyjni podeszli bliżej i stanęli zasłuchani. Stan wyglądał na zaskoczonego. Rose zaciskała usta, żeby nie krzyczeć z podniecenia. Jed wykonał to zadanie najlepiej, jak było można.

– Skąd to się wzięło? – zapytał Stan. – To było... to było fantastyczne! Człowieku, słyhać, że włożyłeś w to serce, a tego właśnie szukamy. – Spojrzał na Rose. – Ty mu w tym pomogłaś?

Zerknęła na Jeda i uśmiechnęła się do niego. – Napisał to podczas naszego miesiąca miodowego.

– A więc mu pomogłaś – odparł Stan, śmiejąc się i szturchając Jeda łokciem.

Wokół rozległy się gromkie śmiechy. Twarz Rose zrobiła się purpurowa.

Stan i facet z wytwórni rozmawiali szeptem na uboczu. Potem Stan poszedł do techników. Jed słyszał jego słowa przez otwarte drzwi. – Dave, czy możemy przesunąć nagranie z dziesiątej o godzinę? Chciałbym teraz zrobić surowe nagranie tej piosenki i zabrać je do wytwórni.

I tak się stało, choć potrzeba było nieco więcej czasu. Jeszcze tego samego popołudnia nagranie trafiło do wytwórni. Świeże, spontaniczne, przepełnione dobrą energią dźwięki zostały użyte do wydania singla.

Trzy tygodnie później Rose źle się poczuła. Przez kilka kolejnych poranków nie miała siły podnieść się z łóżka. W końcu Jed zasugerował jej, żeby wybrała się do lekarza. – To do ciebie niepodobne – powiedział zmartwiony.

Zawiózł ją na popołudniową wizytę do przychodni. Sądził, że dadzą jej jakiś antybiotyk i Rose szybko wyzdrowieje. A jeśli znajdą u niej coś naprawdę niepokojącego? Kiedy długo nie wychodziła z gabinetu, zaczął się martwić. Potem jedna z pielęgniarek wyjrzała i zawołała go.

Robią tak, kiedy odkrywają u kogoś raka, pomyślał.

Wszedł i zobaczył Rose. Trzymała w zaciśniętej dłoni kulkę z chusteczek higienicznych. Miała zaczerwienione oczy.

– Hej! – odezwał się i usiadł obok niej. – Co się dzieje?

Lekarka uściśnęła jego dłoń. Miała trzydzieści parę lat i była bardzo rzeczowa. – Panie King, żona prosiła, żeby był pan obecny przy odczytaniu wyników badania.

– Badania? Sądziłem, że Rose ma grypę czy coś w tym rodzaju. Co jej jest?

Lekarka zerknęła na Rose, a ta machnęła ręką, jakby dawała znak, żeby to ona oznajmiła nowinę.

– Rose ma *chorobę*, która potrwa kilka miesięcy. Dokładnie osiem.

– Jesteście to w stanie przewidzieć? Co to za choroba?!

Spojrzał na Rose, potem na lekarkę, a potem znów na Rose, która uśmiechała się przez łzy. Otworzył ze zdumienia usta i nie był w stanie ich zamknąć. – A ja myślałem...

– Nie wiem, co się stało – powiedziała Rose.

Jed uśmiechnął się do niej. – Ale ja wiem. Rose, będziemy mieli dziecko! Trudno w to uwierzyć!

Potrząsnęła głową.

Jed spojrzał na lekarkę, która wydawała się zadowolona, że jest świadkiem takiej sceny. Wziął Rose za rękę. – Będiesz najlepszą mamą na świecie. Już cię widzę z tym maleństwem na rękach.

– Ale to się stało tak szybko! Myślałam, że będziemy mieli trochę więcej czasu tylko dla siebie. Tylko nasza dwójka.

Jed kiwnął głową. Rzeczywiście, pojawienia się dziecka tak wcześnie nie było w planach. – To dar od Boga. Tak, prawdziwa niespodzianka. Dar, który nas zmieni, ale sprawi nam też mnóstwo radości – wyszeptał.

W jego oczach pojawiły się łzy. Objęli się, a wtedy Jed wydał z siebie okrzyk radości tak głośny, że można go było usłyszeć w gabinecie pediatrycznym na drugim końcu budynku.

„Piosenkę” grało zaledwie kilka stacji radiowych, ale jakiś miesiąc później coś się wydarzyło. Być może wiadomość o niej rozeszła się pocztą pantoflową. W każdym razie utwór nagle stał się hitem. Stan stwierdził, że muszą wykorzystać ten sprzyjający wiatr. Jed szybko sformował na nowo swój zespół. Zaczęli grywać niezbyt duże koncerty.

– Nie chcę, żeby to stanęło nam na drodze – powiedział Jed do Rose, zanim wyruszył w trasę.

Rose potrząsnęła głową. – Nie, to właśnie jesteśmy my. To część nas. Spróbujmy. Razem.

dwadzieścia jeden

Po miesiącu miodowym Rose wprowadziła się do mieszkania Jeda w Louisville. Postanowili, że będą tam mieszkać, dopóki nie uda im się znaleźć czegoś większego. Jej ojciec zaoferował pomoc w postaci przedpłaty na dom, ale Jed odmówił. Nie chciał mieć żadnych zobowiązań. Pieniądze z koncertów, ze ślubu oraz zaliczkę od wytwórni wpłacili na konto oszczędnościowe.

Rose każdego dnia dzwoniła do taty. Shep wynajął do pomocy mieszkającego po sąsiedzku nastolatka. Dzieciak pochodził z rodziny z problemami i towarzystwo kogoś takiego jak Shep było dla niego zbawienne. A ojciec Rose potrzebował przede wszystkim silnych rąk do pracy.

Podczas koncertów Rose podróżowała z zespołem od miasta do miasta. Jed występował i pisał nowe piosenki, które miały się znaleźć na kolejnym albumie. Niektóre powstawały bardzo szybko, inne rodziły się w bólach. Te drugie były równie dobre, a czasami nawet lepsze od pierwszych. Jed uwielbiał proces wyszukiwania właściwych słów, rymów i melodii.

Wkrótce „Piosenka” znalazła się na siedemnastym miejscu krajowej listy przebojów. Za każdym razem, kiedy Jed ją wykonywał, i zawsze gdy słyszeli ją w radiu, zbliżała ich do siebie jeszcze bardziej – bo była piosenką Rose. Pewnego wieczoru Jed dostrzegł Rose wśród szalejącej publiczności. Spojrzał na nią tak, że jej serce stopniało jak wosk.

Jesteśmy w tym razem. Bez ciebie nigdy by mi się nie udało. To dzięki tobie odnosimy sukcesy.

Jedynymi minusami w ich wspólnym życiu – poza podróżowaniem i koniecznością mieszkania w hotelach – były niepokojące sceny, które rozgrywały się co wieczór pod sceną. Dziewczyny w szortach i mocno wydekoltowanych bluzkach podskakiwały i tańczyły, próbując przyciągnąć wzrok Jeda. Były to nie tylko nastolatki, lecz także dorosłe kobiety – ze świeżo pofarbowanymi włosami, ubrane jak małolatki i zachowujące się nieodpowiednio. Po jednym z występów, w nocy, w hotelu, Jed zapytał Rose, co o tym myśli.

– Widzę wszystkie te dziewczyny i kobiety patrzące na ciebie. Niektóre są niewinne, ale wiele z nich wysyła wyraźne sygnały – odpowiedziała.

– Ale ja nie dostrzegam nikogo poza tobą – stwierdził Jed i pogłaskał ją po brzuchu. Pod palcami wyczuł kopnięcie dziecka. Roześmiał się i delikatnie naparł na rączkę lub nóżkę poruszającą się w środku. Zachwycalo go to, co działo się w brzuchu Rose.

Czuła, że zmienia się nie tylko jej ciało, lecz także serce. Już nie liczyli się wyłącznie Jed i ona – w tym związku była jeszcze jedna osoba. To przerażało Rose. Czy będzie w stanie pokochać to maleństwo tak mocno jak Jeda?

W siódmym miesiącu ciąży Rose stwierdziła, że nie może już podróżować. Ten terkoczący autobus i brak intymności... Zaczęła tęsknić za domem. Ale mieszkanie Jeda było maleńkie, a sąsiedzi często hałasowali. Dlatego Jed zaczął szukać domu w Louisville, jakieś pół godziny jazdy od Sharon. Rose wiedziała, że tak będzie dla nich lepiej – nie chodziło tu o pożegnanie z życiem, jakie do tej pory wiodła, ale o odseparowanie się od ojca. Opuszczenie kogoś to nie kwestia odległości, lecz serca.

Jed również bił się z myślami. Nie chciał zabierać Rose jej ojcu. Kiedy był w trasie, miał silne poczucie winy w stosunku do własnej matki.

Przecież Bethany była z nim przez cały trudny czas jego dzieciństwa, kiedy zostali odrzuceni przez resztę rodziny, gdy drwiono z nich i gardzono nimi. Jed opowiedział Rose o pewnym swoim występie w liceum. Starał się zagrać jedną z piosenek ojca. Chociaż włożył w to całe serce, nie udało się mu. Matka przesiedziała przy nim wtedy cały wieczór. Pomogła mu zrozumieć, że życie nie zawsze jest idealne i z każdego występu można się czegoś nauczyć. Była jego najwierniejszą fanką. Pragnęła, żeby odniósł sukces, zakochał się i założył rodzinę. Mimo to podczas ślubu rzucała im melancholijne spojrzenia. No cóż, straciła jednego męża, potem drugiego, a teraz syna. Cieszyli się, że miała zyskać wnuka.

Ojciec Rose natomiast zrobił prawdziwe przedstawienie. Co chwila powtarzał córce, że powinna wyjechać i zacząć nowe życie z mężem. Ale był to prezent nie do końca zapakowany, a w dodatku bez kokardki.

Na kilka tygodni przed terminem porodu Rose i Jed pojechali z wizytą do Shepa. Nie zdążyli jeszcze sfinalizować kupna domu w Louisville. Ale uciuli wystarczająco dużo, żeby dostać kredyt na zakup pewnej nieruchomości w pobliżu Cherokee Park. Od razu zakochali się w tym domu – w jego wnętrzu, we wszystkich drzewach z tyłu i w ogrodzie, wystarczająco dużym, by zmieściły się w nim huśtawka i plac zabaw.

Shep już wcześniej wspominał im, że pies, który był w rodzinie od zawsze, Duke, zestarzał się, stał się powolniejszy, zaczął skowyczeć o dziwnych porach i stracił apetyt. Kiedy przyjechali, Jed pogłaskał zwierzę. Zrozumiał, że kończy się czas Duke'a. Shep i Rose długo nie chcieli tego przyjąć do wiadomości.

– Jeśli pan chce, mogę go zabrać do weterynarza – zaoferował się Jed. – Może byłoby to dla pana łatwiejsze, gdybym ja to zrobił.

Shep zacisnął szczęki. – Nie. Nie potrzebuję weterynarza. Duke, idziemy!

– Co pan zamierza zrobić, panie Jordan?

– Pójdziemy na długi spacer.

Mężczyzna chwycił strzelbę. Jed spojrzał na Rose. Dziewczyna obserwowała Duke'a przez łąy. Chciała coś powiedzieć, ale nie była w stanie. Odwróciła wzrok.

Jed bez pytania o zgodę poszedł za Shepem. Kiedy przechodzili koło szopy, Shep sięgnął po szpadel. Jed wziął od niego to narzędzie. Skierowali się ku wzgórz.

– Nie musisz na to patrzeć – odezwał się Shep.

– Chcę iść z panem. Tata mówił, że w życiu człowieka są rzeczy, których nie powinien robić sam.

Shep zatrzymał się nagle. – Tak ci powiedział? Naprawdę? – Spojrzał na Jeda uważnie, a potem znów ruszył do przodu.

Duke'owi dojście do stawu zajęło trochę czasu. Kiedy już tam dotarli, pochylił się nad wodą i zaczął ją obwąchiwać. Potem ruszył na sztywnych łapach w kierunku rzędu drzew. Żał było na to patrzeć. Jed pomyślał, że mógłby o tym napisać naprawdę smutną piosenkę. Miałyby tytuł „Długi spacer”. Słowa i obrazy przelatywały przez jego głowę. Jak przy tworzeniu wszystkich piosenek.

Obserwował starszego człowieka, który trzymał w zniszczonych dłoniach strzelbę. Shep, podobnie jak jego pies, szedł wolno, na sztywnych nogach. *To najdłuższy spacer, jaki mu się zdarzył*, pomyślał Jed, *ale u jego boku jest przyjaciel. Możesz ruszyć na długi spacer, jeśli masz kogoś, kto cię kocha i dotrzyma ci kroku.*

Dostrzegł, że w stawie odbija się niebo. Jakaś samotna wrona przeleciała nad ich głowami. Kiedy doszli do miejsca w pobliżu dębu, niedaleko grobu matki Rose, Jed wbił szpadel w ziemię. Poczł jej świeży, gliniasty zapach.

– Miejsce dobre jak każde inne – stwierdził Shep.

Jedowi przypomniała się inna wędrówka po zboczu wzgórza. Ciężar świata i krzyż na barkach człowieka. Mężczyzna w rzymskiej tunice wbijający gwoździe w żywe ciało. Może to niezbyt fortunne porównanie, ale Jed był poruszony. Kopał coraz głębszy dół. Pies siedział na trawie. Miał zmęczone oczy, a z jego pyska zwisał język.

– Wiedziałem, że od dłuższego czasu cierpi, ale nie byłem w stanie się za to zabrać – powiedział Shep.

– Trudno się pogodzić z czymś takim. Od dawna wnosil wiele dobra w wasze życie.

– Ten pies sprawił, że Rose i ja przetrwaliśmy. I chłopcy również. Wniósł do naszego domu światło, które szybko rozproszyło mrok.

– Dobrze pan robi – rzekł Jed. – Naprawdę dobrze pan robi.

– Ale wcale tak nie czuję. Wolałbym, żeby sam gdzieś pokuśtykał i pozwolił naturze zrobić swoje. Żeby zniknął.

– Może teraz on oczekuje, że pan od da mu przysługę – stwierdził Jed.

Shep odrzucił głowę do tyłu. – Co masz na myśli?

Jed na chwilę przestał kopać i oparł się na szpadlu. – Kiedyś wiedział, że po-

trzebujecie jego pomocy. Wyczuł, że jest w stanie wypełnić pustkę. Pomógł panu przejść przez ból po odejściu żony, a dzieciom – po odejściu mamy. A teraz daje panu szansę, by mu się pan za to odpłacił. Aby pozwolił mu pan odejść.

Shep pogłaskał psa. Na chwilę przytrzymał dłoń, jakby błogosławił zwierzę. Duke zamknął oczy, zaskomlał i położył się na ziemi.

– Pozwolić odejść komuś, kogo się kocha, to najtrudniejsza rzecz, prawda? – odezwał się cicho Shep.

Przez chwilę Jed rozmyślał o tych słowach. – Ale właśnie dlatego, że się kocha, pozwala się odejść – odparł.

Shep spojrzał na psa zaczerwienionymi oczami. Jed kopał dalej dopóty, dopóki nie pojawiła się dziura na tyle głęboka, by inne zwierzęta nie mogły zakłócić snu Duke'a.

– Proszę pozwolić mi to zrobić – odezwał się po chwili Jed. – Niech pan wraca do domu.

– Nie, przejdę przez to do końca – odrzekł Shep. A potem ukląkł obok psa i przytulił twarz do jego sierści. Jed musiał odwrócić wzrok. Są rzeczy zbyt święte, żeby im się przyglądać. W umieraniu nie ma miejsca dla publiczności, a radzenie sobie z nim jest tak osobiste jak mało co. Między zwierzęciem i człowiekiem nie było żadnych słów. Tylko niezwykła bliskość, która mówiła wszystko.

Shep wstał i podniósł strzelbę. Duke nawet się nie poruszył. Leżał spokojnie, kiedy rozległ się strzał. Stado przepiórek spłoszyło się i wzbiło z zarośli w powietrze.

Jed pomógł Shepowi delikatnie umieścić ciało psa w dołku, a potem przysypać je ziemią. Shep zebrał kilka kamieni i zrobił mały nagrobek.

W drodze do domu Shep objął Jeda ramieniem i nie patrząc na niego, powiedział: – Twój tata miał rację.

dwadzieścia dwa

Przez całą ciążę Rose przysięgała, że nigdy nie będzie miała drugiego dziecka. Hormony strasznie dawały się jej we znaki. Denise kilka razy ratowała ją z przygnębienia. Przesiadywały razem przy kuchennym stole i rozmawiały. Rose cieszyła się z powodu dziecka i tego, że ich rodzina się powiększy, ale targały nią różne emocje. Zastanawiała się, czy sprostą zadaniom matki.

– Wiem, że jestem w stanie pomóc tacie w winnicy – mówiła do Jeda któregoś wieczoru przez telefon. – Wiem, że jestem kompetentna i potrafię zrobić prawie wszystko. Ale macierzyństwo śmiertelnie mnie przeraża.

– Nie będziesz w tym wszystkim sama – odparł Jed.

– Wiem, że będziesz mnie wspierał – odpowiedziała szybko. – Ale ty masz przecież swoją pracę do wykonania.

– Nie mówię o sobie – odrzekł. – Mówię o Bogu. Rose, On będzie cały czas z tobą. Da ci energię, cierpliwość i miłość, których będziesz potrzebować. Będziesz wspaniałą mamą, zobaczysz.

– Może przeraża mnie to, że coś jednak stracę.

– Co takiego?

Najpierw wstrzymała oddech, a potem wykrztusiła: – Siebie. Obserwuję mamy w kościele i widzę, że dzieci stały się ich całym życiem. I dobrze, dzieci są prawdziwym skarbem. Ale jeśli całe twoje życie koncentruje się wokół nich, czyż nie tracisz siebie?

Jed milczał. Nie odzywał się bardzo długo. Rose przeszło nawet przez myśl, że zasnął. Nagle usłyszała jego głos: – Może tracąc siebie, tak naprawdę się odnajdziesz? Może zamiast poczuć, że umierasz gdzieś w środku, poczujesz się żywa jak nigdy dotąd?

Rose nie spodobały się te słowa. Zabrzmiały, jakby tylko ona miała ponieść ten ciężar. Ale w miarę jak zbliżał się termin porodu, coraz lepiej rozumiała tę myśl.

Kiedy lekarka potwierdziła, że poród się zaczął, Jed odwołał występy. Rose odetchnęła z ulgą, gdy przekroczył próg szpitala i zajął miejsce Denise obok niej.

Trzymał ją za rękę. Dodawało jej to otuchy, ale nie uśmierzało bólu. Kiedy zamiast na nią spojrzeć na urządzenie rejestrujące skurcze, wbiła paznokcie w jego ciało. – Patrz na mnie, a nie na tę głupią maszynę!

Ten wybuch zaskoczył nawet ją, ale Jed przyjął go ze zrozumieniem. Nie spuszczał z niej oka aż do końca porodu.

Wszystkie wątpliwości Rose, zmęczenie, mdłości i ból zniknęły w momencie, kiedy dotknęła swojego syna. To było wspólne dziecko jej i Jeda, cud, który daje Bóg poprzez miłość męża i żony. Była w tym piosenka. Rose wiedziała, że Jed

ją odnajdzie.

Jed został w domu przez tydzień. Opiekował się Rose, nosił Raya na rękach i śpiewał mu. Jedną ze ścian jego pokoju ozdobił malunkiem arki Noego. Rose w tym czasie odpoczywała i dochodziła do siebie. Z zachwytem wpatrywała się w malutkie rączki i nóżki, wsłuchiwała się w bicie serduszka. Kiedy obserwowwała to dziecko – tak bezbronne i całkowicie zależne od niej – zaczęła myśleć o swojej mamie. Tak bardzo żałowała, że nie ma jej teraz przy niej i że nie zobaczyła swojego wnuka! Ale reakcja ojca była bezcenna. Nie popłakał się – wszak nie był człowiekiem skłonny do płaczu. Po prostu wziął Raya na ręce, leciutko kołysał go i wpatrywał się w niego, jakby maluch był co najmniej kolejnym królem Anglii.

Kiedy Jed wyjechał, Rose posmutniała. Była w nowym miejscu, bez przyjaciół. Spędziła kilka tygodni z tatą, ale czuła, że w pewnym sensie się oszukuje. Musiała przejść przez tę transformację, kiedy to rodzina dwuosobowa zmienia się w trzyosobową, ale coś ją wyraźnie gnębiło. Chciała, by Jed odniósł sukces, pisał świetne piosenki i stał się tym, kim jest mu pisane się stać. Ale zastanawiała się, jaką cenę będą musieli za to zapłacić.

Pewnego dnia Jed wrócił niespodziewanie do domu. Zachwycił się tym, jak bardzo Ray urósł. – Nie chcę, żeby mnie cokolwiek ominęło – powiedział. – To, jak pierwszy raz przewraca się na brzuszek. Jego pierwsze kroki. Pierwsze słowa.

Rose uśmiechnęła się do niego. Wiedziała, że mąż mówi szczerze. – Wiesz, miałeś rację – stwierdziła.

– W jakiej sprawie?

– W kwestii utraty siebie. Byłam przerażona tym, że nie sprostam byciu mamą. Ale kiedy weźmie się takie maleństwo w ramiona, nie ma już powrotu do dawnego życia. A człowiek czuje się w środku żywy jak nigdy przedtem.

Jed uśmiechnął się, a w jego głowie pojawił się pomysł kolejnej piosenki. „W środku żywy”. *To byłby dobry kawałek na drugi album*, pomyślał.

Ray zaczął grymasić. Jed oddał go Rose, usiadł na krześle i obserwował tę dwójkę. Rose zerknęła przez okno na kaplicę majaczącą w oddali, nadal nieukończoną.

Za każdym razem, kiedy Jed wracał do domu, czuł, że to jego miejsce. Trasy koncertowe też były czymś dobrym i zabawnym, ale oznaczały mnóstwo pracy. Poza tym Jed czuł się zmęczony podróżowaniem, pobytami w tanich hotelach i koniecznością radzenia sobie z zamieszaniem, które towarzyszy życiu każdego muzyka. Ale zdawał sobie również sprawę z tego, że było to jego powołanie. Robił to, co rozpałało w jego wnętrzu ogień i dzięki czemu funkcjonował.

W rzeczywistości nie mógł się obejść bez obu tych elementów swojego życia. Potrzebował kotwicy, czyli domu, Rose i Raya, aby móc robić to, do czego został stworzony. Gdyby zerwał te więzi, jego piosenki stałyby się nieistotnym trzepotem na wietrze. Pasja, ból i serce ujawniały się dopiero wtedy, kiedy pisał i śpiewał o tej głębokiej, oddanej miłości, którą powoli zaczynał rozumieć.

Zakazał Stanowi planowania jakichkolwiek wyjazdów w okolicach pierwszych urodzin Raya. Menedżer przystał na to niechętnie. Jed zamierzał zostać w domu przez cały tydzień. Od początku wiedział, że opieka nad Rayem będzie wymagała ogromnych zasobów energii. Oczyma wyobraźni widział siebie na stadionie podczas zawodów Małej Ligi, a może nawet jako trenera drużyny, choć nie miał zbyt dużej wiedzy na temat baseballu. Ale wszystkiego można się nauczyć. Będzie wspierał syna, zachęcał go do działania i wychwalał za najmniejsze sukcesy. A także karmił, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Powiedział Rose, żeby zrobiła sobie wolny wieczór i spotkała się z przyjaciółką, a on tymczasem przypilnuje Raya. Jej oczy rozbłysły z podekscytowania. Zadzwoiła do Denise. Postanowiły spotkać się gdzieś w połowie drogi. Denise planowała swój ślub. Miały mnóstwo rzeczy do omówienia.

Rose pocałowała Jeda w policzek, a potem w drugi, jakby przekazywała zaszyfrowaną wiadomość: *Tylko nie zaśnij przed moim powrotem.*

Obserwował, jak odjeżdża, a potem usiadł na podłodze. Ray raczkował pomiędzy pokojami. Testował granice swojego dziecięcego świata.

Jed przygotował kolację i nakarmił synka. Potem wykąpał go i założył mu piżamkę. Przytuleni, wylądowali na kanapie wraz z ulubionymi książeczkami Raya. Jed czuł, że z każdą kolejną przeczytaną przez niego na głos stroną energia małego człowieka się wyczerpuje. Ray ułożył się na piersiach taty, opuścił obie rączki i głośno ziewnął. Kiedy zasnął, Jed zaniósł go do łóżeczka i delikatnie położył.

– Dobranoc, kolego.

Ruszył w kierunku kuchni, żeby zmyć naczynia po kolacji, kiedy nagle usłyszał jakiś odgłos.

Ray stał w swoim łóżeczku. Rączki przerzucił przez barierkę.

– Przyniosę ci coś do picia. A potem pójdziesz spać, OK?

Przypominało to negocjowanie z grupą terrorystów z Bliskiego Wschodu. Kiedy Ray dostał swoje picie, złapał książeczkę. – Ale tylko jedna historyjka – zgodził się Jed.

Rose mówiła, że Ray potrzebuje rutyny, zwłaszcza wieczorami. Jed próbował więc być twardy, ale chłopiec patrzył tak słodko... W końcu to nie był problem przeczytać mu jeszcze jedną historyjkę. Albo dać mu małą przekąskę z lodówki.

Kiedy w drzwiach pojawiła się Rose, Ray wyciągnął rączki i krzyknął: – Mama!

Jed szybko wyłączył bajkę, którą oglądali. – Nie chciało mu się spać.

Rose uśmiechnęła się do Raya. Zniosła go do łóżeczka, a potem wróciła do Jeda.

– Jed, mówiłam ci, że przestrzegamy ustalonych zasad. Dlaczego się ich nie trzymasz?

– Próbowałem. Naprawdę próbowałem.

Z góry dobiegało skrzypienie szczebelków łóżeczka, które szarpał Ray. Rozległy się też krzyki: – Mama! Mamaaa!

– To naprawdę ważne. Jeśli nie trzymamy się ustalonego planu, mały jest kompletnie rozbity w ciągu dnia. A wtedy bywa naprawdę ciężko.

– Wiem. Przepraszam. Kiedy zabrałem go z łóżeczka, było już po wszystkim. Ale przecież to tylko jeden wieczór.

– Nie musisz mi mówić, że to jeden wieczór. Wiem, że to jeden wieczór.

– Wezmę gitarę i coś mu zaśpiewam. To go zawsze usypia.

– Nie. Nie wchodzi do jego pokoju. Musi wiedzieć, że kiedy przychodzi pora spania, to ma spać.

– Tylko jedną piosenkę.

– Jeśli zaśpiewasz mu jedną piosenkę, za chwilę będzie domagał się kolejnej. A kiedy już pojedziesz, będzie chciał, żebym to ja mu śpiewała.

– Maaaamaaaa! – krzyknął znowu Ray i zaczął płakać.

Pokręciła głową. – Jest wykończony.

– Słuchaj, rozumiem wszystko. Chodzi o to, że nie widuję go zbyt często. Dlatego kiedy już jesteśmy razem... Będę trzymał się twoich zasad. To się już nie powtórzy.

– To nie są moje zasady. To są *nasze* zasady. One nie są dla mnie, tylko dla Raya.

Jed wbił wzrok w podłogę. Z pokoju Raya dochodził płacz. Oboje pragnęli pobiec tam, wziąć malucha na ręce i utulić go w ramionach, dopóki nie zaśnie.

– Jak się udała kolacja z Denise?

Spojrzała na niego tak, jakby chciała powiedzieć: *Tylko nie próbuj łagodzić sytuacji zmianą tematu.*

Wzruszył ramionami i poszedł do kuchni, aby posprzątać po kolacji. Wyso-
kie krzeselko Raya było wymazane masłem orzechowym. Umycie go zajęło Jedowi
naprawdę sporo czasu. Kiedy skończył, Ray nadal krzyczał wniebogłosy. Jed wy-
szedł z domu i usiadł na końcu podjazdu, gdzie nie słyszał zawodzenia syna.

Jakiś samolot przeleciał nad jego głową. Jed zastanawiał się, dokąd leci ta
maszyna. Każdy samolot i każdy autobus przypominały mu o tym, że nie jest w tra-
sie. Każda piosenka usłyszana w radiu była kolejną, której nie napisał lub nie za-
śpiewał. Coś go ciągnęło i mocno szarpało nim gdzieś głęboko we wnętrzu.

Spojrzał na dom i dostrzegł, że światło w ich sypialni zgasło.

Część druga

Shelby Bale siedziała w barze na lotnisku w Atlancie. Przyleciała na swój koszt na pewne spotkanie. W samolocie zasnęła pod wpływem tabletek z buteleczki, którą dostarczyła jej przyjaciółka, Vivian. Była godzina 3:15 po południu. Shelby wyszła z samolotu zaledwie pół godziny temu, ale już musiała się napić. To miało być ważne spotkanie. Miało zmienić zasady gry i w ogóle całe jej dwudziestopięcioletnie życie.

W drzwiach pojawił się Stan Russel. Był w okularach i koszulce polo. Miał zaczesane gładko do tyłu włosy i ogromny brzuch. Shelby pomyślała, że jeśli Stan nie zacznie ćwiczyć, otyłość doprowadzi go w końcu do ataku serca. Wyglądał na około pięćdziesiąt lat. Nie zauważyła u niego obrączki. Nie było to ważne, przynajmniej jeszcze nie teraz.

Shelby nie zwolniła jeszcze swojego menedżera. Jeśli ze Stanem wszystko pójdzie dobrze, porzuci Barry'ego Stavera jak zgniłego banana, którego przypominał wyglądem i zapachem.

Uśmiechnęła się i pomachała do Stana. Zamówił drinka i przysiadł się do niej.

– Mam propozycję – powiedziała.

– Nie owijasz w bawełnę, co? – odparł Stan. Uśmiechnął się i spuścił wzrok.

Mężczyźni zawsze spuszczaali wzrok w obecności Shelby, a ona lubiła wprawiać ich w zakłopotanie. Jeśli zbiła ich z tropu dzięki swoim oczom, uśmiechowi czy krągłościom, łatwiej dostawała to, czego chciała. Lubiała, kiedy zwracali uwagę na jej wysportowane ciało. W najgorszym razie ratowały ją zawsze tatuaże.

– Jeśli czegoś naprawdę chcę, zawsze to dostaję – stwierdziła. – Nikt z naszej trójki na tym nie straci. Rzucam Barry'ego.

– Chwileczkę, jakiej *naszej trójki*? – zapytał Stan.

– Chcę, żebyś został moim menedżerem.

– Co jest nie tak z Barrym?

Zrobiła nadąsaną minę. – Znasz go. Nie jest najmocniejszy w show-biznesie. Z pewnością nie tak silny jak Stan Russel.

– Sądzisz, że jestem w stanie ci pomóc?

– Gramy koncerty w zbyt małych salach. Wiem, że mi nie wierzysz, ale to prawda. W większości z nich nie ma nawet wystarczająco dużo miejsca na to, by otworzyć futerał ze skrzypcami.

Parsknął śmiechem. Alkohol i jej żarty wydawały się go rozluźniać.

– Ta twoja piosenka, „Konfetti”, to naprawdę niezły kawałek. Jest często grana w radiu. Powinno ci to gwarantować mocną pozycję.

– Właśnie. Poza tym właśnie pracujemy nad nowym, równie dobrym mate-

riałem. A nawet lepszym. Wszystko zaczyna się dobrze układać. I zespół jest mocny. Gitara Ricky'ego, moje skrzypce...

– Twoje skrzypce są niesamowite, bez dwóch zdań. I dobrze się prezentujesz na scenie. Dlaczego nie chcesz dalej pracować z Barrym? Powinien być w stanie...

– Barry to już skończona historia. Chcę ciebie. Mamy swoich wiernych fanów i czuję, że sukces jest blisko. Widziałeś naszą stronę w internecie? Zaraz wybuchnie. Bilety na koncerty, które organizuje nam Barry, są szybko wyprzedawane. Jesteśmy gotowi na kolejny krok.

– Co mówiłaś wcześniej? Kto jest tą trzecią osobą, która miałaby na tym zyskać?

– Chcę, żebyś nas przejął. Zajął się organizowaniem tras. Zagram jeszcze jakieś trzy koncerty i jestem wolna. Chcę grać z Jedem Kingiem.

Stan wbił w nią spojrzenie, a potem odrzucił do tyłu głowę i roześmiał się, nieco zbyt głośno jak na tę salę. – Ty i Jed King? A to dobre, Shelby! To jakby połączyć... – myślał przez chwilę, ale nie przyszło mu do głowy żadne odpowiednie porównanie.

Shelby ciągnęła: – Wiem, że może ci się to wydawać dziwne, ale pomyśl, my pociągniemy za sobą swoich fanów, a on swoich. Wypełnimy ogromne sale i nikt nie będzie się czuł zawiedziony.

– Ale jego fani krytykują twoje występy, a twoi fani twierdzą, że Jed gra zbyt dużo kawałków o Bogu.

– Zobaczysz, obie publiczności otworzą się na siebie nawzajem. Spodoba im się to.

– Otworzą się na siebie? To jakaś gra słów?

Nagle wygięła plecy, a następnie się wyprostowała. Mężczyzna obrzucił spojrzeniem jej sylwetkę. – Wiem, że gramy nieco ostrzej niż Jed. On ma rodzinę, a mnie wszyscy uważają za narwaną. Ale to wszystko może ze sobą dobrze zagrać. Stonuję niektóre nasze kawałki.

– Nie powinnaś zmieniać niczego, co sprawdza się na waszych koncertach.

– Ale każdy gatunek musi ewoluować, żeby przetrwać i się wzmocnić. Dzięki nam występy Jeda staną się bardziej ekscytujące. Wniesiemy w nie energię, do której będzie się musiał dostosować. Wymuszę to trochę na nim. A on wniesie wiarygodność w to, co my gramy. I wszyscy będą zadowoleni.

– A ty w ogóle znasz jego muzykę? – zapytał Stan. Przetarł szkła okularów.

– Moja macocha uwielbiała piosenki jego taty. W pewnym sensie dorastałam więc z Davidem Kingiem. Kiedy byłam już na tyle duża, że mogłam wieczorami wychodzić, bywałam na koncertach. Czasami chodziłam też na kameralne występy Jeda. Zanim się ożenił.

– Zanim złamał ci serce, żeniąc się, prawda?

Uśmiechnęła się słodko. – Jesteś niezłe poinformowany.

– Tak, Jed ma powodzenie u kobiet. Ale takie rzeczy go nie interesują.

To się jeszcze okaże, pomyślała Shelby. – Zawsze wiedziałam, że któregoś dnia mu się uda. To było oczywiste. Pisze wspaniałe teksty, ma świetny wygląd, no i głos. Jest też niezłym muzykiem. Choć ty nie zawsze w niego wierzyłeś.

Stan uniósł ze zdziwienia brwi. – Wiesz co nieco...

– Wiem tyle, że mogę być niebezpieczna. – Wyciągnęła rękę, chwyciła jego dłoń i odwróciła ją. – Masz interesującą linię życia. – Śledziła wzrokiem linię na jego dłoni. Wyczuwała władzę, jaką nad nim miała.

– Sądzisz, że linie moja, Jeda i twoja jakoś się ze sobą połączą?

– Czuję to.

– A co czuje twój zespół?

– Mają tak samo dość Barry’ego jak ja. Czas na zmianę. Czas na ciebie, Jeda i muzykę.

– Cóż, początkowo ten pomysł nie wydawał mi się dobry. – Teraz to on chwycił jej rękę i odwrócił je. – Ale teraz wydaje mi się, że moglibyśmy coś wspólnie wypracować...

Odsunęła się od niego. – To jest wyłącznie układ artystyczny. Musimy się dobrze zrozumieć.

Stan cofnął rękę. – Tylko biznes. Rozumiem. Ale muszę jeszcze pogadać z Jedem. Dostać jego błogosławieństwo.

– Myślałam, że to ty jesteś menedżerem?

– Bo jestem.

– W takim razie powiedz mu po prostu, co jest dla niego najlepsze. Jeśli jesteś przekonany o tym równie mocno jak ja, Jed także w to wejdzie.

– Staram się do niczego nie zmuszać moich artystów.

– Myślisz, że Jedowi to się nie spodoba?

– Jestem pewien, że podejść go w odpowiedni sposób, kupię go. Jeśli oczywiście nadal będę przekonany, że to dobry pomysł.

– Już jesteś przekonany, Stan. To się czuje. Podpowiada ci to intuicja. Odniesiemy ogromny sukces. Zaskocz Jeda. Zaskocz publiczność. Kiedy on ma następny występ?

Stan wyciągnął papierowy kalendarz. Bronił się rękami i nogami przed nowymi technologiami i tkwił gdzieś na uboczu rozpędzonej autostrady informatycznej. – Teraz ma kilka dni wolnego z uwagi na rocznicę ślubu. Wraca za tydzień. Gra w Bostonie.

– Idealnie. My nasz ostatni występ mamy w niedzielę w Ohio. Potem ruszymy do Bostonu. Nagłośnimy to odpowiednio w internecie. To zapewni sprzedaż biletów.

Stan powoli kiwał głową. – Tak, teraz widzę, że to się może udać. Wszyscy możemy na tym dobrze wyjść. Przygotuję kontrakt.

Uścisnęli sobie dłonie. Shelby nie mogła uwierzyć w to, jak łatwo jej poszło. Jak szybko może odmienić się los! Miała poznać Jeda Kinga!

dwadzieścia pięć

Zbliżała się ich rocznica ślubu. Rose biła się z myślami. Jed zaproponował, żeby wyjechali tylko we dwójkę na jakąś bezludną wyspę. Powodziło im się nie najgorzej. Ale na koncertach gromadziła się coraz liczniejsza publiczność, dlatego organizowano ich coraz więcej. A to pociągało za sobą spędzanie większej ilości czasu poza domem. Każdy sukces kosztował.

Bitwa z myślami nie dotyczyła świętowania rocznicy; chodziło o zostawienie Raya. Jej ojciec nie posiadał się z radości. Kazał im wyjechać na cały tydzień. Jed nie widział w tych planach nic złego. – Ray będzie się świetnie bawił w winnicy!

Na pewno była to prawda, ale... Ostatnio coraz więcej *ale* pojawiało się w jej życiu.

Rose martwiła się o zdrowie ojca. Wydawało się, że Shep zwolnił nieco tempo życia. Czasami nie miał siły zrobić rzeczy, które jeszcze parę miesięcy temu nie sprawiały mu żadnej trudności. Rose widywała ojca mniej więcej raz na dwa tygodnie. Wiedziała, że powoli pogarsza się stan jego zdrowia. Czasami Shep miał problemy z oddychaniem. Kiedy Rose przyjeżdżała z Rayem, ojciec biegł z winnicy do samochodu. Potem długo nie mógł złapać oddechu i podpierał się jedną ręką, by odzyskać równowagę.

W żaden sposób nie mogła go namówić na pójście do lekarza. Shep był skłonny się leczyć tylko wtedy, kiedy tak bardzo cierpiał, że nie mógł *usiąść prosto, nie jęcząc*, jak zwykł mawiać. Rose martwiła się, że pewnego dnia wejdzie do domu ojca i znajdzie go leżącego w gabinecie pośród tych wszystkich powypychanych drapieżników. Była bardzo związana z tatą i winnicą. Patrzenie na to, jak człowiek więdnie, a miejsce rozkwita, przychodziło jej z wielkim trudem.

– Stan jest agentem faceta, który ma mieszkanie w Cabo. Zaproponował, żebyśmy z niego skorzystali – powiedział któregoś dnia Jed.

– Gdzie leży Cabo? – zapytała Rose.

Opowiedział jej o miejscu na wybrzeżu Meksyku. O błękitnej wodzie i czystych plażach. Tam naprawdę mogliby się poczuć, jakby byli tysiące kilometrów od wszystkich problemów.

– Może znajdziemy coś bliżej? – zawahała się Rose. – Moglibyśmy zabrać ze sobą Raya. Pobawiłby się w piasku. Nigdy nie widział oceanu. A po zmroku będzie już zmęczony. – Dodała to ostatnie zdanie, ponieważ wiedziała, że Jed będzie chciał naprawdę zbliżyć się do niej na wakacjach.

Jed zmarszczył brwi. – Wiesz, że kocham Raya. Jest światłem mojego życia. Ale potrzebujemy czasu tylko we dwoje. Tylko ty i ja, jak dawniej. Zanim wrócę w trasę. Żeby było co wspominać.

– Jed, a nie powinniśmy mieć wspólnych wspomnień jako rodzina? Cała na-

sza trójka?

Rose nie chciała być zrzęda i z pewnością nie wszystko musiało toczyć się tak, jak ona postanowi. Coś ją jednak dręczyło, ale nie potrafiła określić co. Nie chciała rozłąki, która łączyła się z odnoszeniem sukcesów. Jednocześnie pragnęła, aby Jed robił to, do czego stworzył go Bóg. Żeby śpiewał piosenki, tworzył piękno z bólu, jaki niosło życie. To dlatego publiczność mu wierzyła. Dlatego odnosił coraz większe sukcesy. Jego utwory trafiały głęboko do serc. Rose nie chciała sprzeciwić mu się w kwestii wakacji, żeby jej słowa nie brzmiały, jakby była nadopiekuńczą mamuszką, kontrolerem czy kimś w tym rodzaju, tylko nie żoną. Pragnęła jednak, by Jed dostrzegał problemy, z jakimi przychodzi im się mierzyć, rozumiał bez konieczności tłumaczenia, jak bardzo ranią ją niektóre jego decyzje. Takie drobiazgi zbierały się jak odsetki od długu. Rose przez cały czas odczuwała niepokój, jak pulsowanie w skroniach, które nie chce przejść. Ale to wydawało się tak nikłe! Nie chciała robić z tego afery.

Wyciągnęła stary album z rodzinnymi zdjęciami z wakacji z dzieciństwa. Jej mama, tata i bracia szukający muszelek na plaży w Myrtle Beach. To były jedne z jej najwspanialszych rodzinnych wspomnień. Dlaczego Jed tego nie dostrzegał? Dlaczego nie potrafiła do niego dotrzeć?

Słyszała o tym, że mężczyzna w naturalny sposób kieruje się w stronę pracy i chce zapewnić rodzinie byt. I to było dobre, uświęcone przez Boga – ale oznaczało również, że mierzy swoją wartość tym, co robi. A ona wiedziała, jak łatwo Jed może zagubić się na ścieżce kariery i opuścić rodzinę z jej powodu.

Podobnie zresztą działo się z nią. Macierzyństwo otworzyło jej serce tak szeroko, że nawet jej samej trudno było w to uwierzyć. Coraz bardziej ciągnęło ją w kierunku Raya, który stał się najważniejszą osobą w jej życiu. Był zupełnie bezbronny i całkowicie zależał od niej. Zrobiłaby dla niego wszystko. Wiedziała, że to może odsunąć ją od męża.

To oszałamiało Rose. Wcześniej sądziła, że w małżeństwie najtrudniejsze są przygotowania do ślubu. Nie miała pojęcia o tym, ile pracy, czasu, energii i emocji będzie ono wymagało. Konflikt z Jedem przestraszył ją. Chciała go jak najszybciej zażegnać. Po prostu zrobić odpowiednią minę i przejść nad tym do porządku dziennego. Rozwlekanie jakiegoś problemu, na przykład ich rocznicowego wyjazdu, nie było w jej stylu. Zawsze była tą spolegliwą, tą, która dostosowuje się do czyichś planów i próbuje wszystkich zadowolić. Ale kiedy urodził się Ray, nagle sprawy się skomplikowały. Nie mówiła już tylko w swoim imieniu, lecz w imieniu ich dwojga. Rozdźwięk pomiędzy nimi a człowiekiem, którego oboje kochali, zaczął się powiększać.

Poza tym ona i Jed byli ciągle bardzo zajęci. A jeśli ktoś jest w stanie zabić prawdziwe uczucie, to właśnie dwójka wiecznie zajętych ludzi, poświęcających swój czas rzeczom niemającym ze sobą nic wspólnego. Oddzielne życie według

oddzielnych terminarzy nie cementuje uczucia.

Zwlekała z decyzją. Rozmawiała o tym z Denise. Żałowała, że nie może porozmawiać z mamą. Z tatą nie poruszała tego tematu.

Dwa tygodnie przed rocznicą Jed stanął przed nią z uśmiechem na twarzy i kopertą w ręku. – Niech ci będzie. Idę na kompromis.

– Co masz na myśli?

– Otwórz ją.

Wyciągnęła z koperty broszurę, na której ktoś niebieskim markerem zapisał daty. Na samej górze widniał napis: *Rocznicowy rodzinny wypad Rose i Jeda*.

– To mała wysepka u wybrzeży Karoliny Północnej. Wynająłem tam domek na pięć dni. Z tyłu ma basen i ogrodzenie. Ray będzie mógł całymi dniami bawić się w piasku i pływać. Możemy go zabierać na spacer po plaży, bawić się z nim, czytać, rozmawiać i co tam jeszcze. Chociaż nie wiem, jakie są o tej porze roku temperatury nad oceanem.

Uścisnęła go i szeroko się uśmiechnęła. – Idealny wypad – powiedziała. – Zwłaszcza ta część *i co tam jeszcze*.

Chciała jechać natychmiast. Poczula się jak dziecko, które nie może się doczekać spakowania walizki. Pragnęła też od razu powiedzieć Rayowi, co na niego czeka.

– Ach, i jeszcze zadzwoniłem do Ranny’ego ze sklepu spożywczego w Sharon – dodał Jed. – Poprosiłem go, żeby podczas naszego wyjazdu wpadł kilka razy do taty i sprawdził, co u niego. I żeby nie mówił mu, że go o to prosiłem.

Rose promieniała ze szczęścia. Tego właśnie pragnęła. Mężczyzny, który umie podejmować decyzje, rozważnego i troskliwego. Przysięgła sobie, że postara się, by Ray i Jed nigdy nie zapomnieli tych krótkich wakacji.

Jed i Ray zbudowali zamek z piasku, a potem brodzili po falach. Rose siedziała pod parasolem i obserwowała ich. Pierwszego dnia za długo zostali na plaży i poparzyło ich słońce. Dlatego przez resztę tygodnia wszędzie, gdziekolwiek szli, zostawiali za sobą smużkę zapachu olejku aloesowego.

Ray był wcieloną energią codziennie do zmroku. Potem po prostu padał ze zmęczenia na swoje łóżko. Jed przykrywał go i szedł szukać Rose. Pewnego wieczoru siedziała na zewnątrz, opromieniona światłem księżyca.

– Szkoda, że nie możemy pójść na romantyczny spacer na plażę – odezwała się cicho.

Zajął leżak stojący obok niej. Wstała i usiadła na jego kolanach.

– To nie był zły kompromis – powiedział.

Rzeczywiście. Kolejne dni były radosne, wypełnione romantyzmem i spokojem. Oczy Rose znów zaczęły iskrzyć, a Jed obiecał sobie w duchu, że będzie spę-

dzał więcej czasu z rodziną. Będzie to robił nie tylko dla nich, lecz także dla siebie.

W dzień przed wyjazdem zadzwonił telefon stacjonarny. Jed wyłączył swoją komórkę i nie kontaktował się ze światem zewnętrznym, ale Stanowi i tak udało się ustalić jego numer.

– Chcę się tylko upewnić, że jesteś gotów na Boston – powiedział Stan. – Szykuje się prawdziwy dynamit.

– Oczywiście, będę.

– I muszę ci jeszcze powiedzieć, że czeka na ciebie mała niespodzianka.

– Niespodzianka?

Stan zachichotał. – Do zobaczenia w Bostonie, Jed.

dwadzieścia sześć

Shelby Bale siedziała z jedną ze swoich najlepszych przyjaciółek za kulisami sceny w Bostonie. Była to ich pierwsza okazja, żeby spotkać się z Jedem. Czuli ogromne podekscytowanie.

Vivian Lee grała na basie w zespole Shelby. Łączyło je także zamiłowanie do życia na krawędzi. Niewiele było rzeczy, których razem nie spróbowały. Pigułki, z którymi Vivian zapoznała Shelby, wiele innych substancji... Żadna z używek nie osłabiała jednak ich sił ani nie zagrażała występom.

– Właśnie na to wpadłam – odezwała się Vivian, sącząc szkocką ze szklanki.
– Tutaj nie chodzi o uwolnienie się od Barry’ego czy granie większych koncertów. Tu chodzi o Jeda Kinga.

Shelby roześmiała się głośno. – Skąd ci przyszła do głowy taka konspiracyjna teoria?

– Widziałam, jak patrzyłaś na jego plakat. Shelby, on jest żonaty. Gra w chrześcijańskim zespole. To znaczy, grają różne kawałki, ale facet ma dobrą reputację.

– Ja też – odparła Shelby.

– Będziesz chciała to zrobić, co?

– Idę za głosem serca – odpowiedziała Shelby. – Pozwalam prowadzić się swoim namiętnościom, dokąd tylko chcą. Przecież on nie musi się na nic godzić.

Vivian uniosła brwi i skinęła w kierunku korytarza. – Twoja namiętność właśnie idzie. W obcisłych dżinsach i kowbojskich butach.

– Już tu jest? – zapytała Shelby.

– Powinnaś teraz zobaczyć swoją minę.

Shelby odwróciła się do Vivian z diabelskim uśmiechem na ustach. – No dobra, chcę to zrobić. – Uniosła zaciśniętą pięść. Vivian mrugnęła do niej.

Jed skręcił i poszedł do swojej garderoby. W rzeczywistości był nawet przystojniejszy niż na zdjęciach i wyższy, niż myślała. Wyglądał jak bohater romantycznych powieści.

Sięgnęła po papierosy. Po chwili złapała jego spojrzenie. Podeszedł do drzwi i położył na nich dłoń, jakby chciał ochronić swoje terytorium.

– Cześć – odezwała się lekkim, dziewczęcym głosem.

– Mogę w czymś pomóc? – zapytał niezbyt uprzejmym tonem. Wydawał się naprawdę podirytowany. Mocno ją to zdziwiło.

Włożyła papierosa do ust i wyciągnęła zapalniczkę. – Cóż, tak naprawdę to już to zrobiłeś, Jed. Ja tylko... ja... – Dostrzegła, że Jed patrzy na ogień. W geście dobrej woli podała mu paczkę papierosów. Chwycił ją, ale zamiast zapalić papierosa, zgasił ogień.

– Nie palę – rzekł z powagą. – A już na pewno nie sypiam z fankami. Więc...

Nie potrafiła powstrzymać się od śmiechu. Odrzuciła głowę w tył, zaszokowana, ale i rozbawiona jego słowami. Kiedy się uspokoiła, powiedziała: – Słyszałam, że jesteś bardzo religijny...

– Ty pewnie nie.

– Ja jestem uduchowiona.

– Tak, tak jak wszyscy.

Shelby spojrzała za siebie i zaczęła układać w głowie kolejną frazę, kolejny wstęp. Chciała mieć kolejną szansę na to, aby wyrzucić korzystne pierwsze wrażenie. – O niczym nie wiesz, prawda?

– O czym?

Zrobiła krok w jego kierunku i zniżyła głos. – Wiesz, normalnie w takiej sytuacji naprawdę mocno bym się obraziła. Ale ty jesteś taki słodki! No i mam swój sekret, a tak jest zawsze zabawniej.

Spojrzała mu w oczy, w te przepastne jeziora, z których wypływały niesamowite piosenki. I była pewna, że tych kawałków jest w jego sercu jeszcze więcej. Piosenek głębszych niż mógł to sobie wyobrazić.

Pokręcił głową i odepchnął ją lekko. – OK, miło było cię poznać, jakkolwiek masz na imię...

Zacząła protestować, ale zamknął drzwi, zanim zdążyła powiedzieć jeszcze cokolwiek. Tak wyglądało pierwsze spotkanie Shelby z Jedem Kingiem.

Kiedy aplauz dla zespołu osiągnął apogeum, Vivian krzyknęła do Shelby: – I co, spotkałaś się z nim?!

Shelby skinęła głową i uśmiechnęła się do przyjaciółki. – Nie poszło dokładnie tak, jak to sobie zaplanowałam. Zatrzasnął mi drzwi przed nosem. Myślał, że jestem jego faną.

– W pewnym sensie rzeczywiście jesteś.

– Nie miał pojęcia, kim jestem.

Vivian kiwnęła głową w kierunku cienia przesuwającego się za kulisami. Po chwili ujrzeli Jeda, który podążał za menedżerem. Perkusista zaczął wybijać rytm kolejnej piosenki, a tłum zareagował krzykiem na wprowadzenie do „Konfetti”.

– Pokaż mu, kim jesteś! – krzyknęła Vivian.

Shelby śpiewała, jak zwykle, żywiołowo i z impetem. Jej skrzypce płonęły. Charlie Daniels nie miał z tym nic wspólnego*. Diabeł rzeczywiście mógł przybyć do Georgii. A Shelby przybyła do Bostonu, do Jeda Kinga.

Kochaj mnie, weź mnie,

Na pół złam mnie,

*A miliony drobnych kawałków
Całego pokryją cię.
Chcę wzlecieć nad dachy
I opaść w dół koncertowo,
Fiknąć koziołka w powietrzu
I jak konfetti poczuć się kolorowo.*

Po wykonaniu kilku piosenek Shelby zaczęła rozglądać się za Jedem, aby mu wszystko wyjaśnić i powiedzieć, że się nie obraziła. Ale Stan był szybszy. Zaciągnął ją za scenę.

– Jeśli dasz mi ten rodzaj energii, takie samo przedstawienie co wieczór, Jed z pewnością otworzy się na ciebie – usiłował przekrzyczeć hałas w sali koncertowej.

Shelby objęła Stana i pocałowała go w policzek. – Jesteś naprawdę słodki, ale ja nie zamierzam niczego udowadniać Jedowi. Po prostu chciałam zapewnić mu najlepszy support, jaki kiedykolwiek miał.

* Charlie Daniels – amerykański piosenkarz, muzyk i autor tekstów. Zastąpił piosenką „The Devil Went Down to Georgia” (‘Diabeł przybył do Georgii’), która opowiada o zaprzędaniu diabłu duszy przez młodego skrzypka, od tej pory grającego z namiętnością i pasją.

Rose była stale zajęta Rayem. Próby okiełznania jego energii stanowiły pełnoetatowe zajęcie. Uwielbiała wszystkie etapy, przez które przechodził. Fascynowało go tyle rzeczy! Rose robiła mu na przykład zdjęcia, kiedy odkrył swoje stopy. Chwytał za nie i kurczowo trzymał je swoimi małymi rączkami. Potem rozpoczął się etap „ruchowy”. Miesiące rączkowania. Koncentracja na wstawaniu i podążaniu do niej chwiejnym krokiem, zanim upadł. Następnie Raya zafascynowały dinozaury: plastikowe figurki, pluszaki, filmy i książki o nich, a jeszcze później – bębny.

Aktualnie nie mógł się oderwać od płyt CD z muzyką swojego taty, a także walenia w perkusję, którą ten mu kupił. Jed rzadko bywał w domu, nie musiał więc znosić hałasów. A Rose cieszyła się, że Ray daje ujście swojej energii w taki sposób. To, jak przekręcał niektóre słowa piosenek, było naprawdę słodkie. Rose wysyłała Jedowi SMS-y z powiedzonkami synka albo nagrywała filmiki, które mąż mógł później odtworzyć.

Jeszcze przed wakacjami utarło się, że Jed przyjeżdża do domu na kilka dni, a potem wyjeżdża na dwa tygodnie. W efekcie jego obecność stawała się coraz bardziej uciążliwa. Jed nie respektował rutyny narzuconej przez Rose synowi. Chciał się z nim bawić do późna, a nawet budzić go po tym, jak chłopiec zasnął. Wprawdzie Rose uwielbiała patrzeć, jak się razem bawią, lecz denerwowało ją to, że Jed nie dostrzega konsekwencji następnego dnia – Ray stawał się wtedy nieznośny, bo nie wypoczął wystarczająco długo. Może nie była to wysoka cena za widok ich dwóch pochłoniętych muzyką lub grammi, ale mimo wszystko Rose zaczynała postrzegać Jeda jako konkurencję. Kiedy wracał z trasy, przywoził Rayowi cukierki, choć ona bardzo starała się nie nagradzać synka słodyczami i nie psuć mu apetytu żelkami czy krówkami. Pewnego razu Jed zabrał Raya do kina. Gdy wrócili do domu, chłopiec zwymiotował. Rose z przerażeniem patrzyła na czerwoną plamę na deskach podłogi.

– Zjadł całą paczkę cukierków – odezwał się Jed. – Nie mogłem go powstrzymać.

Właśnie to jest zadanie rodzica, pomyślała. Nie kupuje się wielkiej paki cukierków i nie zostawia z nią malucha. Właśnie ty masz wyznaczać granice. Ale musiała również oddać Jedowi to, że naprawdę interesował się synem. Niektórzy ojcowie nie zawracają sobie głowy codziennymi problemami rodzicielstwa, a Jed wydawał się tym upajać.

Poprzedniego wieczoru grał w Bostonie. Rose odsłuchiwała rano nagrania na automatycznej sekretarce, ale nie było żadnej wiadomości od niego. W pewnym momencie usłyszała zatrząskującą się furtkę na dole, ale nie zwróciła na to szczególnej uwagi, dopóki w pokoju nie pojawił się Jed z podrózną torbą i kwiatami.

Uśmiechnęła się, kiedy Ray wskoczył tacie na ręce.

– A to miła niespodzianka! Odwołano koncert?

– Nie, chociaż bardzo bym tego chciał. Mam lot jutro rano. Przykro mi.

Wiesz, po prostu musiałem przyjechać do domu.

Ray wlepił wzrok w Jeda. Próbował przerwać jego wymianę spojrzeń z Rose. W końcu Jed spojrzął na niego.

– Chcesz grać w moim zespole? – wypalił maluch.

Jed zrobił minę przejętego ojca. – Właśnie tego chcę! Dlatego przyjechałem do domu. Wiesz co? Idź na górę i przygotuj wszystko. Dobrze?

Postawił Raya na podłodze, a ten ruszył na schody jak torpeda.

Jed wyglądał na zmęczonego, ale kiedy wręczał Rose bukiet, w jego oczach pojawił się jakiś blask. Zawsze cieszył się, kiedy przyjeżdżał do domu.

– Kwiaty są dla ciebie – powiedział. Podał jej róże i przyciągnął ją do siebie.

– Dziękuję. Wszystko w porządku?

Pocałował ją w ucho i objął. – Tak. Po prostu chciałem побыć z moją żoną. Wiesz?

Wiedziała doskonale, ale nie chciała powiedzieć nic, co by go uraziło. Spojrzała na niego z figlarnym uśmiechem. – Tylko nie zaczynaj czegoś, czego nie będziesz w stanie skończyć.

– Może utniemy sobie małą drzemkę? – zaproponował.

To potwierdziło jej przypuszczenia, że przyjechał do domu tylko z jedną myślą w głowie. Jego potrzeby. Jego pożądanie. Przegoniła tę myśl. Mimo wszystko była zadowolona z jego pożądanego, z tego, że wciąż mu się podoba. I chciała temu sprostać. Ale co z jej potrzebami?

Roześmiała się, aby przerwać ten strumień myśli. – Nie. Coś mi się wydaje, że wyrosliśmy już z drzemek. Trochę mi ich brakuje, bo jestem wykończona. – Powinien o tym pamiętać. Spojrzała na niego, jakby chciała mu przekazać oczami wszystko, co działo się w jej sercu, jakby chciała, żeby zajrzał do jej duszy. – Wieczorem – powiedziała delikatnie. – Przrzekam.

Uśmiechnął się i wskazał na nią palcem. – Wieczorem. Trzymam cię za słowo.

Zaczęła szukać wazonu na róże. Jednocześnie próbowała skupić się na mężu, na jego życiu, podróżowaniu. – Pewnie nie wytrzymałbyś kilku tygodni w domu, co?

Nie odpowiedział. Spojrzała na niego i wyczytała to z jego oczu. Stan przedłużył im trasę.

– Jak długo tym razem?

– Trzy miesiące – powiedział to jakby z żalem w głosie. Oczekiwał, że ona odpowie: nie ma sprawy, rozumiem. Ale Rose nie była w stanie tego z siebie wydusić. Tłamsiła w sobie uczucia.

– Stan dołączył do naszej ekipy Shelby Bale – rzucił. Jakby powinna wiedzieć, kto to jest.

– Kogo?

Odpowiedział, wlepiając wzrok w podłogę, jakby ćwiczył to już wcześniej, żeby mu się upiekło. Żeby ona się nie wściekła. Jak mały chłopiec, który został przyłapany na zbyt głośnym graniu na perkusji. – Jest wokalistką, niemalże kultową. Ja zyskam jej fanów, a ona moich. Przez to mamy dużo więcej koncertów i zarobimy o wiele więcej pieniędzy.

Zatrzymała się, odwróciła do niego i spojrzała mu w oczy.

– Potrzebujesz więcej pieniędzy? Lub więcej fanów?

– To nie tylko o to chodzi, Rose. – Jego głos był łagodny, kojący, uspokajający, ale język jego ciała mówił coś innego. Poza typu *i-tak-nic-z-tego-nie-zrozumiesz* sprawiła, że Rose zeszywniała.

– A o co? – zapytała i odwróciła się do niego plecami. Zaczęła zbierać zabawki Raya i wkładać je do koszyka. Klocki, pluszowe zwierzątka i figurki były poutykane w najdziwniejszych miejscach.

– Pomagam ludziom. Wiem, że to głupio brzmi, ale na swój sposób robię to.

Nie przerywała sprzątania.

– Posłuchaj, dostaję listy, przychodzą do mnie ludzie i mówią, że nadają ich życiu sens – mówił. – Wielu z nich chciało się poddać. Ale po usłyszeniu moich piosenek nie robią tego.

A moje życie?, pomyślała. Co z sensem mojego życia? Może w końcu staliśmy się zgranym zespołem, a nie dwójką ludzi, których drogi zaczynają się rozchodzić?

– Ludzie szukają różnych rzeczy, Rose – ciągnął, a jego głos przybrał ton proszący. – Sensu. Nadziei. Boga.

To ostatnie słowo przelało jej czarę goryczy, choć usiłowała nie pokazać tego po sobie. Zamierzał wykorzystywać Boga, żeby usprawiedliwić swoje wybory?! Rzucić się w pracę i nastawiać ją przeciwko Bogu?!

– Jeśli nie usłyszą tego ode mnie, nigdzie tego nie usłyszą – powiedział. To była puenta godna obwoźnego sprzedawcy. Jakby Rose miała kupić od niego odkurzacz, suplementy diety albo najnowszy model blendera.

Spojrzała na niego. – Jed, twój największy fan jest na górze i potrzebuje cię znacznie bardziej niż Bóg.

Zabrzmiało to niemalże bluźnierczo, ale było prawdą.

– Zabierz go – powiedział szybko Jed, jakby czekał na taką odpowiedź – i jedź ze mną.

– I mały będzie sypiał w autobusach i samolotach? Będziemy go ciągać od hotelu do hotelu? Co to za życie?

– Rose, nie mówię o całym życiu. Mówię o trzech miesiącach. – W jego gło-

się zabrzmiało lekceważenie. Jeśli wcześniej potrafiła nad sobą zapanować, to teraz się w niej po prostu zagotowało.

– Które zamienią się w cały rok, bo nie będziesz miał odwagi sprzeciwić się Stanowi. – Była zdziwiona szybkością, z jaką przyszła do niej ta riposta. Po chwili zadała mu ostateczny cios. – A ja będę musiała grać rolę jakiejś twojej grupie.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytał Jed.

– Wydaje mi się, że nie przyjeżdżasz już do domu dla mnie. Przyjeżdżasz dla...

Seksu. Chciała powiedzieć *seksu*. Ale nie musiała. To, co dawniej było tak piękne pomiędzy nimi, stało się dla niej obowiązkiem. A dla niego było jak tlen. Dlatego przyjechał z bukietem.

– Pozwól mi to naprawić – odparł. Podszedł do niej. Mówił coraz głośniej. – Proszę cię. Spróbuję to naprawić. Jeśli pojedziesz ze mną, będę cię widywał codziennie.

I co chcesz przez to powiedzieć?, pomyślała.

– Będę widywał Raya codziennie. Będziemy spędzać więcej czasu razem. Proszę.

Tak, żebyś mógł pobawić się z Rayem zabawkową perkusją w ciągu dnia, a ze mną po koncercie. Naprawdę czuła się jak zabawka.

– Tu nie chodzi tylko o Raya, Jed.

Kiedy wypowiedziała te słowa, na twarzy Jeda odmalowało się zdumienie.

– Co takiego? – powiedział po chwili. Uśmiechnął się, usiłując rozładować atmosferę. – Twój tata ma wypchanego niedźwiedzia w salonie, Rose. Jestem pewien, że nic mu nie grozi. Proszę.

Nie potrafiła się uśmiechnąć, dopasować do jego żartobliwego tonu. To, co zamierzała mu powiedzieć, nie było śmieszne. – Nie. Tata nie czuje się dobrze, Jed.

Spojrzał na nią. Jego oczy próbowały dostrzec most nad otchłanią pomiędzy ich sercami.

W pokoju znów pojawił się Ray. W zaciśniętej ręczce trzymał dwie pałeczki. Był gotowy do zabawy. – Tatusiu, chcesz teraz pograć w moim zespole?

Jed przeniósł wzrok z Raya na Rose. Wyglądał, jakby znalazł się w potrzasku pomiędzy nimi. Lub w czymś innym. Trudno jej było to określić.

– Przykro mi – powiedziała.

Dotknął jej ramienia, co było gestem dobrej woli – jakby ofiarował jej pokój, obietnicę, że spotkają się nieco później w strefie zdemilitaryzowanej i zażegnają konflikt, znajdą satysfakcjonujące rozwiązanie. Był niepoprawnym optymistą, przekonany, że wszystko zawsze się dobrze skończy, jeśli poświęci się temu nieco czasu, róż i uśmiechów.

– Pewnie, chłopie! – powiedział do Raya. – Idziemy!

Powędrowali na górę, do świata solówek wykonywanych na perkusji i gita-

rze. Po tej zabawie przyszła kolej na grę planszową, którą uwielbiał Ray. Potem Rose przygotowała kolację. Jed pozwolił Rayowi wybrać bajkę i oglądali ją razem, podczas gdy Rose drzemała na kanapie. Następnie Jed zabrał synka na górę. Rose słyszała, że czyta mu Biblię dla dzieci. Doszli do opowieści o Salomonie. Ray zaczął pytać o błędy, które popełnił Salomon, i o to, dlaczego postąpił on wbrew Bogu.

– Co zrobił?

– Ożenił się z wieloma kobietami i oskarżono go o zrobienie wielu złych rzeczy.

– Jakich rzeczy?

– Na przykład o czczenie złotych posągów.

– A z iloma mógł się ożenić?

– Tylko z jedną – odpowiedział Jed. – Po przekroczeniu tej liczby zaczynają się kłopoty.

– Ja chcę się ożenić z mamą – stwierdził Ray.

Rose stłumiła śmiech i zamknęła oczy.

– W Biblii są zasady dotyczące i tego.

– Nie mogę się ożenić z mamą?

– Nie. Ona jest moją żoną.

– Ale ty tu nie mieszkasz.

Jed zamilkł na chwilę, a Rose nasłuchiwała w napięciu.

– Mieszkam tu. Muszę wyjechać do pracy na dłuższy czas, ale potem przyjadę i zostanę. Już niedługo, zobaczysz. OK?

– OK.

Rozmowa toczyła się nadal, ale Rose odpłynęła w słodki sen na kanapie. Przypominało to czasy jej dzieciństwa. Pod koniec życia mamy Rose wychodziła ze swojego łóżka i na palcach skradała się schodami w dół. Na łóżku ustawionym w salonie sypiała jej mama. Rose przynosiła koc i poduszkę i kładła się na kanapie stojącej naprzeciwko. Zasypiając, trzymała mamę za rękę.

Nagle obudził ją głos Jeda. – Rose? Rose?

Otworzyła oczy, wykończona. Na jej powiekach spoczywał cały ciężar minionego dnia. Otwieranie ich było jak podnoszenie dwudziestokilogramowych ciężarków.

– Ray zasnął – powiedział. Patrzył na nią wyczekująco tym swoim spojrzeniem głodnego lwa.

– Ja też zasnęłam – wymamrotała.

– Tak, wiem – zaśmiał się cicho.

Nie była w stanie utrzymać dłużej otwartych powiek. Pozwoliła im opaść i znów odpłynęła, choć Jed powtarzał jej imię.

Poczuła jeszcze, że okrył ją pledem i pocałował jej włosy. Zasnęła twardo.

Śniło jej się, że idą razem wzdłuż strumyka, przeskakują przez kamienie i śmieją się do siebie nawzajem. Nagle strumień zmienił się w rwącą rzekę. Jed stał na drugim brzegu z założonymi rękami i obserwował ją. Tylko tyle pamiętała, kiedy się przebudziła – niepokojący widok samotnego, odległego Jeda.

Spojrzała w okno. Było już jasno, ale nadal wcześnie. Postanowiła zrobić Jedowi niespodziankę. Po cichu pomknęła na górę, do ich pokoju, ale zastała tam jedynie puste łóżko. Zniknęła też jego torba podróżna.

Przez okno zauważyła wytaczającą się z zaułka limuzynę. Nie obudził jej, żeby się z nią pożegnać.

– Mamo?! – zawołał Ray ze swojego pokoju. – Czy tata jeszcze jest?

– Nie, synku, musiał wyjechać. Przykro mi.

Usłyszała trzask pałeczek do gry na perkusji. – Mamo, chcesz zagrać w moim zespole?

dwadzieścia osiem

Szum samolotu, jak zwykle, ukołysał go do snu. Jed nigdy nie miał problemów z zasypianiem podczas lotu – bez względu na to, jak długo on trwał. Członkowie zespołu wiedzieli, że lepiej go wtedy nie budzić.

Poczuł uderzenie w oparcie siedzenia. Głos tuż przy jego uchu przestraszył go.

– Kiedy przestaniesz zachowywać się tak niegrzecznie?

Usiadł prosto i odwrócił głowę w stronę Shelby Bale, która wisiała na oparciu jego fotela. Nigdy wcześniej nie widział tak blisko kolczyka w nosie. I nigdy nie słyszał takiego namiętnego głosu.

Wyciągnęła rękę. – Shelby.

– Wiem – odparł.

– Teraz już tak – powiedziała ze śmiechem.

Jed wyciągnął nogi w przejściu i spojrzał na nią. Miała długie, ciemne włosy, dołki w policzkach, ciemne rzęsy i idealne zęby. Roztaczała wokół siebie delikatną woń perfum. Na rękach – na innych częściach ciała zapewne również – miała tatuaże. Paznokcie pomalowała ciemnym lakierem. Na scenie wybierała image niegrzecznej dziewczynki, ale tak naprawdę cechowała ją pewnego rodzaju wrażliwość. Z bliska nie wydawała się taka ostra. I z pewnością z przyjemnością się na nią patrzyło.

– Dlaczego mi po prostu nie powiedziałaś, kim jesteś? – odezwał się po chwili.

Wzruszyła ramionami. – Uprzejmość. Staralam się być miłą.

– To miało być miłe?

Nagle spoważniała. – Przez moment czujesz, że ktoś cię chce... Czy to nie fajnie tak się poczuć, co?

Jed dostrzegł, że dwóch członków zespołu zerka w jego stronę i nasłuchuje słów Shelby. Zastanawiał się, co jej odpowiedzieć. Ale zanim się odezwał, podniosła się z oparcia.

– Chyba że odtrącenie mnie było dla ciebie nieprzyjemne. Jeśli tak, bardzo mi przykro. Daj znać, jak mogłabym to naprawić.

Jej głos, wyraz twarzy, mowa ciała, sposób, w jaki mówiła wprost do jego ucha, miały dać mu do zrozumienia, że jest nim zainteresowana i nie ustąpi. A może Shelby zachowywała się w taki sposób w stosunku do wszystkich? Może taką miała osobowość?

Bez względu na to, co było prawdą, miała rację. Fajnie jest czuć, że ktoś cię chce, ktoś o ciebie zabiega.

Obserwował, jak idzie wzdłuż rzędów foteli. Nie mógł od niej oderwać

wzroku. Kiedy złapała jego spojrzenie, odwzajemniła je i uśmiechnęła się zwycięsko.

Dwie kolejne noce zlewały się Jedowi w niewyraźną plamę. Na pokładzie samolotu przenieśli się na drugi koniec kraju. Będzie musiał porozmawiać ze Stanem na temat sensowniejszego rozkładu koncertów. Ale w planach mieli Europę, a to mogło oznaczać jeszcze bardziej wyczerpujący harmonogram podróży i więcej czasu spędzonego z dala od rodziny. Coś musi się zmienić.

Jed występował na scenie w Raleigh w Karolinie Północnej. Nagle poczuł, że coś się z nim dzieje. Nie mógł tego przewidzieć i nie był na to przygotowany.

Śpiewał „All I Wanna Be” tym swoim posępnym, melancholijnym głosem, tak jakby przed nim stała Rose, a on mówił do niej o swoim pożądaniu.

*Po co to wszystko? Pytam siebie sam,
Kiedy znów dom opuścić mam.
Całe to moje gadanie należałoby milczeniem zbyć,
Kiedy wszystko, czego pragnę, to z tobą być.
Wszystko, czego pragnę, to z tobą być.
Na całym świecie nie dzieje się nic nowego.
Ja też nie robię niczego odkrywczego.
Pozwoliłem, by kłamstwa swoim życiem zaczęły żyć,
Kiedy wszystko, czego pragnę, to z tobą być.*

Gdy Jed doszedł do słów: *Pragnę twojej miłości, pragnę twojego dotyku*, poczuł w sercu ból, bo pomyślał o Rose i o tym, jak dobrze było trzymać ją w ramionach. Ta myśl pochłonęła go bez reszty. Nagle publiczność zaczęła dziwnie reagować. Jej aplauz wydawał się nie na miejscu. Przeszło mu przez głowę, że może coś się dzieje na dole, w tłumie, czego on nie widzi, ale ludzie klaskali i wskazywali rękami scenę. Właśnie wtedy usłyszał dźwięk skrzypiec.

Przecież w zespole nie mamy skrzypka, pomyślał.

Odwrócił się szybko. Za nim stała uśmiechnięta Shelby. Ze zdenerwowania ledwo ją widział. Chciał na nią nakrzyczeć za to, że wtargnęła na scenę podczas jednej z jego popisowych ballad, ale zespół przyłączył się do niej i dostosował do narzuconego przez nią rytmu. Ballada zmieniła się w zupełnie inny utwór. Zaczął wołać do chłopaków i chciał znów nad nimi zapanować, ale muzyka była jak rwąca rzeka, a on nie mógł wiosłować pod prąd.

*Zaśpiewał kolejną linijkę. Shelby nadal przewodziła wszystkim muzykom.
Z każdym kilometrem coraz bardziej mi cię brak.
Kładę się spać, aby śnić twą uśmiechniętą twarz.
Jesteś ogrodem, w którym kolory zawsze będą mienić się i lśnić.
Wszystko, czego pragnę, to z tobą być.*

*Z każdym pożegnaniem próbować trudniej,
Kiedy serce umiera, a nadzieja słabnie.
Ale jest szansa, jeśli trudy uda nam się przetrwać,
Wszystko, czego pragnę, to z tobą być.*

Shelby cały czas grała. Kiedy przyszedł czas na refren, dołączyła ze śpiewem. Dzięki temu utwór stał się pełniejszy, bogatszy. Tak naprawdę zyskała cała piosenka. Jed o tym wiedział. Nie tylko dlatego, że tłum szalał. Sam tak czuł w środku.

Piosenka się skończyła, ale Shelby nadal grała. Wymusiła na zespole, żeby za nią podążył. Publiczność klaskała w rytm.

Jed czuł życie, jakie Shelby wniosła na scenę. To, co się stało, było niesamowite – nie ma innych słów, żeby to opisać. Każdy z muzyków podchwycił melodię i zagrał ją do końca.

Kiedy muzyka ucichła, Shelby uśmiechnęła się do niego, a on ją uściśnął. – Dobra robota – powiedział. Potem machał ręką, dopóki cały zespół nie wstał i nie pomaszzerował za kulisy. Tłum oszalał. Wołano ich z powrotem, aby bisowali.

– To było świetne! – krzyczał Jed.

Shelby nie przestawała się uśmiechać. – Dziękuję.

– Wiedziałem, że jesteś dobra, ale to była naprawdę doskonała zabawa!

Za ich plecami pojawił się Stan. – Słuchajcie, to była magia! Prawdziwe czary! Potrzebne byłyby jeszcze jakieś trzy miesiące czegoś takiego, OK? Udało się wam. Dacie radę.

Jed spojrzał na tłum i przez ułamek sekundy pomyślał o Rose. Nie zareaguje dobrze na wieść o jego trzech dodatkowych miesiącach w trasie, z dala od domu. Ale nie było mowy, żeby mógł postawić się Stanowi. – W porządku.

– Doskonale! – ucieszył się Stan i już go nie było.

Jed spojrzał na Shelby. – Znasz więcej moich piosenek?

Posłała mu uśmiech. – Jestem twoją fanką.

– Co chcesz teraz zagrać?

– To, czego przyszli posłuchać – odpowiedziała.

Kiedy znów pojawili się na scenie, tłum nadal szalał. Shelby zaczęła grać „Piosenkę”. Jed i reszta przyłączyli się do niej. Shelby podeszła do mikrofonu.

– No dobra. Zawsze mi się wydawało, że „Piosenka” potrzebuje delikatnego wykończenia przez damę. A wam?

Ludzie zaczęli napierać na scenę. Wszyscy krzyczeli i gwizdali.

Jed zrobił krok w stronę mikrofonu. – Może i racja, ale w tej chwili nie widzę tutaj żadnej damy.

Shelby udała oburzenie. – Jed, po prostu zacznij śpiewać, a ja zobaczę, co da się zrobić.

Tłumowi spodobała się wymiana zdań pomiędzy tą dwójką utalentowanych

artystów.

*Aż się pojawisz, czekałem, zabijając udrękę,
Widząc nuty na papierze, a nie piosenkę.*

Jed śpiewał tuż obok Shelby i patrzył jej w oczy. Czuł dziwne zawirowanie. Jej głos był idealnym wykończeniem – niczym olej na kołach zębatych jakiegoś mechanizmu. Jed nie mógł uwierzyć, że Stan ją znalazł i sprowadził do nich.

Tej nocy w swoim pokoju hotelowym myślał o Shelby, o tym, jak wyłapywała subtelne zmiany w jego grze, jak dźwięki jej skrzypiec wypełniały brakujące miejsca i przenosiły całość na zupełnie inny poziom. I jak przyjemnie było słuchać jej gry. W tej dziewczynie było coś, co go przyciągało. Wyobraził sobie, że przysłała do jego pokoju i puka do drzwi.

Przegonił tę myśl z głowy i odszukał telefon. Zadzwoił do Stana i powiedział mu, że powinni nagrać te dwie piosenki z Shelby, a potem umieścić je na płycie. Energia, jakiej dostarczyli publiczności na koncercie, była zniewalająca.

– Podoba ci się, co? – zarechotał Stan. – Spodobało ci się to, co wniosła na scenę?

– Ogromnie! To najlepsze, co nam się przydarzyło od momentu... kiedy ty i ja do siebie wróciliśmy.

Stan się roześmiał. – Nie zaprzeczę, chłopie. Obydwoje nieźle dajecie czadu. Ludzie to widzą. Mam bardzo dobre wieści. Europa to już nie plotki. Właśnie załatwiam koncerty w Londynie, Dublinie, Amsterdamie i mnóstwie innych miejsc. Wychodzimy z naszym show do świata. Przez kilka miesięcy będzie mnóstwo spraw do załatwienia, ale nie mogę się już doczekać, żeby zobaczyć, jak zdobywacie szturmem inne kraje.

Koncerty w Europie oznaczały więcej podróży. A to zwiększył dystans pomiędzy Rose i Rayem a nim. Jed rozłączył się i popatrzył w sufit. Musi być jakiś sposób, żeby ratować ich małżeństwo. Żeby mogli się porozumieć.

Spojrzał na listę kontaktów w telefonie i wybrał *Dom*. Potem spojrzał na zegar. Była 2:30 w nocy. Rose na pewno już spała. A rozmowa zakłóciłaby jej odpoczynek, którego potrzebowała, żeby zajmować się Rayem w ciągu dnia. Postanowił zadzwonić do niej rano.

dwadzieścia dziewięć

Rose przykryła Raya kołderką i przeczytała mu fragment Biblii. Chłopcu podobała się opowieść o tym, jak Dawid zabija Goliata. Często zachwycił się też Noem i jego arką ze zwierzętami. Ale najbardziej lubił historie o Jezusie i pomaganiu ludziom.

– Mamo, dlaczego chcieli zrobić Jezusowi krzywdę?

– Nie podobało im się to, co mówił. A także to, że tak wielu ludzi za Nim podążyło.

– Co takiego mówił, że im się to nie podobało?

– Że Bóg jest Jego Ojcem. Ludzie wtedy nie rozumieli, że Bóg może być tatą.

– Tak jak mój tata?

Rose odwróciła wzrok. Od dłuższego czasu Jed kojarzył jej się tylko z bólem. W miarę jak jego kariera się rozwijała, jego serce wydawało się oddalać coraz bardziej od rodziny, od tego, co naprawdę miało znaczenie. Ale teraz usiłowała znaleźć w myślach coś pozytywnego, żeby odpowiedzieć Rayowi.

– Twój tata bardzo się stara i bardzo nas kocha – stwierdziła. – Dobrze się nami opiekuje. I tak również czyni Bóg. Dbą o to, żeby nam niczego nie zabrakło.

– Ale Bóg rzadko bywa w domu, prawda?

– To może będzie trochę za trudne do zrozumienia. Bóg jest zawsze w domu. Czeka, żebyśmy do Niego przyszedli. A twój tata chce być z nami, ale jego praca na to nie pozwala.

– Nie może pracować w winnicy tak jak dziadek?

– Może, ale Bóg dał mu dar, tak samo jak jego tacie – twojemu drugiemu dziadkowi, którego już nie poznasz. I tata chce wykorzystać ten dar.

– Chodzi o piosenki, tak?

– Tak.

Ray myślał przez chwilę. – Mamo, czy to będzie w porządku, jak nie zostanę perkusistą?

Uśmiechnęła się i pocałowała go w czoło. – W porządku. Możesz zostać, kim tylko chcesz.

Pomodliła się z nim i zgasiła światło, ale uchyliła drzwi, tak aby mógł widzieć lampę w korytarzu. Chciała zostawić odpowiednią szparkę za pierwszym razem, bo zwykle prosił, żeby ją powiększyła.

Jej codzienność wypełniała nudna rutyna. Pielenie chwastów i podlewanie grządek w ogrodzie życia. Jedzenie, gotowanie, zakupy i gapienie się w okno w salonie. Odkryła, że przy jej ulicy działa koło kobiet studiujących Biblię. Wszystkie były przemiłe. Kiedy dowiedziały się, że jest żoną Jeda Kinga, narobiły niezłego

zamieszania. Potem stała się po prostu jedną z nich. Kimś, kto cierpi i zмага się z życiem jak cała reszta zwyczajnych kobiet. Ale chociaż trafiła na dobre osoby, nie potrafiła się przed nimi otworzyć i opowiedzieć im o swoich prawdziwych problemach. Pomyślała, że byłaby to zdrada wobec Jeda.

Ruszyła do kuchni. Nagle otworzyły się frontowe drzwi i stanął w nich Jed. Miał gęstą, długą brodę, jakiej jeszcze u niego nie widziała. Wyglądał na zmęczonego, ale nie potrafiła się zdobyć na to, żeby do niego podbiec i go uścisnąć. Za dużo się między nimi wydarzyło. – Witaj w domu – powiedziała tylko.

– Dziękuję. – Postawił walizkę i podszedł do niej. Stanął za nią, objął ją i przyciągnął do siebie. – Gdzie jest Ray?

– Śpi.

– To dobrze – odparł cicho. Delikatnie odsunął włosy z jej szyi. – Cześć.

Rose zeszywniała. – Jed, jestem naprawdę zmęczona – powiedziała zimno, nie zostawiając mu najmniejszej nadziei. Próbowała porozumieć się z nim pomiędzy wierszami swojej pieśni, ale Jed nie słuchał, nie czytał nut.

– Ja też. Jestem wykończony. Długo mnie nie było.

Westchnęła ciężko i zaczęła zmywać naczynia. – A tym razem na jak długo przyjechałeś do domu?

Patrzył na nią jak zranione szczenię, jak dzieciak, któremu powiedziano, że nie dostanie kolejnego ciasteczka. – Trasa była świetna, Rose. Dzięki, że pytasz. Dobrze się bawiłem.

Odwróciła się do niego. – Wiem, jak ci poszła trasa. Mam internet. To z niego dowiaduję się, co słyhać u mojego męża.

Posłał jej ostre spojrzenie. – Pieniądze też masz, prawda?

– Myślisz, że mi na nich zależy? – zapytała zraniona.

– Sądzę, że zależy ci jedynie na własnym tacie. Tak czuję. Za każdym razem, kiedy leżę w łóżku. Sam.

– Rozmyślając o tym, na czym *tobie* zależy – wymamrotała pod nosem.

– Rose, jeśli tylko na tym by mi zależało, dostalibyśmy to. Nie musiałbym przyjeżdżać do domu.

Patrzyła na niego z niedowierzaniem. Jak to się stało, że jego serce stało się tak zimne? Kim jest ten mężczyzna wlepiający w nią wzrok?

– Może moglibyśmy najpierw trochę porozmawiać? *Cześć, kochanie. Jak ci minął dzień? Jak ci minął rok?*

– Nie przesadzaj. Nie zachowuj się, jakbym cię nie widział przez rok. Jakbyśmy nie przerabiali tej samej kłótni co dwa tygodnie.

– Nie, nie. Próbowałam zmusić cię, żebyś zrobił coś romantycznego.

– Próbowałem być romantyczny.

– Naprawdę musiałam się zniżyć do tego... no wiesz... prosić cię, byś zrobił coś jeszcze poza tym, że wchodzisz i zagarniasz mnie do siebie.

– To naprawdę straszne! Być pożądaną przez własnego męża. Naprawdę okropne!

Znów doszło do kłótni. Rose widziała, jak jego ciało się napina. Zanim zdążył się odezwać, rzuciła: – Jed, po prostu daj mi spokój.

– Wybacz mój brak delikatności, ale ostatnio naprawdę nie miałem gdzie jej doświadczyć.

Odwróciła się i odeszła.

Mówił coraz gwałtowniej i głośniejsze. – Może zatem mnie oświecisz, jak to jest?

– Jed, po prostu daj mi spokój! – krzyknęła.

To spowodowało, że się opanował. – Przepraszam – powiedział. Ruszył w jej kierunku, ale ona wymknęła się jak zranione zwierzę.

– Przepraszam. Nie powinienem tego mówić. – Wziął ją za rękę i spojrzał jej w oczy.

Wtedy Rose usłyszała odgłos małych stópek na drewnianej podłodze. Odwróciła się i zobaczyła Raya. Obserwował ich z drugiego końca kuchni. Na jego buzi malowało się zakłopotanie, jakby próbował zrozumieć historię, która nie miała morału. Historię z zakończeniem: *żyli długo i nieszczęśliwie*.

– Kochanie, podejdź do nas – poprosiła.

– Cześć, kolego! – odezwał się Jed.

Ray podbiegł do Rose. Podniosła go i przytuliła.

– Mamo, co się dzieje? – zapytał synek.

– Nic, kochanie. Wszystko w porządku. Naprawdę. Po prostu stęskniłam się za tatą. – Spojrzała na Jeda i po raz pierwszy poczuła z nim więź. – To wszystko. Położymy cię spać.

Rose leżała po swojej stronie łóżka, odwrócona plecami. Jed zrzucił z siebie kołdrę. Pomiędzy nimi rozpościerał się Wielki Kanion i żadne słowa ani czyny nie były w stanie spiąć dwóch brzegów tej otchłani.

– Wiem, że cię zraniłem. Wiem, że nie chcesz słuchać moich przeprosin za to, co powiedziałem. Ale mam pomysł. Pojedźmy do twojego taty. Moglibyśmy wyjechać wcześniej rano i zostać cały dzień. A nawet kilka dni, jeśli się zgodzi.

– I myślisz, że to naprawi wszystko pomiędzy tobą i mną?

– Nie, nie sądzę, że to cokolwiek naprawi. Ale przynajmniej spędzimy trochę czasu razem. A tego przecież teraz potrzebujemy. A ty musisz się przekonać, że chcę czegoś więcej niż, no wiesz... zagarniania cię.

Rose płakała. Nie chciała dać mu satysfakcji i pokazać, że płacze przez niego. Nie wycierała oczu. Po prostu pozwoiliła łzom płynąć i wsiąkać w poduszkę.

– Myślę, że jestem na rozdrożu – odezwał się po chwili. – Znaleźliśmy się na

poziomie, na którym wszystko się zbiega. I teraz albo uda nam się wejść wyżej, albo spadniemy.

– Mówisz o nas czy o zespole? – zapytała.

– O nas. Ale to dotyczy również zespołu. – Oparł głowę o zagłówek i westchnął. – Pamiętasz ten wieczór, gdy prosiłem o mądrość? Kiedy mnie zachęcałaś, żeby to zrobić?

– Pamiętam.

– Czuję, jakby Bóg wysłuchał mojej prośby. Jakby ofiarował mi to, o co prosiłem. Dał mi ciebie. I dał mi muzykę, która dotyka ludzkich serc. Kocham to, co robię. Nienawidzę tras. Nie cierpię być z dala od ciebie. Ale kocham śpiewać i pisać piosenki, które wydają się zmieniać choć odrobinę świat.

Przekręcił się na bok. Nadal jej nie dotykał, ale zbliżył się do niej. – A mimo to rzuciłbym to wszystko, gdybym musiał. To znaczy, gdybym miał cię utracić. Rzuciłbym to natychmiast. Ale nie sądzę, bym musiał dokonywać takich wyborów. Sądzę, że uda nam się to wszystko pogodzić. Czuję także, że zraniłem najważniejszych dla mnie ludzi, których miałem chronić. Ciebie i Raya.

– O czym ty mówisz?

– Pojedź ze mną do taty. Spakujmy rzeczy Raya i jedźmy do winnicy. Mam jeszcze tyle do zrobienia w kaplicy! Och, niemalże zapomniałem o tym miejscu.

Rose odwróciła się i spojrzała na niego. – Mówisz serio?

– Ray się ucieszy. I Shep też.

– Czekaj, żeby zabrać Raya do centrum handlowego w mieście. Tego z karuzelą z konikami.

– Nam to też dobrze zrobi. Żadnych planów. Żadnego zagarniania. Obiecuję.

– Wierzę, choć nie jestem przekonana – powiedziała, a na jej ustach pojawił się słaby uśmiech, który wywołał uśmiech i u niego.

– Zróbmy tak, Rose. Wyjedźmy. Razem.

Znów odwróciła się do niego plecami i wbiła wzrok w ścianę. – Wstaniesz tak wcześnie?

– Nastawię budzik.

O szóstej byli już w drodze. Rose czuła, że między nią i Jedem dzieje się coś nowego, jakby w oddali zamajaczyła nadzieja, którą straciła dawno temu. Jego słowa nie dawały jej spokoju przez całą noc. Czy jeśli poprosiłaby, żeby rzucił muzykę i wybrał rodzinę, naprawdę by to zrobił? Czy byłby w stanie? I czy naprawdę chciała, aby to uczynił? Ożywał, kiedy śpiewał swoje piosenki. Jakby Bóg wyciągał do niego dłoń za każdym razem, kiedy powstawała piosenka. Czy chciała temu położyć kres? Czy mogła go o to prosić?

Na jednym ze spotkań członkinie koła studiującego Biblię omawiały wagę

przebaczenia. Pojawiło się pytanie, czy jeśli otrzymujemy prawdziwe przebaczenie od Boga, to możemy przekazać je innym? A jeśli ktoś nie jest gotowy przebaczyć drugiej osobie, to czy może powiedzieć, że jest gotowy na przebaczenie od Boga?

Takie myśli kłębiły się w jej głowie, kiedy jechali do winnicy. Tata wyszedł na zewnątrz, żeby ich przywitać. Patrzył jedynie na Raya. Posępny mężczyzna, który kroczył przez życie z kamienną twarzą i groźnym spojrzeniem, rozjaśnił się jak świąteczna choinka, gdy zobaczył chłopca. Uścisnął Rose i przywitał się z Jedem, ale to w tym dziecku było coś, co sprawiało, że otwierał się tak, jak nigdy wcześniej. Rose zaczęła się zastanawiać, jak ich przyjazd do winnicy i spędzony razem czas wpłyną na stan jego serca.

– Mogę go zabrać? – zapytał ojciec, kiedy weszli do domu.

– Może powinieneś poczekać do lunchu. Przygotował już pistolet na wodę.

– W takim razie niech mu się jeszcze zaostry apetyt – odparł, a potem zakaszał i oparł się o ścianę dziesiąty raz. Tak, liczyła dokładnie.

– Tato, jesteś pewien, że nic ci nie jest?

– Oczywiście – odpowiedział. – Wiesz, jak to jest. Stare konie muszą trochę zwolnić.

– Stare konie muszą iść do lekarza.

Spojrzał na nią ze smutkiem. – Rose, nic mi nie jest. Naprawdę. Żebyśmy tylko zdążyli na karuzelę.

Uśmiechnęła się i dotknęła jego ramienia. – Tato... – Zamierzała go poprosić, żeby nie dawał Rayowi nic słodkiego. Żeby zamówił koktajl owocowy, a nie czekoladowy. Ciągle miała w głowie epizod z Jedem i torebką cukierków. Ale ugryzła się w język. – Bawcie się dobrze.

– Wystarczy, że jestem z waszą trójką, i już dobrze się bawię – odparł. A potem znów zakaszał, ale machnął tylko ręką, kiedy próbowała coś dodać.

Ranek upłynął im na oczyszczaniu krzaczków w winnicy. Pracowali w niej wspólnie – poza Rayem, który testował swój pistolet na wodę. Zaatakował Shepa i Jeda. Rose pomyślała, że zabawnie jest obserwować mężczyzn swojego życia w żartobliwych nastrojach, sposób, w jaki Jed zwracał się do Raya, jego dobroć, czułość, troskę, jaką mu okazywał. Kiedy słuchała ich zabawnych pogawędek, jej serce rosło. Zapowiadał się naprawdę wspaniały dzień.

Ray strzelił w Jeda wodą. Potem skierował swój pistolet w stronę winogron. – Teraz będą rosły szybciej – stwierdził.

Rose chwyciła jednak pistolet i powiedziała – jakby jednocześnie do swojego męża i syna: – To tak nie działa. Jeśli będziesz je zmuszał, nie urosną. Musisz wykazać się delikatnością i cierpliwością.

Spojrzała na owoce winorośli. – Traktuj je dobrze. Daj im czas. A kiedy będą gotowe, dadzą ci znać.

– OK – powiedział Ray.

Odwróciła się i spojrzała na Jeda, który miał na głowie bandankę. Uśmiechnął się i kiwnął głową. – OK – wyszeptał.

Shep odpalił samochód – co było niezłym wyczynem, gdyż silnik czał i dy-szał. Po chwili Rose obserwowała, jak auto jedzie drogą i wjeżdża na szosę, a po-tem znika z pola widzenia. Poczuła w duszy niepokojące szarpnięcie, jakby miała ich stracić. Jakby mogli mieć wypadek. Albo jakby tatę czekał jeden z jego ataków, po którym mógłby zjechać z drogi lub doprowadzić do zderzenia z innym samo-chodem... Ale to był tylko strach. Gdyby miała się tak czuć przez całe życie, bę-dzie jak sparaliżowana. Miłość powodowała, że strach pędził teraz autostradą. A przecież idealna miłość wierzy tylko w dobre rzeczy.

Spojrzała na pagórek nad stawem. Jed budował tam kaplicę. Przez lata, które upłynęły od momentu rozpoczęcia budowy, drewno zestarzało się, ale konstrukcja wytrzymała. Rose przypomniała sobie dzień ich ślubu. Do jej uszu dobiegały dźwięki piły i wiertarki. Jed właśnie wstawiał okna. Poszła do niego. Miała na so-bie sukienkę i kowbojki. Słońce oświetlało jej twarz, od której bił blask.

Przyniosła mu butelkę wody. Ich spojrzenia się spotkały. Połała wodą jego dłonie i osuszyła je szmatką. A potem pociągnęła go za sobą w odosobnione miej-sce w winnicy.

Pomyślała o słowach z Księgi Przysłów: *Trzy [rzeczy zdają mi się] nie-zwykłe, a cztery niepojęte: szlak orła podniebny, ścieżka węża na skale, droga okrę-tu na pełnym morzu i los męża u boku młodej niewiasty.* Chwilę później zatraciła się w miłości. Jed również. Ich ciała wyrażały to, czego nie wypowiedzieli słowa-mi.

Kiedy leżeli obok siebie, Rose spojrzała na kaplicę ponad krzakami winoro-śli. – Będzie pięknie wyglądać, gdy zostanie ukończona.

– Tak. Już dawno chciałem to zrobić. Szkoda, że tak to się potoczyło. Takie życie...

– Przecież ją skończysz. Nie mam żadnych wątpliwości.

– Rose, mamy jeszcze tyle do zrobienia! Tak wiele możemy razem zbudo-wać!

– Schody wyszły ci świetnie, a i dach wygląda...

– Nie mówię teraz o kaplicy.

Odwróciła się do niego.

– Jedź ze mną, Rose. Proszę.

– W następną trasę? Myślałam, że po prostu niedługo cię odwiedzę.

– Nie, nie chodzi mi o odwiedzinę. Jedź ze mną do Europy.

Zamyśliła się i znów ogarnął ją strach. Jej ojciec był coraz bardziej zależny od innych. Jego ciało stawało się coraz powolniejsze, zawodziło. Musiała zostać.

Dla niego.

– Jed, nie mogę. Widziałeś go przecież. Nie mogę go zostawić. Nie teraz.

Gdzieś nad nimi śpiewały ptaki. Rose wiedziała, że Jed był rozczarowany. Zwłaszcza po tym, co wydarzyło się między nimi kilka minut wcześniej.

– OK. Rozumiem.

Nie był już małym chłopcem, który dąsa się i kopie w piach, kiedy nie dostanie tego, czego chce. Był dorosłym mężczyzną i jako taki mówił jej, że rozumie. Nie spodobała mu się jej odpowiedź i chciał, by sprawy miały się inaczej, ale jeśli coś było ważne dla niej, to i dla niego. Jej ojciec chorował. Jed wracał w trasę. Musiał zrozumieć jej potrzebę zaopiekowania się tatą. To było ich życie. Oboje musieli ciężiej pracować nad tym, aby trzymać się razem.

Rose wtuliła się w niego i położyła głowę na jego ramieniu. Patrzyli na płynące w górze chmury. Rose zaczęła się zastanawiać, czy nadejdzie taki dzień, kiedy poczuje, że nic ich już nie dzieli.

Shelby bardzo zależało na sesji zdjęciowej i artykule w czasopiśmie „Rock & Roots”. Poszła z tym do Stana. Menedżer wybrał się do redakcji. Ustalono, że materiał zostanie zamieszczony w wydaniu specjalnym na wiosnę. Shelby zasugerowała stylizację *królewską*. Jed miał siedzieć na tronie. Wybrała dla niego koronę i berło. Wskazała jako najodpowiedniejsze ciemne kolory ze złotymi akcentami. *Na takim tle lepiej będą się prezentować moje tatuaże*, pomyślała.

Podobało jej się zdjęcie, które wybrano na okładkę. Podpisano je: *Syn zawsze wschodzi*. Shelby siedziała na ziemi, z głową opartą o jego kolano i namiętym spojrzeniem. Jed wpatrywał się w aparat obojętnym wzrokiem. Trochę żałowała, że nie udało jej się namówić go do uśmiechu, ale taka posępna twarz była bardziej intrygująca. Wyglądał na zamyślonego, wrażliwszego.

Najbardziej ucieszyło ją to, że potraktowano ją na równi z Jedem. Jej imię zapisano wielkimi literami tuż obok jego imienia. Wszystko, co sobie zaplanowała, powoli się spełniało. Oprócz jednego marzenia. Ale była pewna, że i ono się spełni, jeśli tylko będzie cierpliwa. Jeżeli nie zacznie nalegać, pozwoli, by uznał to za swój pomysł. Wiedziała, że nie czuł się szczęśliwy. Nie był tym, kim mógłby być. Zajmie jej jeszcze trochę czasu pokazanie mu, czego tak naprawdę mu brak. A ona miała czas.

Autorka artykułu spędziła z Jedem cały dzień w winnicy jego teścia w Kentucky. Zorganizowano sesję zdjęciową z jego synem, żoną i kaplicą, którą wybudował – a przynajmniej próbował zbudować – na swój ślub. Wszystko było takie słodkie, takie amerykańskie.

Ale najlepsze ujęcia wyszły na koncertach. Rozentuzjasmowani fani i przyciągnięte światło. Kapela wyciskająca z siebie siódme poty. Na jednym ze zdjęć widać było Jeda i Shelby, stojących policzek przy policzku, z zamkniętymi oczami. Śpiewali z całej mocy, a pot spływał im po twarzach. Uwielbiała tę fotografię. Poprosiła fotografa o odbitkę dla siebie.

– Myślałam, że nie lubisz zdjęć – zdziwiła się Vivian, kiedy zobaczyła fotkę w torbie Shelby. – Czy nie miały ci ich zastąpić tatuaże?

Shelby przewróciła oczami i zaciągnęła się dymem z papierosa. – Niektóre warto zatrzymać.

Vivian otworzyła magazyn i zaczęła czytać na głos: *Jedidiah King, syn zmarłego Davida Kinga, zamieszkał na obrzeżach Louisville, jedynie pół godziny jazdy od sielskiej winnicy należącej do rodziny jego żony. Jesteś pewna, że chcesz namieszać w tej bajce?*

– W niczym nie zamierzam mieszać, kobieto. Jestem, jaka jestem. Pozwalam wiórom lecieć i opadać.

– No właśnie – odparła Vivian z napięciem w głosie. – Shel, nie wiem, czy dobrze robisz. To może się skończyć jakąś totalną katastrofą.

– O czym ty mówisz? Na miłość boską, jesteśmy na okładce „Rock & Rots”!

– Chcesz go wpędzić w piekło rozwodu i alimentów? Spójrz na tę buźkę. Spójrz na tego słodkiego dzieciaka. Chcesz mu zabrać tatusia?

Shelby wbiła w nią wzrok. – Od kiedy to stałaś się taka religijna i oceniająca?

– Nie stałam się ani taka, ani taka. Próbuję ci tylko powiedzieć, że to się źle skończy. Dla wszystkich.

– Viv, idę za głosem serca. Robię to, o czym już wcześniej rozmawialiśmy. Jeśli przekażesz wszechświatowi pozytywną energię, to otrzymasz ją od niego. W tej chwili jedynie podążam za miłością.

– Jak kradzież czyjegoś męża ma się do podążania za miłością?

– Co cię opętało? – zachnęła się Shelby. – Może mi jeszcze powiesz, żebym przestała brać tabletki? Z tym nie masz problemu, co?

– Tabletki to inna sprawa. Nie szkodzisz nikomu poza sobą.

– A ty przy okazji zarabiasz kasę na boku.

– Gdybyś płaciła mi więcej, nie musiałabym dorabiać.

Shelby przewróciła oczami. – Posłuchaj, doceniam twoje starania, ale zajmij się swoimi sprawami, a ja zajmę się moimi, OK?

Vivian wróciła do artykułu. – Czytałaś ten kawałek? – Wskazała palcem tekst.

Shelby skinęła głową. Wzięła gazetę od Vivian. Chciała przeczytać to jeszcze raz.

King i Bale tworzą niezwykły tandem. Oboje mają swoje zespoły, których członkowie grają na takich samych instrumentach. Ale pod względem tematycznym nie można być od siebie dalej. Najślawniejsza ballada Kinga, „Piosenka”, o szukaniu miłości życia, powstała podczas miesiąca miodowego autora. Słowa i melodię King napisał rankiem na ganku chaty nad rzeką, a potem zagrał ten utwór swojej dopiero co poślubionej żonie, po jej przebudzeniu.

Najślawniejsza piosenka Bale to „Konfetti”, dynamiczny utwór na skrzypce, który artystka napisała na skrawku serwetki po nocy pijaństwa i pogoni za szybką miłością. Jest to kawałek zapierający dech w piersiach – jak twierdzi Bale, „egzystencjalny utwór o tęsknocie za ciepłem ludzkiego serca”.

– Po prostu wyszła ze mnie – opowiadała piosenkarka podczas obecnej trasy koncertowej. – Tym właśnie są dla mnie piosenki. Przyfruwają do mnie, przelatują przez moją głowę jak wiatr. Niektóre z nich pochwycę, a inne odlatują w dal. Mocno wierzę w to, że jeśli mam zaśpiewać jakiś kawałek, to on któregoś dnia do mnie wróci.

Jak doszło do połączenia ich w zespół, nie jest do końca jasne, ale menedżer, Stan Russel, twierdzi, że doskonale się dopełniają. – Shelby jest osobą młodą, wolną duchem, z dzikością w oczach i skłonnością do ryzyka. Jed to konserwatysta, spokojny, solidny ojciec rodziny. Publiczność kocha ich oboje jako indywidualnych artystów, ale w duecie kocha ich jeszcze bardziej. Trudno to wyjaśnić. To jest magia.

Na jednym z jesiennych koncertów Bale zaskoczyła Kinga – przyłączyła się do niego, gdy śpiewał jedną ze swoich piosenek. Od tej pory występują razem.

Kiedy ktoś pyta ich o wzajemne zauroczenie sobą, które – jak twierdzą fani – z łatwością daje się zauważyć, King tylko się uśmiecha i kręci głową. Bale jest bardziej rozmowna. – Jed nigdy nie naraziłby swojego wizerunku, tego, w co wierzy, a także swojej rodziny – twierdzi. – To nie ten typ. I wszyscy go za to szanujemy.

Shelby spojrzała na Vivian i uśmiechnęła się szelmowsko. – Masz to czarno na białym. Szanuję Jeda za jego... jak to się mówi? Poświęcenie?

Podszedł do nich Stan. Gdy zdjął okulary przeciwsłoneczne, dziewczyny zauważyły, że jego oczy są równie zaczerwienione jak ich. Wyglądał, jakby natychmiast musiał napić się kawy.

– Gotowe na dobre wieści? – zapytał.

– Obniżasz swoją stawkę menedżerską? – zażartowała Shelby.

– Powinienem ją podwyższyć. Pamiętasz singiel, na którym wydaliśmy „Piosenkę”? Już pokrył się złotem. Zostanie nam wręczony w przyszłym tygodniu, pomiędzy występami w Orlando i Atlancie.

Vivian wydała z siebie okrzyk radości, a Shelby przybiła z nią piątkę.

– Nigdy wcześniej żadna moja piosenka nie pokryła się złotem – stwierdziła Shelby.

– Technicznie rzecz biorąc, to jego piosenka, ale to ty nadałaś jej rozmach, dziecino.

– To cała Shelby – odezwała się Vivian i spojrzała na nią wymownie. – Dziewczyna z rozmachem.

– Rozmachem, który porwał nas do Europy – dodała Shelby.

– A co potem? – zapytała Vivian.

Stan wzruszył ramionami. – Kto wie? Wczoraj zadzwonił do mnie ktoś z telewizji. Pytał, czy Jed nie byłby zainteresowany poprowadzeniem własnego show.

– Mam nadzieję, że mnie również uwzględniłeś w tym przedsięwzięciu.

– Kochaniutka, gdziekolwiek pojawi się Jed, tam i ty się pojawisz.

Shelby nie potrafiła ukryć podekscytowania. Może właśnie tak się wszystko potoczy? Zbliżą się do siebie w Europie. Jed uzmysłowi sobie, że jego małżeństwo utknęło w martwym punkcie, a kiedy wrócą do Stanów, zaczną pracę nad telewizyjnym show. Jego fani na początku będą mu mieli za złe to, że opuścił swoją rodzinę, ale zdobędzie nowych, takich, którzy zrozumieją człowieka podążającego za

głosem serca.

Ale nie powinna się śpieszyć. Musi się uspokoić i zwolnić. Zabrać Jeda do Europy, z dala od swojskich Stanów, od pośpiesznych, jednodniowych wypadów do domu. Z dala od Rose i syna. To będzie najlepsza okazja do tego, aby pomóc mu ruszyć z miejsca. Prosto w jej ramiona.

Lot do Glasgow, na pierwszą część europejskiej trasy, był dla Jeda męczący. Wyruszyli po południu i mieli wylądować rano. Kupił przepaskę na oczy, żeby osłonić je przed światłem, ponieważ w ciągu kilku ostatnich tygodni nie mógł zasnąć w samolocie. Ale ani przepaska, ani poduszka pod karkiem, ani kieliszek wina do kolacji nie pomogły. W jego głowie kłębiły się myśli o trasie, Rose i Rayu. I o tym, jak wiele traci przez ten wyjazd.

Kiedyś pastor Bingham poradził mu, aby znalazł sobie przyjaciela, kogoś, kto pomoże mu iść po wybojach życia. Oczywiście tego nie zrobił. Tłumaczył sobie, że tylko osoba duchowna mogła w ten sposób podchodzić do sprawy. Pastor nie miał najmniejszego pojęcia o tym, jak trudno jest znaleźć w trasie kogoś, kto mógłby odegrać taką rolę. Było to prawie niemożliwe. To samo dotyczyło czytania Biblii. Codzienny rygor życia w trasie, przygotowań i prób sprawiał, że lektura stała się prawdziwym luksusem. Jed postanowił wrócić do niej, jak tylko wszystko się uspokoi. Kiedy stanie solidnie na nogach. Będzie to pierwsza rzecz, jaką zrobi po szczęśliwym zakończeniu trasy.

Przestał zaprzętać sobie tym głowę. Skierował swoje myśli ku Rose. Miała rację w kwestii swojego ojca. Stawał się coraz powolniejszy. I dobrze zrobiła, że została. Gdyby Jed mógł wrócić do przeszłości i spędzić więcej czasu z własnym ojcem, zrobiłby to. Nie namyślałby się ani minuty. Ale Shep, nawet słabszy, nadal był silny jak byk i zapewne przeżyje ich oboje. Jed miał przynajmniej taką nadzieję.

Gdyby Rose zgodziła się jechać z nim w trasę, byłiby razem fizycznie i emocjonalnie. Połączyliby się, choć pozostawało pytanie: jak bardzo ona chciałaby się *połączyć*? Czy zawsze już będą się o to kłócić? Czy zawsze będzie musiał czuć wyrzuty sumienia, ponieważ chce być ze swoją żoną? Miłość fizyczna nie jest przecież niczym złym. Jest czymś świętym. Doświadczyli tego w winnicy. Dlaczego więc czuje się, jakby prosił o zbyt wiele? Przecież takim stworzył go Bóg.

Jed miał dosyć roztrząsania tych pokrętnych argumentów. Postanowił spżytkować swoją energię na stworzenie czegoś pożytecznego, na przykład napisanie piosenki. Wyciągnął zakupiony niedawno elektroniczny gadżet i pozwolił płynąć myślom. Zwrotom, pomysłom, pojęciom. Najlepsze piosenki, podobnie jak najlepsze opowiadania, zawierają w sobie pewien ból, który łączy je z odbiorcą. Ale zawierają również nadzieję, ponieważ wszyscy chcą wierzyć w to, że w ich życiu coś zmieni się na lepsze.

Słyszał melodię, ale była trochę zbyt zuchwała, jak dźwięki protest songów młodych artystów, którzy pragną zostać zauważeni. *Patrz na mnie. Jestem na coś wkurzony*. Nie chciał takiego brzmienia ani takiego tonu w swojej muzyce.

– Nad czym pracujesz? – zapytała Shelby, ocierając się o niego. Pochyliła się nad nim.

Gdyby tak zrobił ktoś inny, Jed potraktowałby to jako natręctwo. Ale ponieważ przepracowali razem kilka miesięcy w dużej bliskości, przyjął to za dobrą monetę. Taka była Shelby – waliła prosto z mostu i nosiła swoje emocje na wierzchu, jak tatuaże na rękach i plecach.

– Mam pewien pomysł na piosenkę – odparł i wyłączył urządzenie.

– Pokaż. Może będę mogła pomóc? Przecież doskonale wiesz o tym, że kilka pięknych piosenek ma dwóch autorów. Jedna osoba daje pomysł, dołącza do niej druga i wychodzi z tego coś lepszego. Ja popracuję nad refrenem, a ty nad zwrotkami.

– Ja zwykle tak nie pracuję.

– A próbowałaś kiedykolwiek?

– No nie.

– Czy kiedykolwiek śpiewałaś „Turn Around Fast”?

– No pewnie. The Transom, tak?

– Historia tej piosenki jest taka: kiedyś Sully, lider grupy, pracował nad jakąś zwrotką. Glenn Sincher zapytał go, czy może pomóc. Sully się nie zgodził, zbywał go i zbywał, aż w końcu mu ją pokazał. Glenn dokończył nie tylko całą zwrotkę, lecz także resztę.

– Myślisz, że w twoim przypadku też tak będzie?

– Myślę, że nigdy się o tym nie przekonasz, jeśli mi jej nie pokażesz. Dalej, co ci szkodzi?

Przysunęła się i poprosiła Johnny’ego Paugha, perkusistę Jeda, żeby zamienił się z nią miejscami. – Popracujemy nad piosenką – wyjaśniła mu.

Johnny uniósł brwi, ale posłusznie usiadł z tyłu.

– Shelby, jakoś nie mam ochoty dzielić się właśnie tą piosenką. Jeszcze nie.

Udała nadąsaną. Wydeła słodko usta jak dzieciak, którego lizak właśnie wylądował w piachu. – To pewnie dotyczy twojego małżeństwa. Mam rację?

Skąd ona to wie?, pomyślał Jed.

– Czerwienisz się! – roześmiała się, nieco za głośno o takiej porze. Ściszyła głos i przysunęła się do niego. – No dobra, nie mam zamiaru zaglądać wam do sypialni. Ani w jakiegokolwiek inne miejsce, gdzie wy dwoje...

Już chciał się odezwać i powiedzieć jej o winnicy, ale powstrzymał się od wyjawienia tak osobistej tajemnicy. Gdzieś trzeba postawić granicę.

– Hmm, gdzie to może być? W pralni? W kuchni? Mnie możesz wyjawić tę tajemnicę, Jed. U mnie jest bezpieczna.

Odwrócił się do okna i zobaczył w nim swoje odbicie. W tym świetle jego oczy wydawały się podkrążone.

– W winnicy – powiedział w końcu i odwrócił się do niej.

– Na zewnątrz? Wiedziałaś, że chrześcijanie są blisko natury, ale żeby aż tak?

– Wcześniej nigdy nam się to nie zdarzyło – odparł. Czuł się źle, kiedy wyjawiał jej coś tak intymnego. – Ale było miło.

– Cieszę się – rzuciła lekko. – Słyszałam, że po urodzeniu dziecka to pierwsza rzecz, jaką się traci. No wiesz, pożądanie i całą resztę. *Mam na ciebie ochotę* zamienia się w *boli mnie głowa*. Więc super, że u was jest inaczej.

Nie odezwał się, a ona zrozumiała tę ciszę. Po chwili ciągnęła: – Wiesz, ja też nad czymś teraz pracuję. To jest o dziewczynie, która szuka miłości w niewłaściwych miejscach. Parę razy zostaje zraniona. Szaleje ze złości. Próbuje się zemścić. Całą energię wkłada w swoją pracę, w swoją sztukę...

– Jak to się kończy?

Shelby przechyliła się przez podłokietnik. – Spotyka kogoś wyjątkowego. Kogoś zupełnie innego niż ona. I on daje jej nadzieję, choć sam o tym nie wie. Ale...

– Ale co?

– On jest poza zasięgiem. Więc całe uczucie okazuje się... jak to się mówi?

– Nieodwzajemnione?

– Tak... A może zakazane? – Uśmiechnęła się zagadkowo.

– Nieważne. W wywiadzie dla „Rock & Roots” użyłaś słowa *egzystencjalny* w odniesieniu do swojej piosenki. Byłem pod wrażeniem.

– Czytałeś?

– Oczywiście.

– I co myślisz?

– Znalazło się tam kilka błędów, ale cały artykuł był niezły. To dla nas dobra reklama.

– Stan twierdzi, że nawet zła reklama jest dobra.

– No nie wiem – odparł. – Pokaż mi swoją piosenkę.

– Pokażę ci moją, jeśli ty pokażesz mi swoją. – Mrugnęła porozumiewawczo.

Uśmiechnął się i pokręcił głową. – Może innym razem. Ale pisz. Masz prawdziwy talent.

Shelby sięgnęła po swoją torebkę i wyciągnęła z niej błyszczący do ust. Jed dostrzegł buteleczkę z tabletkami. – Chorujesz na coś poważnego? – zapytał.

Upchnęła buteleczkę głębiej w torebce. – Nie. To zwykłe tabletki. Czasami nie mogę spać. Jestem zbyt nakręcona. Wtedy pomagają.

– Powinnaś być ostrożna z tą pomocą.

– Nie musisz się o mnie martwić, Jed. Wszystko jest pod kontrolą. Naprawdę.

Spojrzał przez okno na mrugające światła samolotu. Dostrzegł w szybie, że

Shelby wstaje i odchodzi. Jakaś jego część poczuła ulgę. Inna pragnęła, żeby dziewczyna została.

Następnego wieczoru w Glasgow zabrzmieli razem niesamowicie. Cała grupa, ale przede wszystkim Jed i Shelby. Salę koncertową wypełniła młoda publiczność, która klaskała, krzyczała i śpiewała wraz z nimi każdą piosenkę. Muzyka, światła, bliskość fanów – wszystko zagrało. Jed karmił się energią wyczuwalną w powietrzu i chemią pomiędzy Shelby a nim. Nie mógł sobie wyobrazić tego, że mogliby zabrzmieć lepiej.

Ale koncert w Dublinie okazał się jeszcze lepszy. A koncert w Londynie w ogóle przeniósł ich na inny poziom. Na koniec, po wykonaniu „Piosenki”, Jed i Shelby zaśpiewali „Miłość jest siłą, która leczy”.

Aplauz sięgnął zenitu. Ktoś po lewej stronie Jeda zaczął krzyczeć. Jed dostrzegł fankę, która przedzierała się przez ochronę i chciała rzucić na niego.

– Kocham cię! – krzyczała. Dwaj ochroniarze złapali ją i odciągnęli. – Pragnę cię, Jed! Kocham cię! Twoje piosenki tyle dla mnie znaczą! Każ im mnie puścić!

Podczas gdy dziewczyna próbowała przekrzyczeć publiczność, Jed odwrócił się do Shelby, która śmiała się do rozpuku.

Kiedy Jed machał do publiczności na zakończenie i szedł za kulisy, nie pamiętał już o tym incydencie. Stan był w ekstazie. Zespół poczuł się doceniony. Shelby była w siódmym niebie. A Jed czuł głód i pustkę, których nie potrafił wyjaśnić. Żaden tłum fanów nie mógł tego wypełnić.

Jed pomyślał, że tym, czego naprawdę teraz potrzebuje, jest sen. Dopiero po nim wróci do grania. Próbował przekonać samego siebie, że to wystarczy, aby przegonić dręczące go pytania i wewnętrzny ból.

Rose i Ray dotarli do winnicy przed południem. Zamierzali zjeść lunch z Shepem. Przywieźli w koszyku piknikowym ulubione przekąski Raya: kanapki z masłem orzechowym i bananami, pokrojone w słupki marchewkę i seler naciowy – również z masłem orzechowym, a także krakersy z miodem i, oczywiście, masłem orzechowym. Ray przepadał za masłem orzechowym. Rose pozwalała mu je jeść, ile tylko chciał, ale z jakichś powodów ostatnio zapach tego przysmaku przyprawił ją o mdłości. Nie zdarzyło jej się to... cóż, w każdym razie od długiego czasu.

Podczas drogi Ray zasnął. Rose włączyła radio. Usłyszała jedną z piosenek Jeda i uśmiechnęła się pod nosem. Daleko zaszedł od czasu koncertu na ich festiwalu. I wydawało się, że nic nie jest w stanie go spowolnić ani zatrzymać.

Zrozumiał sytuację z jej ojcem. Chciała wierzyć, że tak było. Ale kiedy odjeżdżał, nadal miał minę zranionego, jakby powinna jechać z nim do Europy. Pomyślała, że albo będzie żyła z poczuciem winy, albo po prostu zacznie żyć pełnią życia. Zdecydowała się na to drugie.

Kiedy dotarła do domu Shepa, zapukała i zawołała tatę. Z domu nie dochodził żaden dźwięk. Ray pobiegł do ogrodu na huśtawkę zrobioną z opony samochodowej, tę samą, na której obserwowała ją kiedyś jej mama.

– Tato? – Drzwi skrzypnęły, kiedy je otwierała. Postawiła koszyk na podłodze, a potem zajrzała do gabinetu. Spodziewała się, że zobaczy ojca w ogromnym fotelu za biurkiem, ale nie było go tam. Uważnie spojrzała na podłogę, na której stały wypchane zwierzaki.

– Tato?

Poszła do kuchni. Spojrzała przez okno. Sądziła, że tata jest w stodole, ale nie zaobserwowała żadnego ruchu.

Znalazła ojca w salonie, w jego ulubionym fotelu. Nogi miał niedbale okryte kocem. Był nieruchomy i bez życia. Nie chciała go dotykać – pomyślała, że jego skóra na pewno jest zimna. Ale zanim zdążyła wybuchnąć płaczem, tata otworzył oczy. Wyglądał, jakby spodziewał się kogoś innego.

– Rose?

Uśmiechnęła się i otarła łzę płynącą po policzku. – Nie słyszałeś, jak cię wołałam?

– Coś słyszałem, ale pomyślałem, że to wiatr. – Usiłował się podnieść. – Gdzie jest Ray?

– Na dworze, na huśtawce. Nie wstawaj. Wyglądasz na zmęczonego.

– Właśnie wróciłem z obchodu winnicy i chciałem się zdrzemnąć. – Usiadł prosto, przyłożył ręce do piersi, skrzywił się i zacharczał. Jego oddech wydawał się ciężki.

– Jak się czujesz, tato?

– Jako tako. A jak ty się czujesz?

Posłała mu groźne spojrzenie.

– Miewałem lepsze dni. Ale i lepsze dni jeszcze przed nami. – Przesunął się na brzeg fotela i westchnął. – Miałem sen. Wyraźny jak wiosenny dzień.

– Co ci się śniło?

– Że twoja mama siedzi tam, przy oknie, i patrzy na Raya. I jak zwykle mówi mi, co mam robić.

– Dbała o ciebie bardziej niż ty sam.

– To prawda.

Ray wpadł do salonu. Shep natychmiast nabrał zadziwiającej energii. Wziął wnuka na kolana.

– Zrobimy sobie piknik! – wykrzyknął chłopiec.

– Piknik? To naprawdę świetny pomysł.

– Jesteś głodny, dziadziu?

– Urodziłem się głodny – odparł Shep i roześmiał się, ale po chwili zaczął kasłać i ciężko sapać. Rose kazała Rayowi umyć ręce.

– Jesteś pewien, że nic ci nie jest? – spytała ojca.

– Za dużo się martwisz. Odpręż się, dobrze?

Wynieśli koszyk na zewnątrz. Ray serwował dziadkowi wszystkie swoje ulubione przegryzki. Shep zrewanżował mu się historią o tym, jak ocalił Rose przed wężem, którego znalazła pewnego razu na grządce z dyniami.

– Był taki duży, że mógł ją zjeść? – zapytał Ray.

– Na tyle duży, by poobgryzać jej małe paluszki, i tyle. To był zwykły, niegroźny wąż, który zajmował się swoimi sprawami, kiedy nagle nadeszła Rose.

– Myślałam, że zaraz padnę trupem – dodała Rose.

– Ale nieustraszony tata nadszedł i cię uratował! – Ojciec celował w nią kawałkiem selera naciowego, jakby to był miecz.

– Zabiłeś go, dziadku?

– Nie, nie zabija się czegoś, co jest dobre dla roślinek w ogrodzie. Wyciągnąłem Rose z grządek i pozwoliłem Panu Wężowi Niegroźnemu popęłzać dalej.

– Mamo, ja bym go dla ciebie zabił! – krzyknął Ray.

Rose roześmiała się serdecznie. Dalej gawędzili o przeszłości. Potem Ray pobiegł na huśtawkę z kanapką w ręku. Jego policzki były umazane miodem. Rose nie zareagowała. Nic się nie stanie, jeśli umyje synka później.

– Jed gra dzisiaj?

Rose skinęła głową. – W Londynie.

– Żałujesz, że tam nie jesteś? Że nie jesteście razem? Że nie zobaczysz Londynu?

– To da się jeszcze zrobić – odparła.

- Mam nadzieję, że to nie przeze mnie zostałaś.
 - Zostałam, bo tu mieszkamy, tato. Trasa koncertowa to nie miejsce do wychowywania takiego rozbrykanego dzieciaka jak ten.
 - Za to duży ogród jest bardzo pomocny, prawda? – Uśmiechnął się, ale po chwili dodał poważnie. – Nie chcę, żebyście się od siebie oddalili. Żebyście spędzali za dużo czasu oddzielnie.
 - I kto się tu za dużo martwi? – spytała, pakując rzeczy. – Jest dobrze, tato. Nie powiem, że idealnie, ale dobrze.
 - Cieszę się – odparł. – Ponieważ chciałbym ci powiedzieć, co postanowiłem.
 - Co postanowiłeś?
 - Sporządziłem testament.
 - Tato!
 - Nie, pozwól mi dokończyć. Zrobiłem to już dawno temu. Nawet twoją mamę w nim uwzględniłem. – Uśmiechnął się i spojrzał na dom.
 - Co ci chodzi po głowie? – zapytała Rose.
 - Och, przypomniał mi się żart twojej mamy o małym chłopcu ze szkółki niedzielnej. Nauczycielka zapytała dzieci, kto chce iść do nieba. Wszyscy podnieśli ręce oprócz Johnny’ego. *Johnny, a ty nie chcesz iść do nieba?* Johnny pokiwał głową i powiedział: *Chcę, ale myślałem, że pani skręca ekipę na teraz.*
- Rose roześmiała się i przypomniała sobie wszystkie historyjki i żarty opowiedane przy kuchennym stole, kiedy była mała. Ludzi wpadających bez zapowiedzi. Przyjaciół. Rodzinę.
- Uaktualniłem testament, żeby odpowiadał obecnemu stanowi rzeczy. Ciebie wyznaczyłem na wykonawczynię mojej woli.
- Zamilkła na chwilę. Chciała oswoić się z tym, co właśnie usłyszała.
- To znaczy, że to ty zadecydujesz, co stanie się z domem, ziemią i winnicą.
 - Wiem, co to znaczy.
 - Twoi bracia na pewno będą chcieli sprzedać wszystko najszybciej, jak się da. Chcę, żebyś zrobiła to, co uważasz za słuszne.
 - Tato, wiesz, że to nie będzie łatwe. Oni są tacy zawzięci...
 - Wiem, że są uparci. Mają to po twojej matce. – Jego oczy się zaszklily. – Ale to ty zajmujesz się tym miejscem. Jeśli ty i Jed będziecie chcieli tu zamieszkać i zatrzymać winnicę, możecie sprzedać ziemię przy stawie i podzielić pieniądze pomiędzy chłopaków. A jeżeli postanowicie inaczej, sprzedaj to odpowiedniej osobie, która zaopiekuje się winnicą. Nie sądzę, żeby to się mogło stać jakoś szybko, ale lepiej się do tego dobrze przygotować.

Najpierw poczuła smutek, a nawet jakiś rodzaj złości na to, że tata porusza tak trudny temat podczas pikniku. Ale przynajmniej w końcu zaczął mówić, nie czekał, aż będzie za późno. Kiedy mama chorowała, wszyscy wiedzieli, że zbliża

się koniec, ale nie mieli pojęcia, jak chce zostać pochowana albo jaka pieśń ma zabrzmieć na jej pogrzebie. Działo się tak, ponieważ ojciec uparcie wierzył w to, że mama w cudowny sposób wyzdrowieje. Pokona raka i wszyscy będą żyć jak dawniej. Ojciec zawsze wydawał się Rose silny, sprawiał wrażenie, że ze wszystkim sobie poradzi. Ale z perspektywy czasu stało się jasne, jak bardzo był wtedy przestraszony i co ten strach z nim zrobił.

Po lunchu tata się zdrzemnął. Powiedział, że nie czuje się dobrze. Rose pojechała do miasta, aby pokazać Raya starym znajomym. W sklepie Wilkersonów (który stał się częścią jakiejś sieci, ale od zawsze mówiło się na niego *sklep Wilkersonów*) w dziale mrożonek natknęła się na Eddiego. Nie widziała go od incydentu z Jedem podczas festiwalu. Był ubrany w szary fartuch i rozpakowywał mrożone dania obiadowe. Kiedy ją dostrzegł, jego twarz się rozjaśniła, ale chwilę później zgasła.

– Cześć, Rose – przywitał się chłodno. – To twój synek? – Nachylił się do Raya i dotknął jego policzka dłonią w rękawiczce.

– To jest Ray.

– Ray – powtórzył Eddie, jakby chciał zapamiętać imię chłopca. – Jak się masz, chłopie?

– Dobrze – odpowiedział Ray i wtulił twarz w spódnicę Rose.

Eddie bezceremonialnie przyglądał się Rose. – Wiesz, wiele dziewczyn wychodzi za mąż, ma jedno lub dwoje dzieci i po prostu się zapuszcza. A ty pewnie ćwiczysz?

– Przez większość czasu uganiam się za nim – odpowiedziała. – To są moje ćwiczenia.

– Jak tam Jed?

– Dobrze. Teraz jest w Europie.

– Słyszałem. On i Shelby nieźle dają czadu.

– A co u ciebie, Eddie? – zapytała.

– W porządku. Dorywcza praca. Popracuję tu, dopóki nie znajdę czegoś lepszego w centrum handlowym.

– No tak. A ułożyło ci się z Kristen?

Zmarszczył brwi, jakby musiał przypomnieć sobie, o kogo chodzi. – Och, Kristen! Nie. Nie wyszło nam. Czekam na właściwą osobę. Znowu.

Rose się zaczerwieniła. Ray pociągnął ją za spódnicę. – Mamo, chodźmy już.

– Tak, chyba już pójdziemy – powiedziała. – Mój tata na nas czeka.

– Posłuchaj. To, co się między nami wydarzyło... Naprawdę bardzo żałuję, że potraktowałem cię w ten sposób.

– Doceniam to, co mówisz, Eddie.

– Jeśli mógłbym jakoś naprawić sprawy między nami...

– Mamo, chodźmy!

– Cóż, nie będziemy ci zawracać głowy. Wracaj do pracy. Miło było cię widzieć, Eddie.

– Ciebie również, Rose.

Nie odwróciła się, kiedy wychodzili ze sklepu, ale czuła, że patrzy na nią i myśli sobie: *Co by było, gdyby?*

Zanim Rose przygotowała wczesną kolację, dziadek próbował wyjaśnić Rayowi, o co chodzi w szachach. Chłopcu najbardziej podobało się zbijanie pionków. Shep pozwolił mu wygrać. Po kolacji puszczali kaczki. Kiedy wracali przez winnicę, Shep zobaczył kępkę chwastów, które mu się nie spodobały. Chwycił leżącą w pobliżu motykę i zajął się kopaniem. Ray w tym czasie wyciągnął z tylnej kieszeni spodni napój owocowy.

– Dopiero co jadłeś kolację! – odezwała się Rose.

– Wiem, ale chce mi się pić.

Otworzyła mu butelkę. Chłopiec wskazał palcem kaplicę.

– Tata ją skończy, jak wróci, prawda?

– Tak mówił – odparła Rose.

– Możemy się tam przeprowadzić?

– Nie, to jest kaplica. To tak jak kościół. Tatuś i ja pobraliśmy się tam.

– Super! – wykrzyknął Ray i zaczął się śmiać. – Dziadzia! Patrz na niego, mamó. On się wygłupia.

Rose odwróciła się i zobaczyła, że jej tata zachwiał się, próbował się czegoś złapać i w końcu upadł na ziemię. Jego twarz była szara niczym popiół.

Popędziła do niego i upadła na kolana. – Tato!

Szybko sprawdziła mu puls. Pomyślała o uciśnięciu klatki piersiowej, ale otwarte oczy ojca były już nieruchome. Nie oddychał. Rose pobiegła do domu. Po chwili wróciła, chwyciła Raya, a on wylał napój i zaczął płakać. Rose biegła i też płakała. Próbowwała nieść synka, ale był za ciężki.

Gdyby tu był Jed, pomyślała. Nie myliła się co do ojca. Nie czuł się dobrze. Była wściekła, że jej mąż jest tysiące kilometrów stąd.

Wpadła do domu i wezwała pogotowie. Operator powiedział jej, że karetka jest już w drodze. Rose złapała Raya za rękę, chwyciła telefon i wróciła do winnicy. Miała nadzieję, że zastanie tatę siedzącego, że się pozbierał. Ale kiedy wrócili do niego, nadal leżał na ziemi.

– Czy on nie żyje, mamó? – zapytał Ray.

– Nie wiem... Nie wiem...

Zadzwoiła do Jeda. Nie zastanawiała się nad tym, co on może robić w tej chwili. Chciała usłyszeć jego głos.

Na spotkanie po koncercie Shelby wybrała stary pub naprzeciwko hotelu. Było tam kilkunastu stałych bywalców, którzy stopniowo wykruszali się po wtargnięciu zespołu. Shelby wiedziała, że Jed przywłókł się za nimi z poczucia obowiązku i przynależności do grupy. Kapela była żywym organizmem. Im bardziej o nią dbali, tym stawała się mocniejsza. Ale Jed nie przepadał za posiłkami późno w nocy, zapewne dlatego, że nie mógł po nich zasnąć. Poza tym, jak wszyscy wiedzieli, alkohol nie był dla niego. Jed zamawiał jedynie kieliszek wina. Shelby czuła misję, aby to zmienić.

Nie potrafiła zrozumieć, dlaczego nie chciał zabalować. Czy zakazano tego w Biblii? A może powodem były problemy jego ojca z alkoholem? Albo jeszcze coś innego? Shelby wiedziała, że jeśli jego tata nie miałby romansu, Jed nie pojawiłby się na świecie. Bóg chciał, aby wyniknęło z tego coś dobrego. Oczywiście, wolała myśleć o tym w kategoriach karmy lub po prostu ślepego losu. Ale jeśli Jed chciał wierzyć, że brała w tym udział boska siła, która miała go w swojej opiece, dziewczyna nie zamierzała wybijać mu tego z głowy.

Pochyliła się nad rzędem kieliszków z wódką. Czuła na sobie spojrzenie Jeda. Vivian ruszyła do ataku pierwsza. Wszyscy głośno jej kibicowali. Następnym był Johnny, perkusista Jeda. Zdołał przełknąć jedynie pięć kolejek.

Shelby poklepała go po plecach. – Wcale nieźle jak na pierwsze podejście.

Teraz nadeszła jej kolej. Pokazała im, jak to się robi. Okrzyki stały się jeszcze głośniejsze. Kiedy odstawiła ostatni kieliszek, uniosła zaciśniętą pięść. Śmiała się przy tym i upajała chwilą. Czuła magię koncertu, bycia w grupie, rozmach wszystkich dotychczasowych występów. Wydawało się, jakby miały one doprowadzić ich właśnie do tego miejsca, do tego sukcesu, do tej imprezy.

Spojrzała na Jeda. Ta jego melancholijna twarz... Shelby poczuła, że bardzo za nim tęskni. Jak podpowiadała jej intuicja, właśnie teraz była szansa na przełom. Tej nocy.

Zapaliła papierosa i zaciągnęła się dymem. Poczowała go głęboko w płucach.

– No dobra! OK, a teraz cisza! Spokój! – krzyknęła. – Panie King? Teraz pana kolej!

Jed machnął ręką. – Ja dziękuję.

Podeszła do niego z kieliszkiem w ręku. Zespół zaczął wiwatować. Spojrzała na Vivian i wypchnęła językiem policzek. – Wydaje mi się, że picie należy dodać do listy rzeczy, które Jed robi tylko ze swoją żoną.

Przyjaciele zaczęli się śmiać. To ją tylko podkręciło.

– Ludzie, przecież on ma w domu winnicę! Winnicę! Kiedy wraca, przechodzi przez próg i ma wina, jakie tylko chce!

Była tuż przy Jedzie. Tylko on mógł ją teraz usłyszeć. – Czy nie jest tak?

Jed wlepił w nią wzrok. Jego twarz, jego oczy mówiły wszystko. – Nie.

Shelby przyglądała mu się bacznie. Próbowwała zrozumieć, co chciał przez to powiedzieć. Wypuściła z ust obłoczek dymu. – Mówisz serio? – zapytała cicho.

Nie odpowiedział. Spuścił wzrok.

– No dobra – wyszeptła poważnie. – Przepraszam. Nie wiedziałam. Ja po prostu... Nie chcę cię takiego widzieć. Chcę, żebyś się naprawdę dobrze bawił. Korzystał z życia.

Postanowiła podpuścić go raz jeszcze. – Czy ja widzę alkohol na barze? Ta-aaak, widzę tam alkohol.

Członkowie zespołu Jeda wydawali zachęcające okrzyki. Jed spojrzał na Shelby. Nie wytrzymał i uśmiechnął się do niej.

– Chcę tylko powiedzieć, że naprawdę na to zasłużyłeś! – krzyknęła Shelby.

Jed uderzył pięścią w stolik, jakby podjął decyzję, i wstał. Sala oszalała. Stan był już pijany. Vivian patrzyła na Shelby dzikimi, przekrwionymi oczami. Nagle zaczęła skandować: – Jed! Jed! Jed!

Shelby i reszta przyłączyli się, a barman promieniał. Wiedział, że będzie miał naprawdę dobry utarg.

Jed dotarł do baru i uniósł pierwszy kieliszek. – Panie i panowie, myślę, że powinniśmy wypić zdrowie panny Shelby Bale. Do dna!

Rozległy się krzyki, pohukiwania i inne dziwne dźwięki.

– Panie i panowie, a ten toast wznoszę za moich chłopaków z zespołu! – krzyknął Jed.

Shelby stała odwrócona, jakby nigdy nic, jakby to nie ona pociągała za sznurki, jakby nie cieszyła się z każdej sekundy tego, co się działo. Kątem oka zauważyła światelko. Na stoliku wibrował telefon Jeda. Na ekranie pojawiła się fotografia Rose i Raya. Śliczna mała rodzinka. Taka sielanka! Shelby nacisnęła guzik telefonu i rozłączyła rozmowę.

Jed, zachęcany przez kolegów, z impetem wychylił kolejny kieliszek. Sięgnął po czwarty i piąty. Skrzywił się i pokręcił głową. Ludzie na sali powoli tracili nad sobą kontrolę.

Shelby wsunęła telefon Jeda do kieszeni i ponownie zaciągnęła się dymem. Jed tymczasem dalej sięgał po kieliszki ustawione w rzędzie. Pił wódkę przy wtórze okrzyków. Czuł się tak, jakby był na scenie.

Telefon znów zawibrował. Znowu Rose. Shelby po raz drugi rozłączyła rozmowę, a potem wrzuciła aparat do torebki.

Jed odstawił ostatni kieliszek i przytrzymał się baru, po czym wyrzucił ręce w powietrze i wydał z siebie zwycięski okrzyk. Wszyscy się do niego przyłączyli. W tym momencie wyglądał na szczęśliwego. Radosnego. I był na najlepszej drodze do tego, aby się upić.

Vivian podeszła do Shelby. – Moje gratulacje! Możemy oficjalnie uznać, że go wyluzowałaś.

– Zapowiada się interesująca noc – odparła Shelby ze śmiechem.

Vivian też się uśmiechnęła. – Będziesz mi musiała jutro o wszystkim opowiedzieć. – Spojrzała na zegarek. – A właściwie dzisiaj. Tylko trochę później.

W głowie Shelby pojawiły się słowa piosenki. *Ciemna otchłań nieba. Tak czarna jak krepa. Spuszczona kurtyna jak w teatrze. Jestem opętana. Jestem oszalała. Nie dbam, czy dobrze to, czy źle.*

Między nimi nie będzie żadnych zakazów ani tajemnic. Po tej nocy nic już nie będzie takie samo. Jed należał do niej.

trzydzieści cztery

Jed wprawdzie nie zataczał się jak kilku innych chłopaków z zespołu, ale numery pokojów na szóstym piętrze hotelu wirowały mu przed oczami. Było to zadziwiające uczucie. Doświadczył go zaledwie dwa razy w życiu: kiedy jako nastolatek poszedł na imprezę z przyjaciółmi i w barze, przed jednym z koncertów, zanim się ożenił. Zespół musiał go wtedy wypchnąć na scenę. Gdy się na niej znalazł, ledwo trzymał się na nogach. Później tysiąc razy przysięgał, że już nigdy nie nadużyje alkoholu.

I proszę, teraz szedł chwiejnym krokiem hotelowym korytarzem. Obok niego zataczała się Shelby. Reszta muzyków po kolei wycofywała się do swoich pokojów. Shelby śmiała się głośno. W powietrzu czuć było wolność. Fajnie jest czuć się wolnym.

Kiedy znaleźli się przed pokojem 539, Shelby odwróciła się i oparła o drzwi.

– Dobrze się bawiłeś?

– Tak. Naprawdę dobrze. Dziękuję.

– To ja dziękuję. Teraz już mogę odhaczyć *wizytę w Anglii* z mojej listy rzeczy do zrobienia.

– Czy to znalazło się zaraz po *zrobić sobie mnóstwo tatuaży*? Nie da się ich nie zauważyć.

– Zaraz po *poznać Jeda Kinga*.

Chwycił jej rękę i odwrócił ją. Przyglądał się tatuażom na jej ramieniu. Jakiś dziwny płomień płonął w jego wnętrzu. Może to był po prostu alkohol? A może podziałała tak na niego świadomość, że robi coś zakazanego, że znalazł się w sytuacji, w której nigdy nie powinien się znaleźć? Czuł dziwne podekscytowanie. Shelby przyprawiała go o lekkie drżenie.

– A tak poważnie: po co robisz sobie te tatuaże?

– To jest mój sposób na zachowanie wspomnień.

– Może powinnaś spróbować z albumem i zdjęciami?

– Z albumem i zdjęciami?

– To wydaje się bardziej... rozważne. – Kiedy wypowiedział ostatnie słowo, nieco się zachwiał.

– Może i tak, ale albumy zabijają wspomnienia.

– Albumy zabijają wspomnienia?

– Tak. Wspomnienia w twojej głowie zostają zastąpione zdjęciami. – Shelby spojrzała na swoją rękę. – Kiedy na nie patrzę, natychmiast wraca do mnie lawina wspomnień.

– Żadnego z nich nie żałujesz?

Słowo *żałujesz* dziwnie ją poruszyło, jakby rozpało w niej ogień. Jej usta

zwilgotniały i wydawały się zapraszające, a spojrzenie poruszyło jakąś strunę w duszy Jeda. – Czuć winę czy żałować czegokolwiek to tak, jakby uderzyć samego siebie w twarz. To samobiczowanie. Nie rób tego.

Po chwili ściszyła głos. – Chcę tylko powiedzieć: rób, co chcesz, i nie czuj się z tego powodu winny.

Wytrzymała jego spojrzenie, a potem spojrzała na jego usta. Jed myślał o jej słowach. Mógł z nich powstać tekst piosenki. *Rób, co chcesz, i nie czuj się winny. Żyj, jak chcesz, i smakuj świat.* Coś w tym rodzaju. *Wgryź się w owoc i nie martw płynącym sokiem.* Czuł wolność. Właśnie do niej ciągnęła go Shelby. To było mocne przyciąganie. Mocniejsze niż cokolwiek, czego zaznał wcześniej.

Shelby otworzyła drzwi do swojego pokoju i weszła do środka. Odwróciła się do Jeda. – Dobranoc – powiedziała cicho.

Zanim drzwi zdążyły się zamknąć, wyciągnął rękę i zatrzymał je. Potem pchnął je i ujrzał ją, czekającą. Jakby się tego spodziewała, jakby to zaplanowała. Kiedy wszedł do środka, drzwi zatrzasnęły się za nim. Zostali sami. Uśmiechnęła się i objęła go. Ich usta spotkały się i Jed poczuł, jakby jego dusza zapłonęła.

Kiedyś w radiu usłyszał, jak stary kaznodzieja mówił o różnicy pomiędzy miłością i pożądaniem. Miłość daje, a pożądanie zabiera. Grzech to przez pewien czas dreszcz emocji, później zaś zabójcza toksyna.

To wspomnienie przemknęło przez jego głowę, gdy całował Shelby. Gdzieś z odległego zakamarka jego serca dochodził krzyk: *Uciekaj, wyjdź stąd, otwórz drzwi i nie zatrzymuj się, dopóki nie znajdziesz się w swoim pokoju i nie zamkniesz za sobą drzwi!* Ale Jed nie był w stanie się nigdzie ruszyć. Shelby oferowała mu siebie bez żadnych warunków. Była chętna. Otwarta. Wprawdzie to Rose kochał od dawna, ale tu stała Shelby, wyczekująca i gotowa.

Nagle cała chemia, która wytworzyła się pomiędzy nimi na scenie, zalała hotelowy pokój. Wszystkie zaczepki, aluzje, spojrzenia, ocieranie się podczas podróży w samolocie czy stania w windzie skumulowały się i wybuchły. Jed cieszył się z tego.

To, co Shelby mówiła w korytarzu o poczuciu winy, miało sens. Dlaczego nie można robić tego, co się chce? Dlaczego nie należy działać pod wpływem impulsu?

Jakiś głos w sercu mówił mu, że jeszcze nie jest za późno, że można jeszcze uratować to, co zostało z jego uczciwości...

Kogo chciał nabrać? Było już za późno. Przepadł przy pierwszym pocałunku. Stanął na krawędzi wodospadu i prąd spychał go w dół, w otchłań.

Przez całą noc powtarzał sobie w duchu, że nie powinien czuć się winny. Że to tylko poszukiwanie prawdziwej energii w samym centrum znoju życia i kariery. A kiedy to nie pomagało, zaczął obwiniać Rose. Gdyby z nim przyjechała, nic by się nie wydarzyło. Gdyby nie odmawiała mu tak wiele razy, kiedy jej pragnął, teraz

do niczego by nie doszło.

Gdzieś w głębi duszy czuł, że to nieprawda. To nie była wina Rose. Ale jak tylko zaczynał czuć ciężar tego, co się stało, Shelby pociągała go w coraz głębszą otchłań.

Kiedy Jed się obudził, głowa pękała mu z bólu. Usłyszał brzęk buteleczek z lekarstwami w łazience i odgłos telefonu. Nagle w drzwiach pojawiła się Shelby. Miała na sobie szlafrok z jakimś dziwnym wzorem na plecach. Miękki, jedwabny. Jej nieumalowana twarz wyglądała zupełnie inaczej.

– Cześć – rzuciła. Wydawała się być dumna z tego, co zrobiła. – Dzień dobry.

– Która godzina? – zapytał.

– Piętnaście po pierwszej.

Jed odrzucił kołdrę i chwycił spodnie.

Shelby usiadła na łóżku. – Jak się czujesz? – zapytała, rzucając na kołdrę telefon komórkowy.

– Dobrze. A ty? – odpowiedział pytaniem. – Odbierz ten telefon, jeśli chcesz.

Uśmiechnęła się zagadkowo. Na jej twarzy malowały się emocje, które trudno było rozszyfrować. Poczucie winy? Ale przecież Shelby nigdy nie czuła się winna.

– To twój telefon. Przepraszam. Wzięłam go z baru, żebyś o nim nie zapomniał. A potem zapomniałam ci go oddać...

Jed spojrzał na telefon i zobaczył wiele wywołań od Rose. – Och! – wymknęło mu się nagle. Poczul ukłucie w sercu. Próbowwała się z nim skontaktować przez wiele godzin. Przez całą noc, podczas gdy on...

– Jed, naprawdę cię przepraszam – odezwała się Shelby. – Czuję się strasznie.

– W porządku. To nie twoja wina – odparł Jed i zmusił się do uśmiechu. – Powinienem do niej zadzwonić.

– Oczywiście. – Shelby skinęła głową ze zrozumieniem, choć wcale nie chciała, aby Jed wyszedł. Wolałaby, żeby został i dał jej więcej tego, czego doświadczyli w tę gorącą noc.

Jed zabrał swoje ubranie i otworzył drzwi. – Do zobaczenia później, OK? – Spojrzał na nią. Nadal siedziała na łóżku.

Wrócił do swojego pokoju. Wykręcił numer do domu i natychmiast usłyszał głos Rose. Wyczuł w nim strach i ból.

– Jed? – szlochała.

– Cześć – przywitał się cicho. Co się mówi żonie, którą się zdradziło?

– Gdzie byłeś?

Pytanie zabolalo go, jakby zraniła go sztyletem. Zamknął oczy i próbował zapomnieć o tym, co zrobił. Może to się nie stało. Może mu się to tylko śniło. Może mógł całą winę zwalić na alkohol.

– Próbowałam się do ciebie dodzwonić przez całą noc.

Chciał jej coś odpowiedzieć. Że spał. Że zasnął twardo i nie usłyszał dzwonka telefonu. Albo że ktoś przypadkowo zabrał jego komórkę. Może by się udało. Ale musiał mieć się na baczności, bo tuszowanie złych czynów słowami nie było wcale łatwą sprawą, a on nie miał w tym zbyt dużo doświadczenia.

Siedział i słuchał, jak Rose płacze. W jej głosie usłyszał panikę. Na początku przyszło mu do głowy, że ona wie. Że ocknęła się z głębokiego snu i wyczuła ruch płyt tektonicznych ich małżeństwa.

– Jed, gdzie ty byłeś?

– Rose, co jest? Co się stało?

– Dzwoniłam do twojego pokoju chyba z pięćdziesiąt razy. – Nagle płacz i lament wzięły nad nią górę. Myślał, że chodzi jej o niego. Że ich problemy gwałtownie wzbурzyły się i wykłapiały, bo przyłapała go na... Nie był nawet w stanie wydusić z siebie tego słowa.

– On odszedł, Jed – wykrztusiła Rose.

To go przywróciło do rzeczywistości. – Kto odszedł? O czym ty mówisz?!

W słuchawce słycać było, że Rose walczy o oddech.

– Czy coś się stało Rayowi? – Złapał się jedną ręką za głowę i przeklinał w duchu, że jest tak daleko.

– Nie, nie chodzi o Raya. O tatę. On umarł.

– Jak to?! Co się stało?!

Rose zaczęła opowiadać o swoim pobycie w domu i spacerze, o tym, jak tata upadł. Jed zamknął oczy i słuchał. Miała więc rację. Zdrowie jej ojca rzeczywiście się pogarszało.

– Rose, przyjadę, jak tylko będę mógł, OK?

Przestała płakać. – Przyjedziesz do domu?

– Oczywiście. Już jadę. Zadzwoń tylko do Stana. Muszą złapać pilota i przygotować samolot. Zadzwoń do ciebie z lotniska. Do zobaczenia!

– Jed, to było straszne. Widziałam, jak upada... I był przy tym Ray...

– Tak mi przykro! Przyjadę najszybciej, jak się da. Trzymaj się, Rose!

Jed próbował zasnąć w samolocie, ale mu się to nie udało. Kiedy dudnienie w jego głowie przybrało na sile, poprosił o drinka. O coś mocnego. Coś, co złagodzi ból.

Stan zachował się wspaniale. Musieli odwołać kilka koncertów, ale dla

wszystkich było jasne, że Jed musi wrócić do domu i być ze swoją rodziną. Chciał tam być, chciał pocieszyć Rose i być z Rayem. Jednocześnie zastanawiał się, czy Rose się zorientuje. Czy kobiety potrafią wyczuć niewierność? To nie zdarzy się nigdy więcej. Przynależał sobie, że nigdy więcej nie dopuści do takiej sytuacji. To był jednorazowy wybryk i nikt nie musi o nim wiedzieć.

Reszta tygodnia wydawała się mu zamazaną plamą. Rodzina Rose przyjechała pożegnać się z Shepem. Trumnę z jego ciałem wystawiono w domu – Shep zapisał taką prośbę w testamencie. Ray trzymał się Jeda przez cały wieczór. Chłopca dziwili członkowie rodziny i przyjaciele z Kościoła przynoszący jedzenie, którego nikt nie będzie jadł, wystający gdzieś po kątach i mówiący do Rose takie rzeczy jak: *On jest teraz w lepszym świecie* albo: *Widocznie Bóg potrzebował go bardziej niż my*. Przyszli też ratownicy medyczni, którzy próbowali reanimować Shepa tamtego feralnego dnia. Niektórzy ludzie pojawili się jedynie po to, żeby zobaczyć Jeda, przyrzec mu się z bliska. Pewna kobieta w średnim wieku przedarła się przez tłumek i wyciągnęła w jego kierunku marker oraz kartkę z książki kondolencyjnej Shepa. – Moja córka jest pana wielką fanką. Czy mogę prosić o autograf dla niej? – wyszeptwała.

Jed w pierwszym momencie chciał złożyć swój podpis, aby nie robić sceny, ale na twarzy Rose odmalował się horror. Dlatego Jed wyciągnął rękę, położył ją na ramieniu kobiety i pokierował ją w stronę drzwi. – Nie wydaje mi się to teraz odpowiednie, proszę pani. Ale proszę powiedzieć córce, że jestem wdzięczny.

Kobieta okazała skruchę i ruszyła w kierunku samochodu. W pewnej chwili stanęła jednak, odwróciła się i zrobiła Jedowi zdjęcie.

Podszedł do nich też Eddie Edwards. Chciał złożyć kondolencje. Uścisnął dłoń Jeda i objął Rose. – Bardzo mi przykro z powodu twojej straty. Twój tata był dobrym człowiekiem.

Zaskoczyło to Jeda. Może Eddie nieco dojrzał przez te lata? A może pomyślał, że Rose będzie sama i pozwoli się pocieszyć, podczas gdy Jed będzie w trasie? Szybko przegonił tę myśl i skupił się na Rayu. Chłopiec był coraz bardziej zmęczony. Jed zabrał go do pokoju na górze.

– Dziwnie było tak patrzeć na dziadka – stwierdził Ray.

– Mama powiedziała mi, że byłeś w winnicy, kiedy to się stało.

Ray kiwnął głową. – Na początku myślałem, że to jest śmieszne. Że dziadek się wygłupia.

Jed objął synka. – W porządku.

– Mama przez cały czas płakała.

– Wiem. Dajmy jej trochę czasu. Musi opłakać dziadka.

Gdzieś z korytarza dobiegały odgłosy zamieszania i gniewne szepty. Jed powiedział Rayowi, żeby odpoczywał, a on zobaczy, co się dzieje, i zaraz wróci.

Na korytarzu zobaczył braci Rose. Wpatrywali się w jakiś dokument.

- Wiedziałeś o tym? – zapytał go Zack.
- Jed wziął od niego papier i zorientował się, że to testament Shepa.
- Ojciec powierzył Rose wykonanie swojego testamentu – powiedział Will.
- Rose rości sobie prawo do posiadłości.

Jed oddał im dokument. – Chłopaki, nie powinniście poczekać z tym do zakończenia pogrzebu?

Bracia Rose byli niezadowoleni z jego reakcji, ale nie przejął się tym. Wrócił do pokoju i odkrył, że Ray zasnął. Jed usiadł na podłodze i objął rękami głowę. Musiał się czegoś napić.

Shep miał zostać pochowany obok swojej żony, na wzgórzu. Było zimno. Wśród żałobników pojawił się pastor Bingham.

– Shepowi podobałby się taki dzień – odezwał się pastor. – Uwielbiał być na powietrzu. Kochał tę winnicę i to, jak ona się zmienia w poszczególnych porach roku. Uwielbiał wiosnę, lato i jesień – zbiory. Uwielbiał być blisko natury i rozkoszować się darami Boga.

Jed spojrzał w kierunku miejsca, w którym kilka lat wcześniej zakopali Duke'a. *To był punkt zwrotny w naszej relacji*, pomyślał. Shep zawsze wydawał się nieco podejrzliwy w stosunku do niego. Ale kiedy pochowali razem Duke'a, a potem jeszcze pojawił się Ray, wszelkie jego obawy zniknęły. Choć może wcale nie powinien być taki ufny.

Pastor Bingham spojrzał na Jeda, jakby wyczuł, że coś jest nie tak. Wziął głęboki oddech i powiedział: – Pewien mądry człowiek napisał kiedyś: *Wszystko ma swoją godzinę, jest czas na wszelką sprawę pod niebem: jest czas rodzenia i czas umierania, czas sadzenia i czas wrywania tego, co zasadzono [...]*. Taki czas nadszedł również dla Shepharda. A także dla nas. Nadszedł czas pożegnania z naszym przyjacielem, oddania Stwórcy jednego z Jego najwspanialszych, najpiękniejszych dzieł. Ciężko pracującego, kochającego życie człowieka, wiernego męża i ojca.

Słowa te zraniły Jeda do żywego. *Wiernego męża i ojca...* Szybko otrząsnął się jednak i starał się pomóc Rose przetrwać do końca uroczystości.

Kiedy wieczorem wszyscy wyszli i w domu zapanowała cisza, Rose zwinęła się w kłębek na kanapie. Jed ułożył głowę żony na swoich kolanach. Obserwował, jak Rose śpi. Po chwili oparł głowę o tył kanapy i zamknął oczy. Śniło mu się, że się przebudził i usłyszał jakiś hałas, jakby wystrzał ze strzelby. Wstał i wyszedł w ciemność, w kierunku światła, które rozbłysło w pobliżu winnicy. Doszedł do kaplicy, ale była to tylko goła konstrukcja. W jej głębi wisiało ciało świeżo upolowanego zwierzęcia. Kadłub zwisał z belek do góry nogami, a krew spływała do metalowego wiadra ustawionego na podłodze i pryskała na deski w pobliżu nóg jakie-

goś mężczyzny.

Mężczyzna zrobił krok w tył i spojrzał na Jeda. To był Shep. Jego zaczerwieniona twarz płonęła ze złości. Wyciągnął nóż z ciała zwierzęcia. Miał krew na rękach i ubraniu. Ruszył w kierunku Jeda. Trzy kroki i już stał przy nim. Jed nie był w stanie się poruszyć. Sparaliżował go strach.

– Shep, nie! Nie! – krzyknął, ale Shep był szybszy. Wbił zakrwawiony nóż w jego serce.

trzydzieści pięć

Shelby siedziała w barze. Palila papierosa i gapila się na Vivian.

– I nie masz żadnych wyrzutów sumienia? – zapytała ją po chwili przyjaciółka. – Mam na myśli to, że jej tata umierał, a wy wtedy...

– Zaopiekowałam się jej mężem tak, jak ona powinna to zrobić. To oczywiste, że nie dostaje w domu tego, czego potrzebuje.

– Naprawdę? A skąd ty to wiesz? Wyczytałaś to w jego oczach? Zrobiłaś mu badanie krwi?

– Nie są mi potrzebne żadne badania. Po prostu to wiem.

– Shelby, znasz mnie. Nie jestem święta. Lubię się zabawić. Ale ten facet jest w szczęśliwym małżeństwie. Jego kariera ma u podstaw rodzinę i religię. Ty i ja możemy nie mieć wspólnego zdania na temat Boga i wszystkich tych historii z Jezusem, ale pomyśl: nie tylko okradasz go z wierności. Niszczysz mu życie.

Shelby posłała jej ostre spojrzenie. – Wcale nie niszczę. Próbuję go uwolnić z więzienia, w którym tkwi.

– Więzienia? Nazywasz jego życie więzieniem?

– Jego sztuka i on sam znaleźli się w pułapce. Musi się wpasować w ciasne pudełko, które dla niego stworzono, które sam dla siebie stworzył. A mógłby być kimś więcej. Ze mną.

Vivian wypila pozostałości drinka jednym haustem. – Myślisz, że zostawi swoją żonę dla ciebie? Łudzisz się, że tak się stanie?

Shelby uśmiechnęła się do niej. – Po tamtej naszej wspólnej nocy mogę ci to zagwarantować. Kiedy mężczyzna się przekona, że naprawdę lepiej jest tam, gdzie go nie ma, wraca. I ostatecznie zostaje.

Mijały dni. Koncerty zostały odwołane. Shelby zaczynała się zastanawiać, czy Jed nie zmienił jednak zdania. Chciała do niego zadzwonić lub wysłać mu wiadomość, ale wiedziała, że lepiej będzie poczekać i pozwolić mu wykonać następny ruch. *Bądź cierpliwa*, myślała. *Wtedy jego powrót będzie pewniejszy*.

Kiedy dowiedziała się, że pogrzeb już się odbył, spotkała się ze Stanem w hotelowym lobby.

– Myślę, że musimy odwołać Amsterdam – powiedział menedżer.

– Jeśli odwołasz kolejny koncert, będziemy ugotowani – odparła Shelby. – Po Londynie nabraliśmy takiego rozmachu!

– Zmarł jego teść. Informuję cię, bo może tego nie wiesz.

– Stan, wiem, że zmarł ojciec jego żony. Ale życie toczy się dalej. Pewnie nawet do niego nie dzwoniłaś?

– Chcę mu dać trochę przestrzeni. Nie zamierzam teraz naciskać.

– Ktoś musi mu przedstawić realia. A one wyglądają następująco: ucieka

nam kasa z trasy koncertowej. Odwoływanie występów wkurza ludzi. Chcą nas oglądać na żywo. Nie obchodzą mnie żadne powody. Jest czas żałoby i czas śpiewania. A to jest czas, żeby zrobić w życiu krok do przodu.

Stan zerknął na zegarek. – Która tam jest teraz godzina? Pewnie jakiś późny ranek, co?

Shelby wzruszyła ramionami.

Stan wybrał numer, po czym przeprosił Jeda za pobudkę. Zapytał go o czas i bezgłośnie powtórzył: *Jest szósta rano.*

Shelby nachyliła się do telefonu, ale nie słyszała głosu Jeda.

– Czekamy tu na ciebie z niepokojem i niecierpliwością. W piątek jest Amsterdam. Wszystko przygotowane...

Jed odpowiedział coś, a Stan zacisnął usta.

– Człowieku, odwołaliśmy już sześć koncertów. Tak, wiem, że to była ważna sprawa, ale my też jesteśmy ważną sprawą. – Zerknął na Shelby. – No dobra, tak naprawdę chodzi o to, że uciekają nam pieniądze. Człowieku, ile kasy już uciekło! Ludzie zaczynają się naprawdę wkurzać.

– Stan – zaczął Jed. Teraz Shelby go usłyszała. – To jest moje życie. – W jego głosie słychać było rozdrażnienie.

– Na które właśnie w taki sposób zarabiasz – odparł Stan. – Posłuchaj, gdybyś był nikim, gdybyś był jedynie dzieciakiem Davida Kinga, nie obchodziłoby mnie, co zrobisz. Nikogo by to nie obchodziło. Ale nie sądzę, żebyś tylko tym chciał pozostać. A może jednak? Po prostu nie możesz za każdym razem uciekać od problemów.

Stan spojrział prosto w oczy Shelby, a ona skinęła głową. Takiej reprimendy Jed potrzebował. Shelby miała nadzieję, że nacisk ze strony Stana podziała i Jed wróci. Wróci do niej.

trzydzieści sześć

Rose obudziła się i spostrzegła, że jest przykryta pledem, który uwielbiał jej ojciec. Jed patrzył na nią. Zasnęła na jego kolanach. Nie pamiętała wielu szczegółów z poprzedniego dnia. Pogrzeb, rozmowa z braćmi, zajmowanie się Rayem i pytania na temat farmy – to wszystko było jak rozmazana plama. Rose czuła, że jej życie wiruje i wymyka się spod kontroli. Zawsze była dumna z tego, że potrafi trzymać prosty kurs, ale od kiedy jej ojciec zmarł, znalazła się w zasięgu trąby powietrznej.

Jed patrzył na nią oczyma pełnymi bólu. Wyglądał, jakby chciał jej o czymś powiedzieć.

– Muszę wracać – wyszeptał.

Rose znów zaczęła płakać. Nie chciała okazywać takich emocji, wyglądać na biedną i zahukaną, ale nic nie mogła na to poradzić.

– Proszę cię, nie jedź – błagała.

– Nie mam wyboru – odparł

– A właśnie, że masz. Proszę, zostań.

– Jeśli zostanę, będziemy musieli zwrócić mnóstwo pieniędzy.

Otworzyła szeroko oczy i przestała płakać. Wiedziała, co musi zrobić. – W takim razie zabierz mnie ze sobą. – Postanowiła, że nic nie może stanąć pomiędzy nimi.

Mina Jeda... Coś było nie tak. Chodziło o coś więcej niż jej obecność.

– Nie mogę tego zrobić, Rose – powiedział tak cicho, że ledwo go usłyszała.

– Dlaczego?

– Z powodu tego wszystkiego, o czym mówiłaś wcześniej. Nie mogę tego zafundować Rayowi.

Płakała coraz bardziej rozpaczliwie, jak zranione dziecko. – Mogłam wtedy z tobą pojechać. Tak mi przykro, Jed. Przepraszam. Powinnam z tobą pojechać.

– Masz dużo roboty tutaj – wyszeptał. – Jeszcze tylko osiem tygodni. Po koncercie w Cincinnati zrobię sobie przerwę.

– Na jak długo?

Dostrzegł słaby uśmiech na jej twarzy. – Powiedzmy, że na początek będzie to rok.

Następnego dnia Rose i Ray odwieźli Jeda na lotnisko, żeby być z nim jak najdłużej. Ray obejmował Jeda za szyję. Przytrzymał go tak długo, jak tylko mógł. W końcu Jed postawił go na ziemi.

– Po Cincinnati – zwrócił się do Rose i pocałował ją w policzek.

Podczas pobytu w domu był wyjątkowo miły. Nawet słowem nie wspomniał o zbliżeniu. Sądziła, że jego delikatność wynikała z powagi sytuacji. Widział przecież, jak wielką traumę Rose ma po śmierci ojca.

Kilka osób rozpoznało go na lotnisku. Jed przeszedł obok nich i pomachał.

Rose pojechała w kierunku Nashville. W połowie drogi miała spotkać się w parku z Denise. Zawsze lubiła rozmawiać o życiu ze swoją przyjaciółką. Tym razem mówiły o śmierci jej ojca i zmianach, które miały nastąpić w zależności od decyzji w sprawie farmy.

– Chcesz zatrzymać farmę dla siebie, tak? – zapytała Denise. – Tam są groby twoich rodziców.

– Tata pozostawił tę kwestię otwartą. Powiedział, że jeżeli będę chciała, możemy przenieść ich groby. Ale ja nie chcę tego robić. I nigdy nie pozbędę się winnicy.

– A co na to twoi bracia?

– Nie chcę w to brnąć teraz. Byli na mnie wściekli. Sądzą, że zmusiłam ojca do decyzji.

– Nie prosiłaś, żeby powierzył ci wykonanie swojej woli.

– No właśnie. Zamierzam podzielić ziemię na trzy parcele i przekazać im ich części. Mogą z nimi zrobić, co zechcą.

– A jak ci się układa z Jedem?

– Chciałam wyjechać w trasę razem z nim, ale on nie chciał.

– Co takiego?! Przecież wcześniej błagał cię, żebyś z nim pojechała.

– No tak, ale powiedział, że to nie byłoby dobre dla Raya.

– Dziwne... – rzuciła Denise.

– Dlaczego tak mówisz?

– Tak bardzo nalegał, a teraz nagle...

Urwała, ale Rose ją przycisnęła. – Co chcesz powiedzieć?

– Nic nie chcę powiedzieć, OK? Ale słyszę rzeczy, które mi się wcale nie podobają.

– Myślisz, że coś się dzieje?

– Myślę, że odmówienie żonie, która chce jechać z mężem w trasę, jest dziwne, zwłaszcza jeśli wcześniej robi się z tego takie halo. I zwłaszcza teraz, kiedy dotknęła cię tak wielka strata. – Denise spojrzała na plac zabaw. Ray wspinał się po drabinkach. – Oglądałaś jakieś wideo z jego europejskiej trasy koncertowej?

– Widziałam kilka fragmentów.

– I co o tym myślisz?

– Och, nie znam się za bardzo na muzyce...

– Nie chodzi mi o muzykę, Rose, ale o Jeda i Shelby.

– Nic się między nimi nie dzieje. Wiesz, ona jest jednym z tych dzikich dzieciaków, z tatuażami, palących... Nic ich ze sobą nie łączy.

– Muzyka ich łączy. A to, jak ta dziewczyna na niego patrzy, kiedy śpiewa ją...

– Denise, nie zamierzam tego słuchać. Zwłaszcza teraz.

– Nie chcę, byś popadła w jakąś paranoję. Ale muszę ci powiedzieć, że te filiki mnie zmartwiły.

– Myślisz, że Jed tak po prostu poleciałby za kimś i mnie zostawił? Jestem matką jego dzieci.

– Dzieci?! Liczba mnoga?!

– Tak. Spodziewam się następnego dziecka.

– To fantastycznie! Jak na to zareagował Jed?

– Nie powiedziałam mu jeszcze.

– No tak.

– Denise, przestań!

– Posłuchaj, naprawdę bardzo się cieszę. Jesteś świetną mamą. A Jed z pewnością jest czysty jak świeży śnieg. Choć sądzę, że niektórzy faceci z daleka od swoich żon...

– To jest obrzydliwe. – Rose wstała i zawołała Raya. – Nie wierzę, że możesz wygadywać takie rzeczy.

– Rose, nie odchodź, proszę.

– Nie zamierzam tu siedzieć spokojnie i słuchać, jak obrzucasz błotem mojego męża. I tak mam już dość brukowców.

– Proszę, usiądź.

– Nie. – Spojrzała na Raya. – Kochanie, zabierz swoje rzeczy. Musimy już jechać.

Denise wstała. – Uspokój się, Rose.

– Nie mów mi, co mam robić.

Denise uniosła ręce. – Już dobrze. Masz rację. Wścibiam nos w wasze sprawy. Od tej pory wszelkie swoje spostrzeżenia zachowam dla siebie.

– Nie było jeszcze pikniku – odezwał się Ray.

– Do samochodu. Zjemy po drodze do domu.

Rose podeszła do auta, załadowała ich rzeczy, przypięła Raya pasami i usiadła za kierownicą. Kiedy odjeżdżali, nawet nie spojrzała na Denise. Zatrzymała się dopiero przy bramie wyjazdowej, żeby poszukać w koszyku piknikowym serwetek.

– Mamo, dlaczego płaczesz?

Spojrzała na Raya w lusterku i uśmiechnęła się do niego przez łzy. – Tak sobie – odpowiedziała. – Czasami mamy muszą sobie trochę popłakać.

Pierwszy raz w życiu okłamała swojego syna. Słowa Denise mocno poruszyły w niej coś, czego nie chciała roztrząsać. Była pewna, że nie myliła się co do Jeda, że pomiędzy nim a Shelby naprawdę nic się nie działo. A jeśli jednak...?

Spojrzała na Denise, która nadal siedziała na ławce. A potem po prostu odje-

chała.

Od kiedy przyśnił mu się Shep, Jed miał trudności z zasypianiem. W samolocie do Amsterdamu bał się zasnąć, bo ubzdurał sobie, że ujrzy zakapturzoną postać ponurego żniwiarza z twarzą Shepa. Aby się rozluźnić, musiał wypić kilka drinków. Potem słuchał muzyki i dopiero wtedy udało mu się zasnąć spokojnym snem. Obudził się, kiedy lądowali. Być może najgorsze miał już za sobą.

Musiał przyznać, że na myśl o powrocie czuł podniecenie. Jakby znów mógł swobodnie oddychać. Dołączy do zespołu i wszystko wróci do normy. Będzie zarabiał i tworzył muzykę. No i będzie widywał Shelby. Jego postanowienie, aby zakończyć tę relację, osłabło. Odwiódł Rose od wyjazdu ze względu na Shelby. Choć czuł się winny z powodu tego, co się stało, był również podekscytowany za każdym razem, kiedy o tym myślał. Shelby pragnęła go, pragnęła z nim być i była dobra w dochowywaniu tajemnic. Nie zadzwoniła do niego, nie wysłała wiadomości. Dała mu wolność. Mówiła: *Rób, co chcesz, i nie czuj się winny*. Najwidoczniej w odniesieniu do niej ta zasada się sprawdzała. Dlaczego zatem nie miałyby się sprawdzić i w jego przypadku?

Niech zatem tak się stanie. Nie będzie czuł się winny. Będzie dalej normalnie żył i wszystko się ułoży.

Ale coś głęboko w sercu nie dawało mu spokoju. Jeśli pozostanie w związku z Shelby, choćby fizycznym, wpłynie to na jego relacje z Rose. Już wpłynęło. Nie zbliżyli się do siebie ani razu, kiedy wrócił do domu na pogrzeb Shepa. Częściowo dlatego, że Rose była tak zaabsorbowana śmiercią ojca, a on chciał być delikatny. Ale również z powodu tego, co się wydarzyło w Londynie.

W jaki sposób jego związek z Shelby wpłynie na ich muzykę? Czy chciała z nim być na stałe? Nie, Shelby pewnie zamierzała tylko się zabawić. Zwyczajnie cieszyła się życiem. Przecież kolekcjonowała tatuaże, piła na umór i śmiała się do rozpuku. Była jak powiew świeżego powietrza w jego życiu. Bardzo jej zazdrościł.

Jakaś inna część jego duszy krzyczała, że źle robi, że to nie skończy się dobrze, że Shelby jest pułapką. To był oczywiście paranoidalny głos jego przeszłości. Bóg próbował zabić wszelkie przyjemności życia. Jed uważał, że zasługuje na szczęście. Zatem będzie robił, co chce, i nie będzie czuł się winny. Kropka. Koniec pieśni.

Stan przywitał się z nim i zabrał go za kulisy. – Trochę się niepokoiłem, czy uda ci się w końcu przylecieć. Chłopie, fajnie cię widzieć.

– Fajnie jest być z powrotem.

Stan zdawkowo zapytał o Rose i Raya. Potem omówili terminy występów w Europie. Johnny Paugh spostrzegł Jeda i przyszedł uścisnąć mu dłoń. Stan stanął z boku i rozmawiał przez telefon.

– Zabieram go na scenę! – krzyknął Johnny. – Bardzo mi przykro z powodu śmierci taty Rose – dodał ciszej. – To pewnie ogromny cios.

– Naprawdę ciężko to przeżyła.

– Była z nim, kiedy to się stało?

– Tak. I Ray również.

– Śmierć jest do bani, no nie?

– Taaa...

Johnny zatrzymał się w przejściu. Byli sami. – Jed, muszę cię o coś zapytać. Wprost. Jesteśmy przyjaciółmi od wielu lat i bardzo cię szanuję.

– Mów.

– W tamten wieczór przed twoim wyjazdem... Trudno było nie zauważyć, że jesteś wstawiony. To do ciebie niepodobne.

Jed kiwnął głową. – Tak, to nie był najbardziej doniosły moment mojego życia.

– Wszyscy dobrze się bawiliśmy. Dla nas to też nie był najbardziej doniosły moment życia. – Johnny spuścił wzrok. – Jed, wiem, że wiara zawsze była dla ciebie czymś ważnym. Że żyjesz zgodnie z pewnymi zasadami.

– I?

– Och, to nie jest łatwe.

– No powiedz.

– Któregoś dnia usłyszałem dziwne słowa Vivian. Siedzieliśmy razem i zastanawialiśmy się, kiedy do nas wrócisz. To było o tobie i Shelby.

Jed przełknął głośno ślinę.

– Czy między wami coś jest?

Jed uśmiechnął się do niego. – Między ludźmi i Shelby zawsze coś jest. No wiesz. Ona przyciąga wiele osób.

– Mnie nigdy nie przyciągała. Nie aż tak, żebym spędził noc w jej pokoju.

Korytarz zawirował i Jed musiał wziąć głęboki wdech. – Słuchaj, dzięki, że mi to mówisz. Porozmawiam z Shelby o tych plotkach, OK? I z Vivian też.

– OK. Teraz pokażę ci scenę. To naprawdę piękna sala.

Johnny prowadził go wąskim korytarzem. Serce Jeda waliło jak oszałałe.

– Fajnie jest wrócić – odezwał się po chwili.

Johnny zgodził się z nim. – Później do was dołączę.

– Dobra. Na razie!

Jed wszedł na scenę. Członkowie zespołu i technicy rozstawiali instrumenty i elementy nagłośnienia. Była tam też Shelby. Szła powoli w jego kierunku w kostiumie Kleopatry. Miała na głowie perukę lub długą treskę z poprzeplatanyimi złotymi pasmami. Była ubrana w bluzkę ze złocistymi cekinami. Jej tatuaże wydawały się jeszcze bardziej widoczne.

Szła jak kotka w jego kierunku. – Cześć – wyszeptała, a potem objęła go za

szyję i przyłgnęła do niego. – Witaj w domu.

Dobrze było poczuć ją tak blisko, mieć ją w swoich ramionach, ale w tym, co powiedziała, było coś niepokojącego. Dawniej rzeczywiście trasa przez długi czas była jego domem. Może Shelby nie miała nic takiego na myśli? A może miała? Chciał powtórzyć jej, co powiedział mu Johnny, i dodać, że powinni zachować wszystko w tajemnicy, ale tego nie zrobił. Powiedział tylko: – Dziękuję.

Poszli razem na środek sceny i ustalili listę piosenek na ten wieczór. Zespół zjadł coś razem, a potem Shelby rozpoczęła koncert. Jed miał pojawić się za chwilę. Występowanie było jak jazda na rowerze – śpiewali te same piosenki, ale za każdym razem próbowali zrobić to inaczej. Tym razem z Jedem działo się jednak coś dziwnego. Pomyślał, że to pewnie nerwy. A może po prostu zjadł coś nieodpowiedniego?

Kiedy nadeszła jego kolej, wszedł na scenę przy wtórze dzikiego aplauzu widzów. Publiczność była doskonała, a kapela świetnie brzmiała. Jed poczuł, że jest gotowy. Ale gdy Shelby zaczęła grać solówkę rozpoczynającą „Piosenkę”, muzyka, oklaski i krzyki coś w nim zmieniły.

Podszedł do mikrofonu i wtedy włączyła się reszta zespołu. Gitara, która zwykle stanowiła przedłużenie jego duszy, brzmiała teraz ciężko. Była niczym kula u nogi. Spojrzał na publiczność, na skaczące dziewczyny i starsze fanki, które kołysały się w takt utworu.

I wtedy go zobaczył. Wśród tłumu stał Shephard Jordan i rzucał mu gniewne spojrzenia, jakby miał za chwilę rzucić się na niego i dać mu nauczkę. Wyciągnąć nóż i go ugodzić.

Jed zamrugał gwałtownie. Próbował współbrzmieć z zespołem, ale grali jakoś za szybko. Zostawał w tyle. Zawsze grał intuicyjnie, a teraz musiał myśleć o ułożeniu palców i o tym, jak uderzać w struny. Spojrzał znów przed siebie. Miejsce, w którym widział wcześniej Shepa, było puste. Serce Jeda przyspieszyło. Ręce ciążyły mu jak ołów. Zaczął walczyć o oddech. Poczuł, że jego skronie zalewa pot.

Spojrzał na Shelby. Usiłował porozumieć się z nią wzrokiem, ale jak miał jej przekazać, co właśnie zobaczył? Nie wiedział, co się z nim dzieje. Odwrócił się gwałtownie. Jego gitara uderzyła w stojak mikrofonu, który przewrócił się na ziemię. Salę przeszył ostry dźwięk. Po chwili technicy zdołali wyciszyć mikrofon.

Zespół zwolnił. Muzyków zdziwiło to, że Jed nie zaczął pierwszej zwrotki. Ich grę podtrzymywała Shelby. Jed pochylił się, podniósł mikrofon i próbował dać publiczności do zrozumienia, że wszystko jest w porządku. Ale wcale nie było. Czuł, że jego ciało wiruje. Nigdy wcześniej mu się to nie zdarzyło. To się zaczęło wraz z pierwszymi dźwiękami tej piosenki. *Jej piosenki.*

Przestał wyraźnie widzieć. Zachwiał się i spojrzał na publiczność. Ktoś w pierwszym rzędzie krzyknął: – Coś jest nie tak!

W końcu Jed odłożył gitarę, po czym przyłożył rękę do piersi. Z trudem łapał

powietrze. Scena zawirowała, a jego nogi stały się jak z waty. Nagle upadł. Usłyszał krzyki fanek. Ucichła muzyka i wokół niego pojawili się ludzie. Dostrzegł przejętą twarz Johnny'ego. I Shelby.

Trzymał się za serce i patrzył na Shelby. Pokręcił głową i poruszył ustami. Nie mógł wydobyć z siebie dźwięku. *Nie mogę oddychać.*

– Oddychaj, kochanie, po prostu oddychaj – powiedziała Shelby. – Powoli.

Nie mogę. Czuł się pusty jak balon, z którego wyleciało powietrze. Leżał zwiotczały, bez życia.

– Jed, nic ci nie jest.

– Wezwijcie pogotowie! – krzyknął Stan.

– Nie, nie trzeba. To atak paniki – powiedziała Shelby zdecydowanym głosem. – Jed, posłuchaj mnie. Nie umierasz, tak? Oddychaj.

– On potrzebuje pomocy – upierał się Stan.

Jed czuł, że zaraz zwariuje. Jego ciało zablokowało się, jakby coś się w nim poluzowało. Czy właśnie tak wygląda atak serca?

Przenieśli go do garderoby Shelby i posadzili na krześle. Stan powiedział, że zajmie się publicznością. – Chłopcy coś dla nich zagrają.

Shelby położyła rękę na ramieniu menedżera. – Nic mu nie będzie. Daj nam dziesięć minut.

Kiedy zostali sami, Jed objął rękami głowę. Próbował się uspokoić, ale jego serce nadal gnało jak oszalałe.

– Nigdy wcześniej mi się to nie przytrafiło – wyszeptał w końcu.

– To fizyczna reakcja. Stres. Człowiek czuje się, jakby to był koniec świata, ale nie jest. Potrzebujesz pomocy.

Sięgnęła po buteleczkę z tabletkami. Wysypała je na dłoń, a potem podała dwie Jedowi. Spojrzał na tabletki. Shelby widziała, że się waha.

– Pomogą ci się zrelaksować. Próbuję ci tylko pomóc.

Napotkał jej przenikliwe spojrzenie. Było w nim coś, czego nie potrafił nazwać. Nadal sapał i walczył o oddech.

– Nie mogę śpiewać tej piosenki, Shel.

– Jedidiah, oczywiście, że możesz.

Jego imię. Wypowiedziała jego pełne imię. Dobrze było usłyszeć je z jej ust. Shelby była jedyną osobą pomiędzy nim a przepaścią.

– To *jej* piosenka – wyszeptał.

Zamknęła oczy i z przekonaniem odpowiedziała: – Nie, to *twoja* piosenka.

Nagle w jego głowie na ułamek sekundy pojawiła się twarz Shepa. Znowu musiał łapać oddech. Próbował wyjaśnić Shelby coś, czego nie rozumiała.

– Czy czujesz czasami, jakbyś to nie ty pisała swoje piosenki? Jakby ci były darowane?

– Przez kogo? – zapytała zdezorientowana. A potem uśmiechnęła się półgęb-

kiem. – Przez Boga?

– Co będzie, jeśli mi je odbierze?

– Dlaczego? Ponieważ nie podoba Mu się to, co robisz? Spójrz tylko, co się dzieje na świecie, Jed. A tobie się podoba to, co On robi?

Zastanowił się nad tym. Miała rację. Wojny, śmierć, bieda, głodujące dzieci, samoloty spadające z nieba... Na świecie z pewnością panował chaos, ale to przecież nie była wina Boga. A może jednak tak?

– Kiedy pierwszy raz usłyszałam twoją muzykę, pomyślałam: *Tak, to jest to. Ten facet to ma. Tego właśnie chcę.* Ale pomyślałam również: *Szkoda, że jest taki...*

– Żonaty – dokończył Jed. Oddychał teraz nieco spokojniej.

– Ograniczony – poprawiła go. – Tylko pomyśleć, jaką muzykę mógłby pisać, gdyby odpuścił i żył bez tych wszystkich zasad. A potem uświadomiłam sobie, że ja mogę ci w tym pomóc. Że mnie potrzebujesz.

Wpatrywał się w nią. Chłonał jej piękno, delikatność głosu i ukojenie, jakie mu dawała.

– Myślałem, że tam umrę – odezwał się nagle. – Nie chcę się tak więcej czuć.

Uśmiechnęła się i przysunęła bliżej. W jej oczach dostrzegł iskry. Sprawiała wrażenie, jakby wiedziała coś, czego on nie wie. – I nie będziesz.

Położyła tabletki na jego dłoni. Posłusznie je połknął.

Następnego dnia Shelby, Vivian i Jed odwiedzili pewną spelunkę. Było to ciemne miejsce ze ścianami z cegieł i niewygodnymi krzesłami, ale przecież nikt nie przychodził do tej części miasta z migającymi neonami po to, aby posiedzieć na krześle. Shelby kupiła torebkę specyfiku, który sprawdził się poprzedniego dnia. Jed, nadal na haju po zażytych tabletkach, był bardzo chętny do przyjmowania kolejnych. Chciała, aby rozluźnił się jeszcze bardziej. Z uśmiechu, który ujrzała, gdy wypuściła dym prosto w jego twarz, wywnioskowała, że szykuje się długa, upojna noc.

Vivian przechyliła się do przodu. – Kiedy upadłeś na scenie, myślałam, że już po tobie.

– Ja też tak myślałem – odparł Jed.

– Można powiedzieć, że to zmartwychwstanie Jeda – zażartowała Shelby. – Powinniśmy uczcić taką okazję.

– Co? – zapytał Jed. – Czy to nie wystarczy?

– Czas zapomnieć o albumach ze zdjęciami, Jed. Tę noc powinienes zapamiętać do końca życia.

– O czym ty mówisz? – zapytała Vivian.

Shelby uśmiechnęła się zwycięsko. – Chodźcie za mną.

Szli ulicą pełną szyldów z tandetnymi sylwetkami nagich kobiet. Weszli do studia tatuazu. Mężczyzna, który wyglądał jak kula kręgielna, dostrzegł Shelby i skinął głową. Zabrał Jeda do kiepsko oświetlonego pokoju. Jed usiadł posłusznie jak owca gotowa na strzyżenie.

– To ten facet, o którym mówiłaś? – zapytała Kula Kręgielna.

– Tak. Myślę, że jest gotów.

Na początku Jed wyglądał, jakby nie wiedział, co się dzieje. Kiedy zobaczył igłę, wzdrygnął się i zapytał: – Co chcesz narysować czy namalować, czy jak wy to tam określcie?

– Mam coś idealnego na tę okazję. – Shelby podała mu skręta. – Wszystkie swoje tatuaże zrobiłam na haju. Nie poczujesz bólu.

Mężczyzna rozpoczął pracę. Gdy skończył, Jed wlepił wzrok w jego dzieło.

– I co o tym sądzisz? – zapytała Shelby.

– To ty jesteś ekspertem – odpowiedział Jed. Uniósł rękę i pokazał jej koronę na nadgarstku.

Pochyliła się do niego i szepnęła mu coś do ucha. Po chwili roześmiała się serdecznie. Nie wiedziała, że mężczyzna, którego twarz zakrywała tak gęsta broda, może oblać się aż takim rumieńcem.

Jed zapłacił artyście. Wrócili do hotelu. Shelby była zaskoczona tym, jak

szybko wyrzucił za burtę obciążający go balast zasad, reguł i moralności. Wiedziała, że czekał na coś, co uwolni go z więzienia, które sam uczynił ze swego serca, ale nie przewidziała tego, jak szybko nastąpi ten skok w ciemność.

Nadal byli w trasie. Muzyka płynęła, podobnie jak alkohol i tabletki. Kiedy wrócili do Stanów, w Nowym Jorku spędzili noc w jednym z najdroższych hoteli, w jakim Shelby kiedykolwiek się zatrzymała. Wiąż między nimi rosła. Narkotyki, alkohol, seks i wspólna tajemnica zjednoczyły ich, stały się klejem, który trzymał ich razem.

Ich występ w Pittsburghu, napędzany drinkami i prochami, był magiczny, pełen pasji. Dokądś zmierzali, i to nie tylko z muzyką. Ich serca biły wspólnie. Gdy Shelby spoglądała na Jeda na scenie, widziała mężczyznę, którego kocha. Dawał jej przyjemność i ona jemu również dawała przyjemność.

Niektórych występów żadne z nich nie pamiętało. Coraz bardziej zanurzali się w świat narkotyków. Koncerty zlewały się ze sobą. Ten w Cleveland nie różnił się od tego w Amsterdamie, Londynie czy Baltimore.

Ukoronowaniem ich trasy miało być Cincinnati. To właśnie tam Shelby miała zostać królową, a Jed królem. Już tylko jedna rzecz powstrzymywała ich od prawdziwego bycia razem. Tylko jedna osoba stała na drodze pomiędzy Shelby a szczęściem.

trzydzieści dziewięć

Rose jechała do Cincinnati dwie godziny. Ray zasnął po drodze. W czasie jazdy zawsze zapadał w sen. Obserwowała go w lusterku. Jego powieki stawały się coraz cięższe, a głowa powoli opadała. W końcu poddał się i zasnął na dobre. Uwielbiała ten błogi spokój malujący się na twarzy synka. Poczucie całkowitego bezpieczeństwa, bez żadnych trosk.

Nie powiedziała Jedowi o drugim dziecku. Po prostu wydawało jej się nie w porządku mówić o tym przez telefon. Chciała poczekać i zaskoczyć go małym brzuszkiem, kiedy już się spotkają. Ale w międzyczasie mały brzusek stał się znacznie większym brzuchem. Czy Jed ucieszy się równie mocno jak ona? Czy zrozumie, dlaczego tak długo ukrywała przed nim ciążę?

Poprzedniego dnia przyjechała z Nashville Denise. Spędziły razem cały dzień. Rose wyszła przed dom, aby ją przywitać i powiedzieć, jak bardzo jej przykro, że odjechała i tak mocno się zdenerwowała.

– Nie masz za co przepraszać, ale przyjmuję przeprosiny – odpowiedziała Denise. – Jeśli ty przyjmiesz moje. Przepraszam, że tak na ciebie napadłam. To nie moje sprawy. Po prostu bardzo się o ciebie martwię.

Popłakały się i zaczęły obejmować przed domem. Potem weszły do środka, do kuchni. Ray bawił się na podłodze klockami. Rose i Denise usiadły przy stole, by napić się herbaty.

– Wiesz, jednym z powodów, dla których tak się wtedy zdenerwowałam, było to, że ja też przeczuwałam to, o czym mówiłaś – odezwała się Rose. – Widziałam filmy z ich koncertów i te wszystkie reklamy. I to, jak ona na niego patrzy...

– Trudno tego nie zauważyć, co?

– Tak. Ale najgorsze było coś, co znalazłam w internecie. Ktoś zamieścił tam wideo z jednego z ich koncertów. Śpiewali naszą piosenkę. Shelby stała bardzo blisko niego i patrzyła mu w oczy, jakby był jej.

– Rozmawiałaś z nim o tym? – zapytała Denise.

– Dawno już ze sobą nie rozmawialiśmy. Od czasu do czasu dostaję od niego SMS-y. Albo wiadomości głosowe. A kiedy uda nam się porozmawiać, to krótko, bo zawsze musi już iść.

– Myślałaś o zwróceniu się o pomoc w tej sprawie?

– Nigdy nie ma go w domu. Kiedy mielibyśmy to zrobić?

– Nie chodzi o pomoc dla waszej dwójki, ale dla ciebie. Może byłoby ci trochę lżej, gdybyś porozmawiała o tym z pastorem lub doradcą małżeńskim?

Rose nie pomyślała o tym, żeby zwrócić się o pomoc dla siebie. Ale nagle w jej głowie zaświeciła się jakaś lampka. – Chcesz powiedzieć, że to moja wina? Że zrobiłam coś, co oddaliło go ode mnie?

– Wcale nie. Nie wiemy, co się z nim dzieje. Wiemy tylko, jak ty się czujesz. Osamotniona. Niezadowolona z waszej relacji. Nie jesteście razem i coraz bardziej oddalacie się od siebie.

– Czy nie taki jest charakter jego pracy?

– Po części tak. Rozumiem to. Ale nikt nie trzyma pistoletu przy jego głowie i nie zmusza go, żeby był cały czas w trasie.

– Stan to robi. Może nie używa do tego pistoletu, ale wszystkim dyryguje.

– Naprawdę?

– Co, nie wierzysz mi? W takim razie zupełnie nie znasz Jeda.

– Wierzę, że Stan naciska i ma w tym swój cel. Chce zarabiać kasę, a Jed jest mu do tego niezbędny. I tak to się kreci. Ale Jed chętnie w tym uczestniczy. Chce tego tak samo jak Stan. Przynajmniej na to wskazuje jego stałe bycie w trasie.

– Jak zacznę o tym rozmawiać z Jedem, powie mi, że aby być w tym biznesie, musi jeździć na koncerty i ponosić pewne koszty. Musi zbudować bazę wiernych fanów. I że właśnie się tym zajmuje.

– Dokonuje takiego wyboru. Każde jego *tak* w sprawie trasy koncertowej oznacza jednak *nie* w stosunku do czegoś innego. – Denise wypila herbatę i wbiła wzrok w filiżankę. – Może nic nie dzieje się między nim a Shelby. Może Jed każdego wieczoru studiuje Biblię. Może po prostu oddał się śpiewaniu i koncertom, a kiedy trasa się skończy, wszystko wróci do normy.

– Mam nadzieję, że tak się stanie.

– Ale to twój wybór, Rose. Wybierasz, czy będziesz trzymać się nadziei, czy tego, co czujesz.

– Tak chyba należy postępować, czyż nie? Wierzyć i mieć nadzieję.

– Tak. Miłość wybacza i nie pamięta złego. Ale jest również prawdą. I jeśli gdzieś w głębi duszy wiesz, że coś nie gra, musisz tego posłuchać, a nie zamiatać to pod dywan.

W drodze do Cincinnati Rose wyłączyła radio. Rozmyślała o słowach Denise. Nie chciała myśleć o Jedzie źle. To by było zbyt łatwe. Chciała wierzyć, że jest delikatnym, oddanym, dobrym człowiekiem, który przeszedł z nią przez pogrzeb ojca, który kiedyś zabiegał o nią i napisał wspaniałą piosenkę właśnie z jej powodu. I wszystko to było prawdą. Ale ten medal miał również drugą stronę: strach spowodowany brakiem komunikacji między nimi, lęk o jego relacje z Shelby...

– Panie Boże – modliła się – pomóż mi zobaczyć dziś wszystko wyraźnie. Wskaż mi, co mam robić, aby kochać Jeda i naszą rodzinę. Nawet jeśli to będzie trudne. Otwórz mi oczy i pomóż widzieć. Pozwól mądrze postąpić.

Rankiem zostawiła Jedowi wiadomość, ale wiedziała, że kiedy muzycy są w trasie, czasami wiadomości docierają do nich nieco później. Kiedy w oddali dostrzegła Cincinnati, ponownie zadzwoniła. Usłyszała jedynie nagranie na pocztce głosowej.

– Cześć. Nie możemy z Rayem doczekać się wieczoru – powiedziała. – Jest taki podekscytowany spotkaniem z tatą! Pomyślałam, że może moglibyśmy zjeść kolację przed koncertem, ale jeśli jesteś... No dobra, zadzwoń. OK?

Ray obudził się i zaczął oglądać budynki. Nie doczekawszy się odpowiedzi od Jeda, Rose wybrała rodzinną restaurację, w której mogła zamówić naleśniki dla Raya. Bez względu na porę dnia synek zawsze miał ochotę na naleśniki lub masło orzechowe. A najbardziej na naleśniki z masłem orzechowym. I choć nie była to najzdrowsza kolacja na świecie, Rose zgodziła się na taki wybór. Zaprotestowała dopiero wtedy, kiedy Ray chciał zamówić napój gazowany.

Jej telefon zadzwonił akurat w momencie, w którym przyniesiono posiłek. – Przepraszam, że nie oddzwoniłem wcześniej, ale mamy tu istne szaleństwo – powiedział Jed. – Dotarliśmy na miejsce okropnie spóźnieni, a potem mieliśmy jeszcze straszne problemy z dźwiękiem.

– Rozumiem – odparła Rose. – Jemy właśnie kolację. Zobaczymy się na miejscu.

– W kasie będą na was czekały bilety.

– Super. A możemy zostać u ciebie na noc?

Jed zawahał się na moment. – Mmmhm, oczywiście. Pokój jest chyba wystarczająco duży.

– Chodzi o to, że wydostanie się z sali zajmie trochę czasu. A potem mamy jeszcze dwie godziny drogi do domu...

– Oczywiście, zróbmy tak. Zostajecie na noc.

– Czy tatuś cieszy się, że nas zobaczy? – zapytał Ray, kiedy się rozłączyła. Jego buźka była wymazana masłem orzechowym i śmietaną. Nie wiedziała, że podadzą naleśniki ze śmietaną.

– Bardzo – odpowiedziała Rose. – Bilety już na nas czekają w kasie.

Rose kazała zapakować swoją sałatkę i zapłaciła. Ruszyli w dalszą drogę. Jej serce było jak żołądek – puste i niezadowolone. Bilety czekały w kasie, tak jak powiedział Jed. Ale on nie wyszedł im naprzeciw.

Kiedy zajęli swoje miejsca, podszedł do nich Stan. Uścisnął ją i ucałował.

– Przykro mi z powodu śmierci twojego ojca – powiedział. – Wiem, że nie było ci łatwo bez Jeda przez kilka ostatnich tygodni, kiedy ciągle grał i był poza domem.

– Powiedział, że tak będzie do koncertu w Cincinnati. Dlatego tak bardzo czekaliśmy na ten wieczór.

Oczy Stana znieruchomiały. Zdawał się nie wiedzieć, o czym Rose mówi. Jakby było więcej zarezerwowanych terminów, o których nie miała pojęcia. Ale może to tylko przeszłość, ból i samotność sprawiały, że czuła się niepewnie.

– Jesteś bardzo dzielna – odezwał się po chwili Stan. – Miłego koncertu.

Nie obchodziło jej otwarcie koncertu przez Shelby, ale kiedy na scenę

wszedł Jed, jej serce zadrżało z radości. Zrozumiała, dlaczego tak lubił koncertować. Naprawdę daleko zaszedł od czasu festiwalu w winnicy. Publiczność szalała.

Ale w jego grze było coś nie tak. W jego oczach, w sposobie poruszania się, w głosie, który brzmiał pusto. Jed nie wyglądał na pełnego życia. Wyglądał na... odurzonego.

– Tam jest tatuś! – krzyknął Ray. Ludzie zaczęli napierać na scenę.

– Tak, to on – odparła Rose. Poczula dziwny smutek. Przypomniała sobie słowa Denise.

Słuchała, jak Jed śpiewa „Piosenkę”, i czuła się, jakby jakaś jej część umarła. Kiedy pierwszy raz usłyszała ten kawałek podczas ich miesiąca miodowego, raniem, po ślubie, były w nim czystość i świeżość. Teraz brzmiał dobrze, nikt nie fałszował – zespół grał bez zarzutu – ale Jed nie wkładał w utwór serca.

A może to jej serce przestało reagować?

czterdzieści

Jed zatrzymał się przy garderobie Shelby. Zamierzał wziąć coś, aby złagodzić swój niepokój. Czuł coraz większe napięcie. Miał jakieś tabletki w pokoju hotelowym, ale potrzebował czegoś już teraz.

Shelby pakowała swoje kosmetyki. Wydawała się tym zaabsorbowana.

– Gratulacje – odezwała się pierwsza.

– Z jakiego powodu?

– Udało ci się dzisiaj wydukać „Piosenkę”. – Nie patrzyła na niego. – Jestem pewna, że ona będzie wniebowzięta.

– Shel, rozmawialiśmy już o tym. Powiedziałaś, że dasz mi czas. Że rozumiesz, jakie to trudne.

– Powiedziałam to, co chciałeś usłyszeć. – Spojrzała na niego z bólem w oczach.

– Chcę usłyszeć prawdę.

– Dobrze. Prawda jest taka, że...

Ktoś przeszedł obok nich. Jed wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi.

– No śmiało, powiedz.

– Prawda jest taka, że nie potrafię zrozumieć, dlaczego nie chcesz być szczęśliwy. Dlaczego chcesz żyć jedną nogą w przymusie, a drugą w tym świecie. Naszym świecie.

– Chcę być szczęśliwy. I dokonam wyboru. Potrzebuję tylko trochę czasu...

– Czasu na co? Nadal mam naginać się do sytuacji? Grać drugie skrzypce?

Nie będę tego robić wiecznie, Jed.

– Nie proszę cię o to.

– W takim razie załatw to dzisiaj. Powiedz jej prawdę. Że to koniec. Że chcesz się uwolnić.

– Nie mogę tego zrobić dzisiaj.

Shelby wstała i ruszyła w jego kierunku. Myślał, że chce go spoliczkować, ale ona pocałowała go namiętnie.

– Czy przynajmniej to przemyślisz? – powiedziała i uniosła brwi.

Pokiwał głową, otworzył drzwi i wyszedł. Nie poprosił o tabletki. Nagle gdzieś z dołu schodów dobiegł głos Raya: – Tatusiu!

– Cześć, kolego! – powiedział Jed. Wziął syna na ręce. – Dobrze się bawiłeś?

– Uh-huh. – Ray odwrócił się i wskazał na Rose. – Spójrz na brzuszek mamy.

Jed spojrzał na nią. Zastanawiał się, co powiedzieć. Myślał nad tym gorączkowo, ale w końcu wydukał tylko: – Wow!

Podszedł do niej. Nadal trzymał Raya na rękach. – Wow! – powtórzył i pochylił się do niej. – Rzeczywiście, mama ma brzusek.

Objął Rose, a ona przytuliła się do niego z namiętnością, na którą nie był przygotowany. Odsunął się i zapytał: – Dlaczego mi nie powiedziałaś?

Uśmiechnęła się promiennie. – Chciałam ci to powiedzieć osobiście.

Ponownie ją objął, aby ukryć swoją minę i to, co poczuł w sercu. To była najgorsza możliwa wiadomość. Jeszcze trudniej mu będzie powiedzieć Rose prawdę o Shelby.

Ciemnym korytarzem szła grupka ludzi. Jed usłyszał cichy śmiech Shelby. Jego serce zamarło na chwilę. Shelby zobaczyła ich i stanęła jak wryta.

Rose odwróciła się do niej. – Cześć, Shelby.

Shelby odłączyła się od grupy i podeszła do nich.

Jed zamknął oczy. Chciał, aby jego głos brzmiał tak naturalnie, jak tylko było to możliwe. – Shelby, to jest Rose, moja żona.

– Miło cię poznać – powiedziała Shelby i wyciągnęła rękę.

– Zagraliście świetny koncert – odparła Rose. – Jesteś bardzo utalentowana.

Jed myślał tylko o tym, aby jak najszybciej zabrać z korytarza Raya i Rose. Odciągnąć ich od Shelby. Zanim stanie się coś strasznego.

– Dziękuję – odparła Shelby. Wpatrywała się jak zahipnotyzowana w brzusek Rose. A potem spojrzała na Jeda i posłała mu uśmiech, który mówił zbyt wiele.

– A to jest mój syn – dodał Jed.

Shelby rozpromieniła się i uniosła rękę, aby przybić piątkę z chłopcem. – Ray? Jesteś taki przystojny! – Wpatrywała się w niego w napięciu. – Tyle o was słyszałam! Mam wrażenie, że znam was od dawna. Jed, nie wiedziałam, że spodziewacie się drugiego dziecka.

– On też nie wiedział – roześmiała się Rose.

Zapanowała dziwna cisza. Jed poczuł, że jego serce znowu przyśpiesza, jakby miał nadejść kolejny atak. Nagle Ray zaczął mu ciążyć jak worek ziemniaków. Jed chciał uciec i schować się gdzieś. Gdziekolwiek.

Shelby powiedziała, że idzie na drinka z chłopakami, i wyszła. Zanim to jednak zrobiła, rzuciła Jedowi spojrzenie. – Widzimy się jutro?

Jed skinął głową, po czym odwrócił się do Rose. – Gotowi? Jedziemy.

Wnieśli Raya do apartamentu hotelowego. Mały był wykończony. Jed rozłożył sofę, a Rose ją pościeliła. Chłopiec zasnął, zanim zdążyli zgasić światło. Jed bardzo by chciał zasypiać w ten sposób. Przypomniawszy sobie, że może, jeśli weźmie wystarczająco dużo tabletek.

Rose objęła go i westchnęła, jakby miała jakieś plany na ten wieczór. – Tęsk-

niłam za tobą – wyszeptała.

– Ja też za tobą tęskniłem – odpowiedział do ściany. Chciał, by zabrzmiało to wiarygodnie.

Usiłowała spojrzeć mu w twarz, ale Jed się wywinął. Złapała go za prawą rękę. Mankiet jego koszuli podwinął się i odsłonił wytatuowany nadgarstek.

– Gdzie to zrobiłeś? – zapytała.

– W Amsterdamie.

– Po co?

– Nie wiem. Wtedy wydawało mi się, że to dobry pomysł.

Sprawiała wrażenie zawiedzionej, ale nie chciała psuć tej chwili. Pogładziła go po twarzy, pochyliła się i zaczęła rozpinąć jego koszulę. Nie czuł pożądania, ale winę i wstyd. Pomiędzy nimi było tyle niedopowiedzeń! Poczul się jak w pułapce, jakby tonął.

Oddychaj, myślał. Po prostu oddychaj.

Chwycił jej ręce. Gorączkowo myślał, co powinien zrobić i powiedzieć.

– Wszystko w porządku? – zapytała zdziwiona Rose.

Odepchnął ją i wyszeptał: – Tak. Daj mi tylko chwilę, OK?

Poszedł do łazienki. Jego serce waliło, jakby chciało wyskoczyć z piersi. Nie był w stanie spojrzeć Rose w oczy. Musiał uciekać. Odkręcił kran, otworzył przybornik do golenia i wyciągnął tabletki, które Shelby z taką łatwością dla niego zdobywała. Ale wcale się nie uspokoił. Usiadł na wannie i czekał, aż zaczną działać.

Po jakimś czasie jego oddech się wyrównał. Jed poczuł, że zaczyna odpływać. Wstyd i wina z powodu Shelby stopniały. Zapadł w słodki, błogi sen...

Obudził się obok toalety. Miał na sobie to samo ubranie co poprzedniego dnia. Śniło mu się, że Rose stoi przy drzwiach łazienki, puka i woła go. A może to nie był sen?

I nagle wszystko sobie przypomniał. Z trudem wstał i znów upadł. Otworzył drzwi. Zobaczył puste łóżko i sofę.

– Rose?! Ray?! – wołał. Otworzył drzwi i wyjrzał na korytarz. Nikogo tam nie było.

Po chwili na stoliku nocnym, przy telefonie, dostrzegł zapisaną odręcznie kartkę.

Kochany Jedzie!

Nie wiem, co jest nie tak, ale wiem, że coś się między nami dzieje. Myślałam, że się ucieszysz, że tę noc spędzimy razem. Zabieram Raya i jedziemy do domu.

Powiedziałeś mi, że zrobisz sobie przerwę po Cincinnati, co, jak przypuszczam, nie jest prawdą. I pewnie będziesz za to obwiniał Stana.

Nie mogę tak dłużej żyć. Zamierzam poszukać pomocy. Mam nadzieję, że ty również.

*Zawsze Twoja, kochająca, choć ze złamanym sercem
Rose*

Zamierza szukać pomocy? Co to miało znaczyć? Jeśli wiedziała o prochach i Shelby, dlaczego nic nie powiedziała?

Zadzwoił telefon. Nie chciał go odbierać. Ale może to była Rose? A może Shelby?

– Za dziesięć minut odjeżdża nasz autobus – usłyszał w słuchawce głos Stana. – Zamierzasz z nami jechać?

Jed zamknął oczy. – Tak, zaraz tam będę.

czterdzieści jeden

Pastor Bingham poprosił, żeby Melanie, jedna z doradczyń, spotkała się z Rose i z nim w jego gabinecie.

– Sądziś, że Jed popadł w jakieś uzależnienie? – zapytał Rose.

– Nie wiem, co myśleć – odpowiedziała Rose drżącym głosem. Zalewała się łzami.

Pastor wręczył jej pudełko z chusteczkami.

– Zrobił sobie tatuaż na nadgarstku. A on nie cierpi tatuaży. Mówił, że nigdy nie zrobi sobie żadnego.

Pastor Bingham odruchowo spojrział na swoje dłonie. Zamyślił się głęboko. Melanie pochyliła się do przodu. – Dlaczego czekałaś do wczoraj, żeby powiedzieć Jedowi o dziecku?

– Nie wiem. Myślałam, że może będzie bardziej się cieszył, jeśli powiem mu to podczas spotkania. Pokażę mu, że jestem w ciąży.

– A nie cieszył się?

– Wyglądał, jakby zaczął się dusić. Zrobił się blady. Wydawał się roztrzęsiony. Nawet jego głos był inny. A potem... Zwykle kłóciliśmy się o zbliżenia, wie pastor. Ale kiedy go objęłam... nie zareagował. Ja chcę tylko odzyskać mojego męża.

Pastor i Melanie obserwowali, jak Rose szlocha. Nie czuła skrępowania, kiedy okazywała swój ból.

Po kilku minutach pastor odezwał się: – Rose, być może z Jedem nie dzieje się nic złego. Ale sygnały, które opisujesz, niepokoją mnie. Przypuszczam, że Jed dokonuje złych wyborów.

– Wydaje mi się, że po koncertach jest dużo alkoholu. Kto wie, co jeszcze?

Pastor skrzywił się lekko. – Sądzę, że powinnaś przygotować się na najgorsze.

– Co pastor ma na myśli?

– Myślę, że Jed uwikłał się w jakieś używki. Lub relacje. Może to jest przyczyna jego zachowania.

– A może to tylko stres?

– Być może – włączyła się Melanie. – Ale ja zgadzam się z pastorem. Wygląda na to, że z Jedem dzieje się coś złego. A ty jesteś najlepszą osobą do tego, aby mu pomóc. Jeśli nasze przypuszczenia się potwierdzą, to ty najbardziej ucierpisz przez jego wybory.

– Rose, będziemy się za ciebie modlić. O mądrość. Roztropność. Kiedy prawda wyjdzie na jaw, będziesz miała odwagę działać, jeśli zajdzie taka potrzeba. Musisz skonfrontować się z nim z miłością, ale jednocześnie wyznaczyć swoje gra-

nice.

– Jakiego rodzaju granice?

– Jeśli jest uzależniony, jeżeli ma romans, masz prawo poprosić, żeby wybrał. Nie musisz żyć z kimś, kto nie jest ci wierny. Miłość nie oznacza godzenia się na wszystko.

– Rozwód?

– Nie mówię o rozwodzie. Powinnas dać Jedowi szansę na skruchę i przekonać się, czy ta skrucha jest prawdziwa. Nie możesz przejść przez to sama. Musisz otoczyć się ludźmi, którzy...

Rose nie słyszała reszty. Myślała o grzechach ojca Jeda i o tym, że być może teraz zaczną ją one prześladować.

Przecież Jed by jej nie zdradził. Zbyt mocno ją kochał. Nie związałby się z inną kobietą. Nie była nawet w stanie sobie tego wyobrazić...

I nagle przypomniała sobie spojrzenie, które Shelby rzuciła Jedowi, kiedy zobaczyła, że Rose jest w ciąży. Powiedziała to, co należało powiedzieć, ale jej wzrok mówił: *Jak mogłeś?!*

Złapali się za ręce. Pastor i Melanie modlili się za Rose, Jeda i Raya oraz za nienarodzone dziecko, które nosiła pod sercem Rose. Kiedy wsiadła do samochodu, aby wrócić do domu, poczuła, że drzwi jej serca się zamykają. I zaczęła się zastanawiać, czy dla ich rodziny jest jeszcze jakakolwiek nadzieja.

Shelby cieszyła się, że dotarli do Indianapolis. Chciała zostać z Jedem sama i porozmawiać z nim o tym, co się wydarzyło w Cincinnati. Ale on trzymał dystans. Było jasne, że chce być sam. Spędzała więc czas z Vivian i czekała jak na szpilkach. Może powiedział Rose prawdę? A może po prostu cierpi, ponieważ jego małżeństwo się skończyło? I może po koncercie znów wpadnie w jej ramiona? Postanowiła, że poczeka na jego pierwszy krok.

Przez cały utwór otwierający występ nie mogła się doczekać wejścia Jeda na scenę. Zagrała „I Like This Way” – melancholijną piosenkę, która była metaforą jej uczuć do niego. Dotarła do słów: *Pokażę ci miłość, w którą nie wierzysz*. Niemalże dławiała się nimi. Czasami Jed wchodził w tym momencie i śpiewał wraz z nią, ale tym razem się nie pojawił.

W końcu stanął za kulisami po lewej stronie, koło Stana. Był blady i mizerny. Nie sądziła, że prochy tak na niego podziałają. Jeśli jednak uwolnił się od Rose, była pewna, że pomoże mu wyzwolić się i z nich.

Publiczność zaczęła klaskać i Shelby się ukloniła. Kiedy Jed wszedł na scenę, spojrzała na Stana. Menedżer dał jej sygnał, żeby zaczęli grać „Piosenkę”. Wyszepiała: *nie*, ale Stan nie odpuścił.

Zawahała się przez chwilę. A jeśli Jed zaśpiewa ją bez entuzjazmu? W końcu jednak zaczęła grać solówkę skrzypcową. Zespół podchwycił melodię. Tłum wiwatował. Shelby grała całą sobą. Pragnęła wciągnąć w utwór Jeda, ale on wydawał się spięty. Powoli odpiął pasek od gitary i zszedł ze sceny. Chłopcy z zespołu rzucali jej niespokojne spojrzenia. Oczekiwali, że coś zrobi.

Shelby podążyła za Jedem. Zespół grał dalej. Z tłumu zaczęły dobiegać gwizdy. Zanim dotarła za kulisy i dopadła do niego, zaczęła płakać.

– Jed, błagam cię, nie rób mi tego. – Łkała teraz na dobre. Uderzyła go pięścią w pierś. – Wracajmy na scenę...

– Nie – odparł Jed i odepchnął ją. Wyczuła, że chodzi tu o coś więcej niż tylko o piosenkę. Nadal był pod urokiem Rose. Wypychał Shelby ze swego życia.

Spojrzała mu prosto w twarz i z całą stanowczością, na jaką dała radę się zdobyć, powiedziała: – Dobrze, zaśpiewam ją sama.

Ruszyła w kierunku sceny. Miała nadzieję, że Jed podąży za nią, jakoś ogra wpadkę i występ potoczy się już bez komplikacji. Nie było powodu, dla którego wszystko miałoby się rozpaść. I nie było powodu, dla którego nie mogliby spędzić reszty życia razem.

Tuż przed wejściem na scenę usłyszała, że Jed coś mówi. Potem pociągnął ją za rękę i szarpnął z powrotem za kulisy.

– Nigdy nie zaśpiewasz tej piosenki! – wycedził, zaciskając szczęki. Powtó-

rzył to i z całej siły nią potrząsnął.

Wyrwała się mu. Była przerażona. Nikt nigdy nie mówił do niej w taki sposób. Jako dziecko przyrzekła sobie, że jeśli jakiś mężczyzna zrobi jej krzywdę, tak jak to robił jej ojciec, zemści się na nim. Dlatego zignorowała tę demonstrację siły w wykonaniu Jeda i weszła na scenę. Dała znak muzykom, żeby grali dalej.

Czekałam na ciebie...

Tylko tyle zdążyła zaśpiewać. Jed wyrwał jej mikrofon. Odsunęła się, a wtedy chwycił jej skrzypce i jednym ruchem rozbił je o scenę. Publiczność zamarła. Ludzie zastanawiali się, czy to była zaplanowana część koncertu. Dopiero po chwili zdali sobie sprawę z tego, że nie. Emocje Jeda były prawdziwe. Shelby nigdy nie widziała go w takim stanie.

Rozrzucił kawałki skrzypiec po scenie. Chłopcy z zespołu rzucili się na ramię Shelby.

Tłum, który przed chwilą wiwatował, teraz krzyczał i gwizdał. Przypominało to pokaz wrestlingu.

Za kulisami rzeczy nie miały się lepiej. Jed rozbił krzesło w garderobie Shelby i wydał z siebie straszliwy okrzyk.

– Sądysz, że jesteś lepszy ode mnie?! – Shelby również krzyczała. – Sądysz, że *ona* jest lepsza ode mnie?! – Uderzyła Jeda i popchnęła go do tyłu.

– Co to ma znaczyć?! – krzyknął Stan, wchodząc do garderoby.

Shelby puściły hamulce. – Wszystko popsułeś! Wszystko popsułeś! – Rzuciła się na Jeda. Stan próbował interweniować.

– Puść go! – wydarł się, złapał ją za rękę i próbował odciągnąć.

– Puść mnie! – teraz ona wrzasnęła. Zaciśnęła zęby i uderzyła Stana pięścią w twarz. Rozległo się nieprzyjemne chrupnięcie. Stan przykucnął i zakrył dłonią nos.

– Przestań! – krzyknął Jed. Chwycił Shelby za ramiona i próbował ją obezwładnić.

– Nie! – zawodziła. – Wszystko jej powiem! Puść mnie! Wszystko jej powiem!

Oczy Jeda płonęły. Popchnął ją na jedną z kolumn w garderobie. Shelby uderzyła się w głowę. Mieszanka emocji, prochów i zmęczenia była zabójcza. Jed krzyczał Shelby prosto w twarz ze złością, o którą nigdy by go nie podejrzewała: – Grozisz mi?! Nie waż się mi grozić!

Nagle do środka wparowali członkowie zespołu. Płacząca Shelby opadła na podłogę. Muzycy odciągnęli Jeda.

Kiedy sytuacja nieco się uspokoiła, Shelby spojrzała na niego. Mieszanka mascary i łez spływała jej po policzkach, ale ona o to nie dbała. – Kocham cię – jęknęła.

Opadł na podłogę naprzeciw niej i wbił w nią wzrok. Wyobrażała sobie, że

nie to spodziewał się usłyszeć.

– Kocham cię – powtórzyła. I przyczołgała się do niego. Ludzie w pokoju spoglądali na nich w szoku.

Zadzwoniła komórka Stana. Menedżer odbył z kimś szybką rozmowę. Kiedy się rozłączył, odwrócił się do Shelby. – Posłuchaj, nie obchodzi mnie, co robisz. Nie obchodzi mnie, z kim to robisz. Ale kiedy przenosisz swoje problemy na scenę, wtedy stają się one również moimi problemami. I to bardzo drogimi problemami! Jeśli więc nie potrafisz sama ich stamtąd zabrać, ja to zrobię, Shelby. Jesteś skończona! Skończona!

Jego telefon znów zadzwonił. Stan wyszedł na korytarz.

Jed zakrył twarz rękoma.

Shelby próbowała się do niego zbliżyć. – Jed, proszę. Naprawimy to. Udam się, zobaczysz.

Wstał i spojrzał na jednego z muzyków. – Muszę się dostać do domu.

– Jed, *proszę*.

Zatrzymał się i spojrzał na nią. – Przepraszam za skrzypce. Kupię ci nowe.

– Nie chcę skrzypiec. Chcę ciebie...

Zanim zdążyła dokończyć, już go nie było.

Rose spała w swoim rodzinnym domu. Obudziły ją odgłosy samochodu na podjeździe i zamykania frontowych drzwi. Najpierw pomyślała, że to jakiś intruz. Podniosła telefon, aby wybrać numer policji, ale coś ją powstrzymało. Jej wzrok padł na książkę o małżeństwie leżącą na nocnym stoliku. Poprzedniego wieczoru czytała ją po raz drugi. Skupiała się na fragmentach poświęconych stawianiu granic w małżeństwie.

Spodziewała się ujrzeć Jeda, potarganego, gramolącego się do łóżka, ale on się nie pojawił. Po kilku minutach poszła na dół. Znalazła go na kanapie. Spał. Podniosła stary pled ojca i przykryła go. Nie poruszył się, a ona wróciła na górę.

Kiedy Jed wyruszył w europejską trasę, poczuła, że coraz bardziej ciągnie ją do winnicy. Po śmierci ojca postanowiła wprowadzić się tu z Rayem. Im dłużej Jeda nie było, tym większe pocieszenie dawały jej ten stary dom i wspomnienia.

Rano Ray wskoczył na Jeda, który zaśmiał się i połaskotał go. Miał czerwone oczy, jakby nie spał przez całą noc.

– Myślałam, że jedziecie na koncert do Nashville – odezwała się Rose.

– Tak, ale ja musiałem przyjechać tutaj.

Kiedy przygotowywała śniadanie, poszedł na górę. Znalazła go śpiącego w łóżku. Został w nim aż do popołudnia.

– Czy tata będzie jadł śniadanie, czy kolację? – zapytał ją Ray.

– Najważniejsze, że zjemy razem – odpowiedziała mu. – Tata może zjeść kolację i nazwać ją, jak tylko chce.

Usiedli wokół małego stołu w oranżerii. Było to jedno z ulubionych pomieszczeń jej mamy. Jed wydawał się być myślami gdzieś indziej. Miał zapadniętą, ziemistą twarz.

– Wygląda na to, że będzie padać – powiedziała Rose. – Winnicy bardzo tego potrzeba.

Zadzwoił telefon. Jed zerknął na ekran.

– Mogę się pobawić twoim telefonem? – zapytał Ray.

– Przy stole nie bawimy się telefonami, Ray. Wiesz o tym – rzuciła Rose.

Jed schował telefon do kieszeni, a ten natychmiast ponownie zadzwonił. A potem raz jeszcze.

– Chciałam zabrać Raya na twój koncert w Nashville. Myślisz, że to dobry pomysł? – zwróciła się do niego. Nie odpowiedział. – Jed?

Spojrzał na nią, jakby przerwała mu przeprowadzanie operacji chirurgicznej.

– Tak. Nie ma sprawy.

Był rozdrażniony i zniecierpliwiony. Nie zamierzała skakać wokół niego. Miała prawo zadawać pytania. – Dlaczego Shelby została wyłączona z trasy?

Odchyliła się na krześle. Wbił w nią wzrok. Dotąd nie tknął jedzenia i wyglądało na to, że nie tknie również tego pytania.

– Przeczytałam, że wyłączono ją z trasy koncertowej – ciągnęła niezrażona Rose.

– Uderzyła Stana pięścią w twarz.

– Dobrze jej tak – odparła. Obserwowała jego reakcję. Nie podobały mu się te wszystkie pytania. – Dlaczego to zrobiła?

– Nie wiem – wyraźnie się obruszył. – Posłuchaj, nie mam ochoty rozmawiać teraz o pracy.

Nagle to, co usłyszała, podejrzenia, jakie miała, wszystko, co powiedziała jej Denise, i to, co dodali pastor Bingham i Melanie, zapaliło w jej głowie czerwoną lampkę. Tego było już stanowczo za wiele. Jego zapadnięte policzki, czerwone, podkrążone oczy i sposób, w jaki zareagował, kiedy zapytała o Shelby... To wszystko mówiło jej, że chodzi o coś znacznie więcej niż wyładowanie przez Shelby złości po koncercie.

Rose zabrała swój talerz i miseczkę z zupą. Poszła do kuchni. Jed rzucił się za nią.

– Rose, co się stało? – zapytał.

Podeszła do kosza na śmieci. Żółć zaczęła w niej wzbierać. Pytania zalewały jej myśli jak powódź. Prowadziły do miejsca, w którym wcale nie chciała się znaleźć, ale nie miała na to żadnego wpływu. Zatrzasnęła z hukiem kosz.

– Nie chcesz mnie tutaj? – spytał Jed.

Odwróciła się do niego. – Przecież ciebie tu wcale nie ma. Musimy powtórzyć twoje imię przynajmniej z pięć razy, zanim zareagujesz. Coś tu jest nie tak.

– No dobra, jestem po prostu zmęczony – odpowiedział w swojej obronie. Patrzył na nią oczami niewinnego szczeniaka. Jakby wystarczyły jego przeprosiny i wszystko się naprawi.

Spojrzała mu prosto w twarz. – Dlaczego już nie śpiewasz mojej piosenki?

Odwrócił wzrok. Patrzył w dół, na podłogę. Wszędzie, tylko nie na nią.

Coś się w niej przełamało. Głęboko skrywane, niszczące emocje ruszyły do przodu. Walczyła, żeby wydusić z siebie jakieś słowa. W końcu postanowiła zmusić go, by odpowiedział na najważniejsze kołaczące się w jej głowie pytanie: – Czy ty mnie jeszcze kochasz?

– Oczywiście, że tak, Rose – zbył ją. – Dlaczego mnie o to pytasz?

Jakby była tą złą. Jakby to wszystko było jej winą. Nie. Coś tu było nie w porządku. I to od dłuższego czasu. Nie była szalona. I nie chodziło o to, że była w ciąży albo że miała za dużo obowiązków przy Rayu i Winnicy.

– Zaśpiewaj ją – zażądała. – Chcę, żebyś ją natychmiast zaśpiewał.

Nie ruszył się z miejsca. Stał, częściowo zasłonięty przez wiszącą szafkę. – Rose, ta piosenka jest dla mnie wyjątkowa, tak? Ma w moim sercu specjalne miej-

sce. Naprawdę mam już dość śpiewania jej na żądanie, jakbym był jakąś małpą w cyrku...

– Co to? – przerwała mu. Z oranżerii dochodził głos Raya. Chłopiec najwyraźniej z kimś rozmawiał.

Ruszyła biegiem z powrotem do oranżerii i zastała Raya przy stole razem z wytatuowaną kobietą.

– Shelby? – zapytała z niedowierzaniem. Jak tylko ją zobaczyła, poczuła, że jej żołądek wiązuje się w supeł, a instynkt macierzyński bierze górę. *Zabierz stąd Raya. Natychmiast.*

– Cześć, Jed – odezwała się Shelby. Jej wzrok omijał Rose.

Rose złapała Raya za rączkę i pociągnęła do siebie.

– Co ty tu robisz? – zapytał Jed.

Shelby żuła gumę. Jej twarz była pokryta grubą warstwą makijażu. Kobieta rozsiewała wokół zapach papierosów. Zdaniem Rose, wyglądała na wzgardzoną.

– Dlaczego nie odebrałeś telefonu ode mnie? – Shelby zwróciła się do Jeda.

Nagle wszystko stało się jasne. Rose zestawiała sobie w głowie wszystkie zdarzenia i miała pełny obraz sytuacji. Spojrzenia, jakie Shelby posyłała Jedowi. Jego obronna postawa. Ich dwoje za kulisami w Cincinnati. To, że nie chciał Rose zabrać do Amsterdamu. Tatuaż. Wszystko pasowało. I wszystko rozpadało się na kawałki właśnie tutaj, w miejscu, w którym powinni razem jeść, rozmawiać i połączyć się na nowo.

– Właśnie jem kolację z moją rodziną – odpowiedział Jed. – Czego chcesz?

– No dobra. – Shelby wstała. Zataczała się lekko. – Czy mógłbyś porozmawiać ze Stanem, żeby mnie przyjął z powrotem?

– Shelby, nie możesz przychodzić do mojego domu...

– Co takiego?! – przerwała mu. – Skończyłeś ze mną? I to wszystko? – Patrzyła na Jeda bez odrobiny wstydu. To było jak groźba, jak żądanie. Wypiła łyk wina z kieliszka Jeda.

Rose poprosiła Raya, żeby poszedł do swojego pokoju i tam zaczekał. Chłopiec posłuchał.

– Z mojego powodu? – Shelby zwróciła się do Rose. A potem roześmiała się i oparła o stół. Był to śmiech kogoś, kto za dużo wypił albo wypalił, albo wziął zbyt wiele prochów. – Kochana, to on jest ćpunem. To właśnie on zażył wszystkie moje...

– Wyjdź stąd – powiedziała Rose spokojnie, ale dobitnie. Patrzyła jej prosto w oczy.

Shelby zaśmiała się raz jeszcze i błyskawicznym ruchem wyjęła zapalniczkę. – Kolacja rodzinna. Jak słodko! – Pozwoliła drzwiom zatrzasnąć się i potykając się, ruszyła schodami w dół.

Rose wbiła wzrok w stół. Jej postanowienie było mocne. Teraz, kiedy już

wiedziała, kiedy jej najgorsze obawy się potwierdziły, nie było odwrotu. Musiała postawić granicę.

– Ty też – rzuciła stanowczo, a jej serce rozbiło się na miliony małych kawałków. – Wyjdź stąd.

– Rose? – powiedział błagalnym głosem.

– Wyjdź stąd! – krzyknęła.

Zatrzymał się i spojrzał na nią, a potem podszedł do drzwi i podążył za Shelby do samochodu.

Rose ruszyła do domu, żeby sprawdzić, co z Rayem.

– Gdzie idzie tatuś? – spytał synek.

– Nie wiem, kochanie.

– Dlaczego na niego krzyczałaś?

Spojrzała mu głęboko w oczy. – Czasami mamy muszą się postawić i załatwić trudne sprawy. Czasem muszą powiedzieć parę rzeczy tak głośno, żeby inni mogli je usłyszeć.

Trudno jej było znieść spojrzenie jego smutnych oczu. Objęła go i zerknęła przez okno. Jed, siedzący na przednim siedzeniu samochodu Shelby, właśnie połykał jakieś tabletki. Rose wiedziała, że będzie jej potrzebna pomoc.

– Możesz na chwilę zostać tutaj sam? – zapytała Raya.

Pokiwał główką, a ona pobiegła w kierunku drzwi.

czterdzieści cztery

Jed nie mógł uwierzyć w to, że Shelby pojawiła się u niego w domu. A już z pewnością nie docierało do niego, że Rose go wyrzuciła. Przegonił Shelby z siedzenia kierowcy i zajął jej fotel. Siedzenie znajdowało się zdecydowanie za blisko kierownicy, ale nie dbał o to. Potrzebował czegoś na ból. Przyśpieszone bicie serca, płytki oddech – wszystko wróciło. Znalazł buteleczkę z tabletkami i połknął ich kilka. Potem wycofał samochód i chciał skręcić, ale uderzył w coś na podjeździe. Wysiadł i zobaczył dużą ciężarówkę Raya, którą chłopiec dostał od dziadka, rozbitą tak, że nie dało się jej już naprawić. Zamknął drzwi samochodu i pobiegł do domu.

Ray grał w jedną ze swoich gier. – Ray, gdzie jest mama?

Chłopiec wskazał na kuchenne drzwi.

Jed ruszył w ich kierunku. Za plecami usłyszał głos synka: – Tatusiu, odchodzisz od nas?

Odwrócił się i spojrzał na Raya. Przez ułamek sekundy pomyślał o własnym ojcu i rodzinie, którą ten zostawił. Nie wiedział, co powiedzieć. Uśmiechnął się tylko i podszedł do drzwi.

Wspiął się na pagórek nad stawem i ruszył w kierunku pomnika na cześć swojej nieumiejętności kończenia spraw – kaplicy. Budowlę przykrywał dach. Jedna ze ścian była obłożona płytą i miała wstawione okna.

Wszedł do środka, tam, gdzie przyrzekali sobie miłość, szacunek, szczęście, opiekę i co tam jeszcze. Ból porażki płynął z siłą wody w pękniętej tamie. Dobrze, że tabletki zaczynały działać.

Rose leżała na podłodze, z głową opartą na rękach. Nie ruszała się, mówiła do siebie. A może się modliła?

– Rose! – zawołał, podchodząc do niej. – Rose?

Podniosła się, trzymając rękami brzuch. Poczul, że zalewa go fala winy. Nie chciał, aby przechodziła przez coś takiego. Tak się po prostu stało. To nie była niczyja wina. Właśnie to chciał powiedzieć, w to chciał wierzyć.

Wyciągnął rękę w jej stronę, a ona, szybka niczym kotka, odwróciła się i uderzyła go mocno w twarz.

– Byłeś z nią! – krzyknęła. Ból sączył się każdym porcem jej ciała. – Podczas gdy ja nosiłam twoje dziecko!

– Myślisz, że tego chciałem?! – krzyknął równie głośno jak ona.

– Tak! Tak, bo to zrobiłeś!

– Pragnąłem ciebie! Ale ty kazałaś mi o siebie prosić. Tam dziewczyny błagają mnie, a ja musiałem błagać własną żonę!

– Tylko nie zwalaj winy na mnie, Jed. Ty to zrobiłeś! Nie zwalaj winy na mnie!

– Zrobiłem to – jego głos stał się spokojniejszy. Jed patrzył na nią i chciał ją zranić. – I cieszę się, że to zrobiłem. Cieszę się, że nie musiałem przy tym wykonywać piętnastu tysięcy akrobatycznych figur czy wybudować kaplicy, Rose. – Czuł się teraz pewny siebie. Słowa przychodziły mu z łatwością. Widział, jak bardzo ją ranią. W pewien sposób sprawiało mu to satysfakcję. – Ona mnie pragnie – dodał zaczepnie. – Mnie!

– Ponieważ cię nie zna, Jed – odparła Rose i wybuchnęła płaczem.

– Zna mnie!

– Nie, nie zna cię!

– Zna! – krzyknął i tupnął nogą.

– Nie, tylko ci się tak wydaje. *Jej* się tak wydaje. Myśli, że jest dla ciebie ważna. Ja też tak kiedyś myślałam.

– Tak, Rose. Myślałaś, że możesz traktować mnie, jak tylko chcesz i nie zapłacić za to żadnej ceny? Nie pamiętasz, jak to było?

– Jak śmiałam?! Jak śmiałam prosić, żebyś traktował mnie jak istotę ludzką, zanim dałam sobie z tym spokój? Naprawdę, straszne okrucieństwo!

– Ciągle mi powtarzałaś, że mnie nie chcesz.

– Nigdy tego nie powiedziałam.

– Powiedziałaś! – Jed zacisnął dłoń i zamachnął się w powietrzu. – A teraz, gdy jest ktoś, kto mnie naprawdę pragnie, chcesz odgrywać rolę żony. Trochę za późno.

– Tobie nie była potrzebna żona. Tobie była potrzebna dziwka. Ktoś, kto nie zadawałby żadnych pytań. To prawda, Jed. Jestem tego pewna po tym, co się dzisiaj wydarzyło w naszym domu.

– Nawet jej nie znasz!

Spojrzała na niego z niedowierzaniem. – No dobra. Ona jest taką żoną, jaką zawsze chciałeś mieć? Ona będzie wychowywać twoje dzieci? – Jej oczy próbowały dotknąć jego duszy. – Zestarzeje się z tobą? – Wzięła głęboki oddech, a jej ból zamienił się we wściekłość. – Nawet wtedy, kiedy już wyblakną i sflaczeją te jej tatuaże, ta oszustka zawsze będzie w nastroju, prawda? Jesteś głupcem, Jed. Jesteś strasznym głupcem!

– Masz rację! – krzyknął. – Jestem głupcem, a ty zawsze masz rację!

Chwycił deskę i rozbił nią okno. Szkło rozsypało się na podłodze. Znów się zamachnął, a potem jeszcze raz. Roztrzaskał okiennicę z całą gwałtownością, która była uwięziona w jego sercu.

Potem podszedł do Rose. Nadal trzymał deskę. Jego serce waliło jak oszalałe. Był gotów wymierzyć ostatni cios słowami. – Jestem głupcem, bo się z tobą ożeniłem. Ale koniec z tym.

Rzucił deskę w kąt i wyszedł. Zbiegł ze wzgórza. W samochodzie siedziała Shelby. Zemdlała. Jed spojrzał na frontowe okno domu. Zobaczył Raya wpatrują-

cego się w rozwaloną ciężarówkę. Chciał mu powiedzieć, że kupi mu nową. I że zawsze może na niego liczyć. Ale skończył już z obietnicami.

Wsiadł do samochodu i odjechał.

czterdzieści pięć

Shelby obudziła się, a jej wzrok padł na puste butelki po burbonie i śmieci porozrzucane w jej domu w Nashville.

Dobrze było mieć Jeda z powrotem. Zadbała o to, żeby mieli wystarczająco dużo towaru i ani na chwilę nie przerywali imprezy. Niekończące się zapasy alkoholu, kokainy, środków pobudzających i uspokajających. Niekończące się dostawy chińszczyzny. Przystopowali na chwilę przed koncertem, który mieli zagrać w Nashville. Występ wypadł kiepsko. Jed był wściekły. Kiedy publiczność zaczęła skandować: *Pio-sen-ka*, rzucił swoim bandžo w tłum i krzyknął, żeby sami sobie ją zaśpiewali.

Stan nie był zadowolony z takiego obrotu spraw, ale Shelby zupełnie się tym nie przejęła. Dostała to, co chciała. Byli razem. I będą razem już zawsze. Cały ten ból i imprezowanie przerodzą się kiedyś w świetne piosenki. I pewnego dnia rozdział z Rose w roli głównej będzie już tylko wspomnieniem.

Spojrzała za okno, ale nie potrafiła powiedzieć, czy to dzień, czy noc. Jeda nie było na kanapie, a ona musiała szybko skorzystać z łazienki. Potykając się, ruszyła przez pokój. I wtedy zobaczyła nogi Jeda obok wanny. Siedział tuż przy prysznicu i drapał paznokciami swój tatuaż na nadgarstku.

Przyklękła obok niego. – Jed, przestań! Przestań, przestań! Co ty wyprawiasz?!

– Nie chcę go! – wybełkotał. Zatapiał paznokcie głęboko w skórze. Czowała, że robi jej się niedobrze.

– Przestań! – krzyczała w kółko, ale jej nie słuchał. Drapał, aż zaczęła płynąć krew.

Kiedy owijała ręcznik wokół jego nadgarstka, zobaczyła pustą buteleczkę po tabletkach.

– Wyrzuciłeś je do toalety? – zapytała. Miała nadzieję, że odpowie twierdząco.

Jed zamknął oczy. Jego usta były nieruchome i odrobinę niebieskie.

– Och, nie! Nie, nie, nie! Coś ty zrobił?! Błagam cię, Jed!

Zacząła płakać. Próbowwała go podnieść, ale był za ciężki. – Jed! Słyszysz mnie?! Nie zasypiaj! – Uderzyła go w twarz. – Jed? Odezwij się do mnie!

Usiłowała zarzucić go sobie na plecy i poruszyć, ale udało jej się jedynie położyć go pod prysznicem. Stała nad nim i zastanawiała się, co zrobić. Czytała o słynnych piosenkarzach i gwiazdach filmowych, które przedawkowały. Oczyma wyobraźni już widziała nagłówki gazet: *Jed King umiera w ramionach swojej zakazanej miłości*.

– Jed! Jed! Powiedz coś!

Na moment otworzył oczy i usta. – Rose – wyszeptał.

Shelby wyciągnęła rękę i odkręciła zimną wodę. Skierowała jej strumień prosto na niego.

Potem, również mokra, wróciła do pokoju, odszukała telefon i wybrała numer pogotowia. Pobiegła do łazienki, żeby sprawdzić, czy Jed oddycha. Kiedy pojawili się ratownicy medyczni, poczuła się lepiej, ponieważ oni wiedzieli, co robić. Chciała pomóc, próbowała pokazać im opakowanie po tabletkach, jakie zażył, ale oni ją odepchnęli.

A potem przyjechała policja i zaczęły się pytania. Shelby nie wiedziała, co im powiedzieć, ale w końcu to i tak nie miało znaczenia, bo skuto ją kajdankami i zaprowadzono do wozu policyjnego. Zdążyła jeszcze zobaczyć, że Jeda wnoszą do karetki.

– Co mu jest?! Wyjdzie z tego?! – krzyknęła do policjanta. – Czy wyjdzie z tego?! Błagam, powiedzcie mi!

Jed nie wiedział dokładnie, co się z nim działo, jakie miał sny i halucynacje. Kiedy on i Shelby byli na haju, oglądali razem jakiś program w telewizji o dzikich zwierzętach. Lew rzucił się na bezbronną antylopę. Teraz Jed czuł się dokładnie tak jak ofiara przebiegłego zwierzęcia. Dobrowolnie wkroczył na terytorium lwa.

Potem uciekał w winnicy przed czymś dużym i brzydkim. Przed czymś, co nie chciało odpuścić, dopóki on się nie zatrzyma.

Biegł do kaplicy, w kierunku otwartych drzwi. I wtedy to coś na niego wskoczyło i powaliło go na podłogę. Przyszło mu do głowy, że zaraz poczuje kły tego zwierzęcia na swojej szyi. Odwrócił się i zobaczył... swojego ojca. David miał na głowie starą bandankę. Był ubrany w kostium z koncertu. Jed pamiętał takie szczegóły sprzed wielu lat.

– Jed, przestań uciekać! – krzyknął ojciec.

Patrzył na syna ze współczuciem, jakby wiedział, przez co Jed przechodzi. – To nie ode mnie uciekasz.

Jed otworzył oczy, po czym spróbował je zamknąć, aby znów zobaczyć swojego ojca. Po chwili zorientował się, że jest w szpitalu. Ktoś przy nim siedział. Kobieta. Jej głowa spoczywała na łóżku, przy jego zabandażowanym nadgarstku. Blond włosy. To była Rose. Trzymała go za rękę. Poruszył się, sądząc, że to sen, być może kolejne halucynacje. Ale kiedy chciał wyjąć rękę z jej dłoni, i ona się poruszyła. Spojrzała na niego wzrokiem, w którym było widać mieszaninę ulgi i miłości.

Jed nie mógł wytrzymać jej spojrzenia. Jego podbródek zadrżał.

– A gdybyś umarł? – zapytała cicho Rose.

– Byłoby ci lepiej – odparł. – Miałabyś wszystko.

– Jed, co mieliśmy, kiedy się pobieraliśmy? Ja miałam wszystko, czego mi było trzeba. Ale ty nie miałeś. Nadal nie masz. Popełniłam błędy. Z nami. Są rzeczy, które chciałabym, żeby... Chciałabym to zmienić. Ale ja nie mam tego, czego ty szukasz. Nikt tego nie ma.

Słyszał jej głos, ale słyszał również maszynę kontrolującą pracę jego serca. Poczul, że skóra zaczyna go swędzić. Musiał się napić. Musiał coś wziąć. Musiał się stąd wydostać. Żałował, że nie umarł. Pragnął tylko zasnąć i nigdy się nie obudzić.

– Kiedy tata umarł – ciągnęła Rose – zdałam sobie sprawę z tego, że kiedyś wszyscy umrzemy. W końcu. Mam tylko nadzieję, że jest coś więcej poza tym światem.

– A co, jeśli to nadzieja głupiego? – zapytał.

– I tak będę się jej trzymać. Jeśli mam wychować syna i córkę sama, muszę

wierzyć, że to ma jakiś sens.

Coś się w nim poruszyło. Jakby ktoś przekręcił włącznik reflektora. – Dziewczynka? – zapytał cicho.

W jej oczach pojawiły się łzy. – Dowiedziałam się, że będę miała dziewczynkę.

– Chcesz je wychowywać sama?

– To nie był mój plan, Jed. Chcę mężczyzny, który wierzy w coś większego niż to. W coś większego niż on sam.

Wpatrywał się w sufit. Próbował powiedzieć coś właściwego. Cokolwiek.

– Ale to już nie ty – dodała. – Ten mężczyzna umarł dawno temu.

Spojrzał na nią. W jej oczach dostrzegł miłość pomieszaną z bólem, spowodowanym tym, przez co kazał jej przejść. Czuł smutek i wstyd. Nie był w stanie wydusić z siebie ani słowa. On, który przez całe wieczory wyśpiewywał piosenki, śpiewał jej piosenkę, nie był w stanie nic powiedzieć.

– Do widzenia, Jed – wyszeptała Rose.

Kiedy wyszła, Jed zobaczył na szpitalnej tacce jej pierścionki. Ślubną obrączkę i pierścionek zaręczynowy. Zagarnął je w dłoń i zapłakał nad tym, co zrobił.

Następnego dnia usłyszał pukanie do drzwi. Weszła jego mama. Podniósł się na łóżku. Nadal trzymał w zaciśniętej dłoni pierścionki Rose. Mama ucałowała go i objęła. Z jej oczu popłynęły łzy.

– Synu, tyle czasu minęło! Dzwoniłam do ciebie.

– Przepraszam, mamó. Życie trochę się skomplikowało.

– Stare demony – powiedziała i dotknęła jego zabandażowanej ręki. – Wpadłam do Rose, żeby się zobaczyć z nią i Rayem.

– Jak ona się czuje?

– Zdradzona. Ma złamane serce. Strasznie skrzywdziłeś tę dziewczynę.

– Wiem.

Matka postarzała się od momentu, kiedy widział ją po raz ostatni. Miała zmarszczki i podkrążone oczy.

– Sądzisz, że mogłaby...?

Położyła dłoń na jego piersi. – Teraz powinieneś myśleć tylko o jednej rzeczy. Musisz wyjść z nałogu. Nic z tego nie wyjdzie, jeśli nadal będziesz brał.

– Wiem.

– W takim razie co zamierzasz zrobić?

– Jeszcze nie wiem.

Zaczęła szukać czegoś w torebce. Po chwili podała mu broszurę. – Przyszłam tutaj prosto z tego miejsca. Powiedzieli, że będą chronić twoją prywatność. Nie jest tanio. Leczenie będzie trwało sześć tygodni.

Patrzył na zdjęcie budynku z czerwonej cegły.
– Twój tata też tam był przez chwilę. Naprawdę mu to pomogło.
– Grzechy ojca przeszły na syna.
– Nie mów tak – powiedziała. – Masz wybór. Twój tata odmienił swoje życie z Bożą pomocą. Ty też możesz tego doświadczyć.
– Nigdy nie będę w stanie wymazać krzywd, które wyrządziłem.
Poklepała jego ramię. – Powoli, krok po kroku, Jed. Nie wszystko od razu, OK?

Do Centrum Leczenia im. Jeffersona w Louisville zabrał gitarę i rzeczy, które spakował do Nashville. Kiedy wysiadł z limuzyny, poddał się poniżającej rewizji. Program detoksykacji obejmował trzy porządne posiłki dziennie oraz tyle sesji terapii, ile tylko pacjent był w stanie wytrzymać. I jeszcze trochę. Ponadto pigułki wkładane prosto do ręki, kaptcie i ładny szary uniform, który do wszystkiego pasował.

W pierwszym tygodniu nie było żadnych odwiedzin. Jedowi doradzono również, żeby powstrzymał się od telefonów. Na początku drugiego tygodnia, kiedy drżenie ustąpiło i już nie miał ochoty rzucać się w krzaki i szukać czegoś do picia, postanowił zadzwonić do Rose.

Ale co miał jej powiedzieć? *Cześć, Rose, jak leci? Nadal mnie nienawidzisz?*

Siedział w świetlicy i czytał jakieś czasopismo muzyczne. Nagle natknął się na zdjęcie Shelby. Opatrzono je podpisem: *Wyrok w zawieszeniu dla Shelby Bale. Zgadza się na odwyk.*

Do sali wszedł pastor Bingham. Jed odłożył czasopismo. Pastor uśmiechnął się do niego, uścisnął mu rękę i usiadł naprzeciwko.

– Zamierza pastor wygłosić mi kazanie? – odezwał się Jed. – Mówić mi, jakim jestem strasznym grzesznikiem?

Pastor potrząsnął głową. – Nie. Nie potrzebujesz tego. Już wystarczająco dużo przeszedłeś i nie potrzeba ci kolejnych ciosów.

– Zrujnowałem sobie życie, pastorze. Zawaliłem na całej linii.

Pastor Bingham pokiwał głową.

– Czy jest nadzieja dla kogoś takiego jak ja?

– To zależy, jak definiujesz słowo *nadzieja*.

– Czy jest nadzieja, żebym odzyskał żonę?

– Właśnie tego chcesz?

– To jedna z rzeczy na mojej liście.

– Wygląda na to, że to dobra lista – skomentował pastor. – Ale powstrzymam się od osądów. Rozmawiałem z Rose. Od kilku tygodni przychodzi do kościoła na spotkania ze mną i z terapeutką.

Jego serce przyśpieszyło. – Czy to ona pastora przysłała?

– Nie. Powiedziała mi, że tu jesteś, ale nie prosiła, bym cię odwiedził. Tutaj chodzi o ciebie, a nie o twoje małżeństwo.

– Nie obchodzi pastora nasze małżeństwo?

– Obchodzi mnie, co się dzieje w twoim sercu. Obchodzi mnie to, jakim mężczyzną chciałeś być, a kim tak naprawdę się stałeś. Chcę przez to przejść razem z tobą. Ale nie wiem, co odnajdziesz po drugiej stronie.

– Jakoś mi to nie brzmi jak nadzieja.

– Bóg daje nam nadzieję, kiedy się poddajemy. Gdy zdajemy się na Niego. Wtedy może wziąć nasze grzechy, trudy, ból, który w sobie nosimy, i uleczyć nasze serca. Twoje serce.

– Nie sądzę, pastorze, żebym był już na to gotów.

– Rozumiem. Jestem przygotowany na długą podróż, bez względu na to, co się stanie pomiędzy tobą a Rose.

Po wyjściu pastora Jed usiadł w ustronnym miejscu z gitarą. Zaczął myśleć o Rose. W chwili słabości wybrał jej numer i wysłuchał kilku sygnałów w aparacie. Już miał się rozłączyć, kiedy usłyszał głos Raya.

– Hej, kolego! Co porabiasz?

– Pracuję. Winogrona za chwilę dojrzeją.

– Pewnie pracujesz z mamą, co? Czy ona tam jest? Mogę z nią porozmawiać?

– Jest zajęta w tej chwili – odparł Ray.

Zabrzmiało to tak, jakby ktoś podpowiedział chłopcu, co ma mu powtórzyć.

– No dobrze. Chciałem tylko sprawdzić, jak sobie radzicie.

– Chcesz wrócić do domu? Przyjedziesz na festiwal?

– A kiedy jest? – zapytał Jed.

Ray odłożył słuchawkę i powiedział coś, czego Jed nie mógł zrozumieć. Po czym wrócił do rozmowy. – 12 października – poinformował go.

Kilka dni po ich rocznicy. Wtedy się poznali. – Dobra. Możesz na mnie liczyć. – Emocje wzięły górę. Tak bardzo chciał porozmawiać z Rose, że to aż bolało. Ale nie mógł naciskać. Lepsza była cierpliwość. Mały chłopiec tupie nogą, by dostać to, czego chce. Mężczyzna musi poczekać. Musi pokazać tym, których kocha, że może czekać.

– Hej, posłuchaj, nie będę wam przeszkadzał w pracy. Kocham cię.

– Ja też cię kocham – odpowiedział Ray.

Choć Jed wcale tego nie chciał, terapia trwała dalej. Kiedy drgawki ustąpiły, w końcu był w stanie usłyszeć, co do niego mówiono. Mógł odpowiadać całymi zdaniem, a nie tylko gapić się na rozmówcę. Bycie w ośrodku oznaczało pokorę i

wrażliwość. Jed był zwyczajnym człowiekiem, który walczył z uzależnieniem. Który o mały włos nie umarł z przedawkowania.

Pozwolili mu palić papierosa lub dwa na zewnątrz. To go uspokajało. Z tak wielu rzeczy zrezygnował! Nikotyna również nie była dla niego dobra. Z nią też skończy. Będzie musiał.

Terapeuci byli zadowoleni, że Jed ma gitarę i prowadzi dziennik. Prosil go, żeby zapisywał w nim swoje pomysły, przemyślenia, uczucia. Przelewał więc siebie na kartki papieru. Oczywiście, zadawał więcej pytań, niż znajdował odpowiedzi. Dlaczego dokonał tak wielu złych wyborów? Czy Bóg ukarał go za to, co zrobił? Czy jest w tym sprawiedliwy? Czy Rose przyjmie go z powrotem? I co zrobić z Shelby?

Wiedział, że to ona sprowadziła go na złą drogę. Jej demony i problemy przelały się do jego życia. Co takiego przyciągnęło go do Shelby? Czy tylko jej seksualność, oczy, włosy – cała zewnętrzność? Czy było coś jeszcze? Sprowadziła go na złą drogę, ale on podążył ochoczo jak owca na rzeź.

Winił Rose. Obciążał ją odpowiedzialnością za swoją niewierność, ale wiedział, że to nie było w porządku. Tak, mogła być bardziej otwarta w stosunku do niego, ale i tak w końcu to on dokonał wyboru, czy pójść, czy nie za inną kobietą.

Kiedyś późno w nocy, po wieczorze wypełnionym pićm i imprezowaniem, Shelby opowiedziała mu o swoim życiu, o tym, co się wydarzyło, kiedy była młodzieńką dziewczyną. Jak mężczyźni wykorzystywali ją, a ona dzięki temu czuła się wyjątkowa. Muzyka była tylko przedłużeniem tego – klaszczący i wiwatujący ludzie dawali Shelby to, czego potrzebowała. Ale zawsze była ciekawa, jak to jest być z mężczyzną, który ceni kobietę, chroni ją i naprawdę kocha. Tym mężczyzną miał być Jed. Rzeczywiście, w pewnym momencie był gotowy opuścić Rose i pójść za Shelby.

Czy dlatego przedawkował? Czy to, że wylądował w szpitalu, było ratunkiem od Boga?

Jed przelewał słowa na papier. Coraz wyraźniej widział, że stracił niemalże wszystko. Łapał się czegoś, czego nigdy nie mógł mieć. Gonił wiatr.

Zapisał te słowa.

Po co wszystko mieć?

Odchodząc stąd, cokolwiek chcesz?

Zabierając wszystko, nie ruszysz do przodu, w świat.

I choć byłeś jak mądrości kwiat,

Pod przebraniem skryłeś prawdziwą twarz.

Kłamiąc i udając, goniłeś tylko wiatr.

Pewnego popołudnia pracował nad refrenem piosenki. Palił przy tym jedne-

go ze swoich ostatnich papierosów. Nagle usłyszał za plecami znajomy głos: – Nowa piosenka?

Odwrócił się i zobaczył Stana Russela w koszuli z rozpiętym kołnierzykiem i płaszczu.

– Cześć! – przywitał się Stan. – Co u ciebie słyhać, bracie? – Usiadł na ławce obok Jeda. – Bardzo tu ładnie. Piękne miejsce. Mówię poważnie.

– Czego chcesz?

– Może po prostu chciałem się z tobą zobaczyć? Sprawdzić, jak ci idzie?

– A chciałeś?

Stan spojrział na niego z uznaniem i kiwnął głową. – No dobra. Chcę ci coś pokazać. – Wyciągnął tablet. – Tylko spójrz na to.

Puścił mu nagranie ich występu w Indianapolis. Niewyraźny obraz Jeda, który chwyta skrzypce Shelby i roztrzaskuje je o podłogę.

Jed odwrócił się od niego. Czuł, że narasta w nim wstyd.

– Dlaczego mi to pokazujesz, Stan?

– Tu nie chodzi o film. Nie patrz na film. Zobacz, ile osób go obejrzało.

– Kompletnie mnie to nie obchodzi.

Stan chrząknął znacząco. – W tym coś jest. Może uda nam się na tym coś zbudować. – Pochylił się do przodu i spojrział Jedowi prosto w oczy. Zmarszczył brwi. Na jego twarzy malowała się szczerłość. No, może i odrobina kalkulacji. – To jest historia odkupienia.

– To nie jest odkupienie. To jest eksploatacja.

– Tylko posłuchaj – mówił dalej Stan. – Rozdanie Nagród Amerykańskiej Muzyki Korzeni. Ty i Shelby, jeśli uda wam się na chwilę odstawić prochy. Niech świat zobaczy wasze zdrowe, wyleczone i szczęśliwe twarze w telewizji. Artystów gotowych na powrót.

Jed rozglądał się po nienagannie utrzymanym terenie ośrodka. Każde źdźbło trawy przycięte. Zadbany i zagospodarowany każdy detal, zupełnie jak jego życie. Ale w tym, co zostało z jego życia, nie było czego pielęgnować. Wiedział, że nie musi znów obierać tej drogi. Stan miał jednak rację. Da się z tego zrobić coś dobrego. Może będzie to początek czegoś zdrowego.

– Kiedy?

– 12 października.

Jed uśmiechnął się do niego. – Nie da rady. Mam swoje plany.

Stan westchnął, jakby słyszał to już tysiąc razy. – Możesz to zrobić.

– Obiecałem Rayowi.

– Rayowi? Jakiemu Rayowi? – zapytał Stan. Po chwili zdał sobie sprawę z popełnionego faux pas. – Oczywiście, Ray to twój syn. No przecież wiesz, że go uwielbiam. I wiesz co? Pewnego dnia Ray będzie chciał iść na studia. I pewnie będzie chciał, żeby jego tata był gwiazdą rocka.

Stan zawsze potrafił przekonać Jeda do swoich racji. Śmiało sięgał po to, co chciał zdobyć, i konsekwentnie realizował swoje wizje. A tym razem jego wizja dotyczyła Jeda i Shelby.

Ściszył głos i nachylił się nad Jedem, który mógł teraz wyraźnie zobaczyć jego rozszerzone źrenice. – Chyba rozumiesz, że to jest twoja druga szansa? Szansa, żeby zostawić wszystko w tyle. Odwyk. Rose. Ojca. – Pozwolił wybrzmieć tym słowom. Jed pomyślał, jak dobrze byłoby pozbyć się duchów przeszłości. Jednym ruchem odrzucić wszystkie swoje błędy, cały ten śmietnik.

– Wchodzisz w to?

Jed starał się oczyścić swój umysł, tak jakby przewracał kolejną kartkę w dzienniku. Może byłaby to dobra okazja, aby oczyścić atmosferę. Szansa na zobaczenie się z Shelby i przeproszenie jej.

– Obiecałem Rayowi, że pojawię się na festiwalu plonów.

Stan roześmiał się głośno. – Na festiwalu plonów?! Odrzucisz okazję zagra-
nia przed kilkoma milionami ludzi, żeby zagrać na festiwalu plonów?!

– Nie zamierzam tam grać. Chcę spędzić czas z synem i żoną.

– Człowieku, musisz zacząć nowe życie. Myślisz, że ona przyjmie cię z powrotem po tym, co jej zrobiłeś?

– Tego nie wiem. Ale nawet jeśli nie, chcę tam być dla mojego syna.

– Uroczystość rozdania nagród rozpoczyna się dość wcześnie ze względu na fanów ze wschodniej strefy czasowej. Ty i Shelby macie występ na samym początku. Dwie piosenki i możesz ruszyć w drogę. Dotrzesz do winnicy, zanim zapadnie noc.

– Chcę zaśpiewać nową piosenkę.

– Super. Tę, nad którą pracowałeś, kiedy przyszedłem?

– Tak. Ma tytuł „Goniąc wiatr”.

– Świetnie. Zrób mi z tego materiał na CD, a ja zwołam chłopaków.

– A co z Shelby?

– W porządku. Podobnie jak u ciebie. Dobrze wygląda. Jest czysta. Ucieszy się, że z tobą wystąpi.

– *Ucieszy się czy cieszy się?* Rozmawiałeś z nią?

– Krótko. Wchodzi w to. A ty, Jed?

Shelby zauważyła, że nowa piosenka Jeda była jakaś inna. Nie chodziło tylko o tę płaczącą melodię, którą wykroił na samą gitarę. Nie chodziło też o słowa – nieco ponure, oddające głębokie przemyślenia – choć naprawdę można się było zalać, kiedy się słyszało, że wszystko jest pogonią za wiatrem. W tym kawałku usłyszała treści, które wydobywały się z jego wnętrza. To właśnie one przyciągnęły ją kiedyś do muzyki Jeda. Jego bolące, otwarte serce leżące na dłoni. Poza tym Shelby wiedziała, że piosenka zabrzmiałaby znacznie lepiej z jej głosem i dźwiękami jej nowych skrzypiec.

Stan przywiózł je, gdy była na odwyku. Powiedział, że są od Jeda, a ona mu uwierzyła. Ale nic nie mogło zastąpić jej starych skrzypiec. No cóż, w końcu towarzyszyły im one w naprawdę dobrych czasach. Mimo wszystko przyjęła nowy instrument.

Puściła w odtwarzaczu płytę CD. Wsłuchiwała się w melodię, uniosła skrzypce i zagrała wstęp. Testowała, które fragmenty piosenki mogłaby uzupełnić. Przy drugim odsłuchu już nie grała. Słuchała poruszających słów o tęsknocie, żalu, nadziei na coś więcej i uderzaniu głową w mur. Tak, ta piosenka miała wszystko co trzeba. Tylko Shelby nie wiedziała, do czego Jed zmierzał.

Długa instrumentalna końcówka tego kawałka idealnie nadawała się na występ w telewizji. To był doskonały utwór na ich powrót.

Kiedy Shelby skończyła odwyk, zadzwoniła do Vivian. Powiedziała jej, że nie chce już żadnych tabletek, jointów i alkoholu. Zamierzała pozostać czysta. Vivian obiecała to uszanować. Jak stwierdziła, podczas pobytu Shelby w ośrodku dużo myślała o swoim życiu. Bardzo ograniczyła alkohol – nie pije nawet połowy tego co przedtem. Ale Shelby czuła, że to nie potrwa zbyt długo. Terapeuci na odwyku powiedzieli jej: wszystko albo nic. Nie można pić trochę, tylko na spróbowanie, ponieważ pewnego dnia nałóg znów cię złapie i ściągnie w dół. Leżąc na dnie, będziesz patrzeć w górę i zastanawiać się, jak się tam znalazłeś.

Pomyślała, że być może Jed czuje to samo co ona. Miała nadzieję, a nawet – tak! – modliła się o to, by tak było. Wystarczy jedno jego spojrzenie, a rozpoczną nowe, dobre życie. Tak jak to zrobił jego ojciec ze swoją drugą żoną. Wszystko już sobie ułożyła w głowie. Jed sprowadzi się do niej, a po jego rozwodzie wezmą ślub. Będzie musiał wprawdzie dużo zapłacić Rose, ale razem uda im się przetrwać ten trudny czas.

Przed koncertem 12 października mieli jedną próbę wczesnym popołudniem. Wtedy po raz pierwszy zobaczyła Jeda po tych kilku tygodniach. Wyglądał dobrze. Zgolił swoją długą brodę, ale jego twarz już pokryła się nowym zarostem. Skrócił też włosy. Mimo to wyglądał, jakby przybyło mu lat.

Shelby podeszła do niego. – Cześć – powiedziała.

– Cześć. Jesteś pewna, że możesz mi zaufać, jeśli chodzi o tę rzecz? – uśmiechnął się i wskazał na skrzypce.

– Ufam ci, Jed. We wszystkim.

Odwrócił się do zespołu. – Zaczniemy od tej nowej piosenki, OK?

Zagraли. Zabrzmiali niesamowicie, jakby wyczarowali coś z niczego, jakby niespodziewanie wyciągnęli królika z kapelusza. Tego kawałka nikt poza Jedem i Shelby wcześniej nie słyszał, ale muzycy mieli wrażenie, że to ich popisowy numer od zawsze. Shelby poczuła dreszcze. Zagrała instrumentalną końcówkę, po czym przeszła do „Piosenki”.

Po kilku taktach Jed zamachał rękami. – OK, OK, tę graliśmy już wystarczająco wiele razy. Brzmiało dobrze, chłopaki. Naprawdę dobrze.

Koledzy otoczyli go i ciepło się z nim przywitali. Zanim Shelby się zorientowała, Jed został porwany przez jakiegoś producenta na wywiad, który miał zostać wyemitowany w czasie wieczornego show. Kiedy przyszła jej kolej, Jed zniknął.

– Jak się czułaś, gdy zobaczyłaś tak gwałtowne zachowanie Jeda na scenie? Jak na to zareagowałaś?

– Emocje sięgnęły wtedy zenitu – odpowiedziała. – Rozpłakałabym się na widok złamanego paznokcia. Tamten instrument był moim bliskim przyjacielem. Tamtej nocy straciłam więc dwoje przyjaciół.

– Słyszeliśmy, co się stało za kulisami. I Jed nam też o tym trochę opowiedział.

– Co mówił?

– Że pomiędzy wami doszło do przemocy fizycznej. Popchnął cię.

– No tak. A ja nieźle walnęłam Stana, który próbował nas rozdzielić. Ale to już za nami.

– Co jest za wami?

– Tamten wieczór. I to wszystko, co do niego doprowadziło. Prochy, alkohol.

– Wasz związek?

Shelby uśmiechnęła się nieśmiało i zerknęła na pytającego. – Zawsze będę kochać Jeda. Jego muzykę. Jego serce. Nie wiem, co przyniesie przyszłość, ale nie zamierzam się odgrywać. Życie jest zbyt krótkie. Chcę zawrzeć pokój z moimi demonami i żyć dalej.

– Jed powiedział, że jego relacja z Bogiem pogłębiła się przez to, co się wydarzyło. Czy możesz to samo powiedzieć o sobie?

Wbiła wzrok w podłogę. – Nie, nie mogę tego powiedzieć. Nurtuje mnie wiele pytań związanych z Bogiem. Głównie to, czy w ogóle jest. Ale nie dziwię się Jedowi ani komukolwiek innemu, kto podąża w tym kierunku. Jeśli na niego to działa, to bardzo się cieszę.

Człowiek przeprowadzający wywiad spojrzał na nią przeciągle. – Shelby, czy chciałabyś dodać jeszcze coś od siebie?

– Przykro mi, że sprawiłam ludziom ból swoim zachowaniem. To nie było moją intencją. Naprawdę chciałabym, by to doprowadziło do czegoś nowego, dobrego w życiu moim i moich bliskich. – Spojrzała na kamerę. – Dziękuję, że mnie nie przekreśliliście. To naprawdę wiele dla mnie znaczy.

Zanim wyszli na scenę, Shelby stała za kulisami przy czerwonej aksamitnej kurtynie. W końcu podszedł do niej Jed. Słuchał zespołu grającego przed nimi. Obracał w dłoni jakiś przedmiot. Czy to był pierścionek?!

Jej serce zadrżało. Może podczas odwyku zdał sobie sprawę z tego, jak bardzo była dla niego ważna? Może zamierzał oświadczyć się jej na scenie? Nie śmiała o to nawet prosić, nie śmiała o tym myśleć. Obserwowała go i czuła, że jej serce zaczyna wypełniać miłość. Przypomniła sobie chwile, które spędzili razem. Nawet jeśli większość z nich upłynęła w narkotycznym otępieniu, było im dobrze ze sobą. Widok Jeda rozbudził w niej nadzieję.

Podeszła bliżej i uśmiechnęła się do niego. – Jesteś gotowy?

Pokręcił głową. – Zobaczymy.

Prawie nie pamiętał już czasów, gdy stawał przed publicznością, nie połknąwszy tabletek. Shelby zaczynała się zastanawiać, czy będzie w stanie przez to przejść.

– Wyglądasz naprawdę dobrze – stwierdziła.

– Dziękuję. Ty też. Zdrowo.

– Dzięki. Ta piosenka, którą nagrałeś, bardzo mnie poruszyła. Wiem, że nie napisałeś jej, by stała się hitem. Że jest bardzo prawdziwa. Tak powstają najlepsze kawałki. Po prostu przydarzają ci się, znajdujesz je.

– Dobre piosenki znajdują ciebie – powiedział Jed. – Nie rozumiem tego, ale tak jest.

– Nadal myślisz, że są ci dane?

Skinął głową. – Och, tak. Nie zrobiłem nic, żeby na nie zasłużyć.

Spojrzała na pierścionek w jego dłoni i zaczęła się zastanawiać, jak będzie wyglądał na jej palcu. – Jed, rozumiem, jak bardzo się męczyłeś. Myślałam, że ona wie. Że zakończycie ten związek, a potem ty i ja będziemy mogli żyć razem bez poczucia winy.

Jed popatrzył na twarze wśród publiczności, na światła, kamery, kobiety wstępujące na scenie. Nie odpowiedział. Shelby wyciągnęła rękę i złapała jego dłoń.

– Mamy szansę zacząć wszystko od nowa. Wiesz, tak, żeby wszystko było, jak powinno być.

Nadal nie odpowiadał, nie ścisnął jej dłoni. Tylko uśmiechał się smutno, kie-

dy skończono śpiewać.

– Teraz nasza kolej – rzucił.

Shelby ruszyła pierwsza. Kiedy zespół zajmował swoje miejsca, publiczność zaczęła bić brawo. Na ekranie wyświetlono filmik z incydentem na scenie w Indianapolis, a potem odtworzono wywiady z Jedem i Shelby. Następnie oboje zostali przedstawieni. Kiedy Jed zaczął grać melancholijny wstęp do „Goniąc wiatr”, publiczność z wrażenia przesunęła się na krawędzie foteli.

Shelby była przeszczęśliwa. Uśmiechała się do kamery, do ludzi, których widziała w pierwszych rzędach. Gitara, skrzypce, mandolina i pozostałe instrumenty idealnie ze sobą współgrały. Harmonie wybrzmiewały świetliście, a cały występ wprost zapierał dech w piersiach, jakby ludzie na to właśnie czekali, kibicowali im, pragnęli, by im się udało. W końcu tak to właśnie w życiu jest – uderzasz o dno i odbijasz się od niego. Ich przeszłość odzwierciedlała historie tysięcy ludzi, którzy upadli tak nisko, że nie było już innej drogi – tylko w górę. Sportowcy przyłapani na dopingu i wracający do gry, politycy, którzy przegrali, a potem znów wystartowali w wyborach – ludzie kochali takie historie. Jed śpiewał przecież odę na cześć własnego upadku.

W pewnym momencie, gdzieś w połowie piosenki, Shelby dostrzegła, że Jed ze łzami w oczach patrzy na balkony albo gdzieś ponad nie. Nie były to łzy sceniczne, wymuszone dla osiągnięcia jakiegoś efektu, ale prawdziwe. Wydawały się uwalniać go od czegoś w środku. Kamerzysta zrobił zbliżenie. Kiedy Shelby spojrzała na boczny ekran, coś w jej sercu pękło, ponieważ w tym samym momencie zdała sobie sprawę z tego, że te łzy nie były dla niej.

Wtedy natężenie głosu Jeda osiągnęło apogeum.

Dlaczego miałbym być, jeśli powstałem z niczego?

Wszystko, co zrobiłem, wypali słońca skwar.

Teraz nie śpiewał, lecz krzyczał. Jakby wołał do gwiazd. Żyły na jego szyi nabrzmiały.

Dlaczego miałbym śpiewać, jeśli znaczenia nie ma nic?

Nagle zespół – jakby na jakiś znak – przestał grać. Shelby chciała przeciągnąć smyczkiem po strunach i wydobyć z nich jakiś dźwięk, ale nie była w stanie tego zrobić. Patrzyła na Jeda. Publiczność siedziała z rękami na kolanach i czekała na rozwój sytuacji.

Shelby dostrzegła w tłumie twarz Stana. Menedżer dał jej znak, by zaczęła grać. Zagrała więc pierwsze dźwięki „Piosenki”, tak jak to robiła tysiące razy. Ciśszą przerwała piękna, przejmująca melodia. Shelby zamknęła oczy i pozwoliła muzyce płynąć.

Po zaledwie kilku sekundach Jed przyłożył rękę do swojej szyi i zrobił taki gest, jakby chciał ją przeciąć. Muzycy po kolei przestawali grać. W świetle reflektorów Jed wyglądał jak zwierzę w potrzasku. Jakby coś wziął, jakby był na haju.

Być może ludzie tak myśleli, ale Shelby wiedziała lepiej. Nigdy nie widziała go bardziej trzeźwego. Pochylił się do mikrofonu.

– Wiecie, kiedy stoi się w blasku światła, nie dostrzega się gwiazd. – W jego głosie słychać było emocje. Podskórny, piekący ból. – Zapomina się o *ty*. Zapomina się, że ktoś umieścił tam te gwiazdy dla ciebie. Że ten ktoś kochał cię tak, że za ciebie umarł. Że dla takiej miłości warto pisać piosenki. I żyć. Miałem taką miłość i odrzuciłem ją. Ponieważ jestem głupcem. Przepraszam.

Pokręcił głową. Cisza była ogłuszająca. Shelby mogła sobie tylko wyobrazić, co działo się w domach w całym kraju, w których ludzie oglądali telewizję. Wydawało się, że czas się zatrzymał. Nagle Jed znalazł się tuż przy niej. To, co miało być dla niego szansą na oświadczenia, zmieniło się w najgorszy moment w jej życiu.

– Masz rację – odezwał się do niej. – Mamy szansę zrobić tak, jak powinno być.

Serce Shelby waliło jak oszałałe. Próbowwała się opanować i mówić spokojnym głosem. – Naprawdę myślisz, że ona przyjmie cię z powrotem?

– Cokolwiek się stanie, to jest pożegnanie.

Zszedł schodami do publiczności, a potem skierował się do drzwi wyjściowych. Shelby patrzyła, jak odchodzi długim, spokojnym krokiem. Wiedziała, że nigdy więcej go już nie zobaczy.

Jed czuł się, jakby zrzucił z pleców tysiackilogramowy ciężar. Kiedy szedł wśród publiczności, niemalże unosił się w powietrzu. Nie dbał o szepty. Po raz pierwszy czuł prawdziwą wolność – nie taką, którą ktoś ci wydziela, lecz taką, która uwalnia twoje serce, a ono robi to, co chce, to, co musi zrobić.

Na korytarzu zerknął na zegarek i uśmiechnął się do siebie. Dojedzie na festiwal plonów, zanim kapela skończy grać. Będzie mógł złapać Raya w objęcia i podrzucić go. Zobaczy się z Rose i powie jej, co zrobił. Powie, że dawny Jed umarł, że narodził się nowy. Właśnie układał sobie to wszystko w głowie, kiedy w pustym holu dopadł go Stan.

- Jed, zatrzymaj się, proszę! Nie możesz tego zrobić.
- Mogę. Właśnie jesteś tego świadkiem.
- Zdajesz sobie sprawę, z czego rezygnujesz?
- Z niczego, co miałoby znaczenie.

Stan złapał go za koszulę. Wymachiwał mu przed twarzą programem. – Coś ci powiem. Jeśli przejdiesz przez ten próg, pozwę cię za każdy odwołany koncert.

Jed uśmiechnął się ironicznie. Przez wiele lat siła słów wypowiedzianych przez Stana sprawiała, że mu ulegał. Teraz menedżer wydawał mu się tygrysem z papieru. – Wiem, nie krępuj się, śmiało. – Położył dłoń na ramieniu Stana. Nagle zrobiło mu się żal tego człowieka. – To tylko pieniądze, Stan.

Klepnął Stana dwa razy po policzku i ruszył do drzwi. – Straciłem dużo więcej.

W drodze do winnicy opuścił szybę. Chłodne powietrze go orzeźwiło. Jechał nieco za szybko. Miał nadzieję, że nie zostanie zatrzymany.

Był w stanie myśleć jedynie o Rose, Rayu i nienarodzonym dziecku. Jakie imię nadadzą córeczce? Leah? Stephanie? Nie, Lily. Po mamie Rose. Lily Shephard King. Nie mógł się doczekać, kiedy zobaczy Rose i jej to powie, pozwoli sercu eksplodować. Powie jej, jak bardzo mu przykro. Jak straszny błąd popełnił. Da jej pierścionki, które mu zwróciła. Pewnie Rose się rozplacze, tak jak wtedy, gdy się jej oświadczył. I wszystko wróci do normy. Będą razem spędzać dni i noce. I znów będą tworzyć zgrany zespół.

Ale wiedział, że to tylko marzenie. W prawdziwym świecie, gdy chodzi o prawdziwe serca, przebaczenie nie przychodzi tak łatwo. Co robi, jeśli Rose go odepchnie? Lub od niego ucieknie?

– Panie Boże, daj mi mądrość – szeptał. – Obiecuję, że tym razem nie zawiodę.

Minął znak z napisem *Sharon* i skierował się ku winnicy. Kiedy parkował, poczuł, że serce zaczyna mu szybciej bić. Kapela na scenie dopiero zaczynała się rozgrzewać. Jed obrzucił wzrokiem tłum. Poczuł się, jakby wrócił do domu, jak George Bailey** biegnący przez miasteczko Bedford Falls i machający ręką przed bankiem. Miał ochotę ucałować koślawy stół z lizakami na patyku i podziękować mu. Nagle zobaczył bawiącego się Raya. Zawołał go.

– Tata! – krzyknął chłopiec i popędził wprost w jego ramiona. Jak dobrze było go złapać i przytulić, patrzeć na niego.

– Stęskniłem się za tobą! – powiedział Jed.

– Spóźniłeś się – odparł Ray.

– Wiem. Przepraszam. Ale jestem, prawda?

– Uh-huh.

– Gdzie mama?

Ray pokazał paluszkami. – Jest tam, z winnymi ludźmi.

Jed zachichotał. – Z winnymi ludźmi? Pójdę z nią porozmawiać, OK?

– OK – odparł Ray.

– Wiesz, że cię kocham? – spytał Jed.

Ray uściskał go, a Jed dał mu buziaka. Poczuł, jakby z serca spadł mu ogromny kamień. Ale najtrudniejsze było jeszcze przed nim. Dzieci potrafią przebaczać, ponieważ mają ogromne serca. Dorosłym przychodzi to z większym trudem.

– Za chwilę do ciebie wrócę. – Postawił Raya na ziemi i patrzył, jak biegnie.

Na widok Rose uśmiechnął się ciepło. Było jak wtedy, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy, właśnie tutaj, pośród jabłek w karmelu i beli siana. Wtedy jej piękno zaparło mu dech w piersiach. Teraz, kiedy spodziewała się ich dziecka, żałował, że nie może wymazać tych kilku ostatnich miesięcy, dokonać lepszych wyborów. Ale czy człowiek jest w stanie cofnąć wskazówki zegara?

Podszedł do Rose przy dźwiękach granych przez kapelę. Kiedy włączyła się skoczna mandolina, napotkał wzrok żony. Przeprosiła ludzi, z którymi rozmawiała, a następnie podeszła do niego, omijając dynie i góry kukurydzy. Jego oczy zaszklily się nagle.

– Rose – wypowiedział jej imię jak modlitwę, jak zaproszenie.

– Co ty tu robisz? – zapytała zdziwiona. – Myślałam, że masz dzisiaj koncert.

– Kocham cię – mówił dalej. Patrzył na nią i raz jeszcze powtórzył: – Kocham cię.

Odwróciła głowę. Jej twarz była napięta. – Jed, przestań. Po prostu przestań.

– Przestałem – odparł. – Rzuciłem to. Wszystko. Dzisiaj wieczorem. Byłem na scenie i po prostu z niej zszedłem, bo nie tego pragnę. Pragnę ciebie.

Powiedział to z głębi duszy, zdecydowanie, mocno, z pożądaniem. Z głębi

serca, wolnego od wszystkiego, co go kiedyś zniewoliło. Ale reakcja nie była taka, jakiej się spodziewał.

– Jed, miałeś swoją szansę. – Zabrzmiało to jak amen w pacierzu. Niech się stanie. A potem Rose odeszła.

– Rose – wyszeptał. Ale już jej nie było. I nie mógł nic zrobić. Patrzył, jak odchodzi.

Samotny człowiek może popaść w rozpacz. Już kiedyś mu się to przydało. Ale teraz wyszeptał swoją modlitwę. – Panie Boże, prosiłem Cię o mądrość. Daj mi tę mądrość teraz.

Zanim skończył się modlić, jego wzrok padł na zespół. Już wiedział, co powinien zrobić.

** Fikcyjna postać z amerykańskiego filmu *It's a Wonderful Life* z 1946 roku.

czterdzieści dziewięć

Rose nie wierzyła, że Jed przyjedzie na festiwal – nie po tym, jak obiecał to Rayowi, a potem wycofał się z powodu telewizyjnego show. Jak sądziła, to Stan wszystko ustawił. I zapewne powab trzeźwej Shelby był zbyt silny, by się mu oprzeć. Rose pogodziła się już z tym wszystkim. Pozwoliła Jedowi pójść jego własną drogą, odejść tak daleko, jak tylko chciał. Jeśli o nią chodziło, nie zamierzała już podejmować prób przywołania go do rozsądku.

Jego przyjazd teraz, zaledwie kilka dni po ich rocznicy, to było dla niej zbyt wiele. W rocznicowy wieczór położyła Raya spać, naląła sobie do szklanki soku winogronowego i rozpałała ogień. A potem zasnęła z twarzą zalaną łzami. Gdzie był wtedy? Dlaczego się nie pojawił?

Dobrze się prezentował, musiała to przyznać. Był ogolony i ostrzyżony. Wyglądał jak dawny Jed, którego poznała na festiwalu i w którym się zakochała. A jej ojciec podszedł do niego z taką nieufnością! Teraz zdała sobie sprawę z tego, że miał ku temu dobry powód.

Jed powiedział, że ją kocha. Że porzucił swoje stare życie, zrezygnował z muzyki, podróży i pieniędzy. Powiedział to jak mały chłopiec chwalcący się przed swoją mamą, jaką piękną zrobił babkę. Jak miała się zachować? Poklepać go po plecach i powiedzieć, że jest dzielny, bo przeszedł przez odwyk? Pogratulować, że stał się wreszcie dorosły? Powitać go z otwartymi ramionami i nie zastanawiać się nawet przez chwilę, czy nie wróci do swojego dawnego życia? Nie wpadnie z powrotem w ramiona Shelby?

Kobieta stojąca przed nią zrobiła śmieszny minę. Wskazała na scenę i spytała: – Czy to jest ten, o...

Rose odwróciła się dokładnie w momencie, kiedy zespół skończył grać instrumentalny kawałek. Jed właśnie wchodził na scenę. Od jednego z muzyków pożyczyl gitarę. Nie mogła w to uwierzyć.

Jak śmiał przerywać występ?! Jak śmiał zawłaszczyc sobie festiwal?!

Podeszła do sceny. Krew gotowała się w jej żyłach. – Jed, zejdz ze sceny! – krzyknęła. Jakby był brudnym psem, który wlażł na skórzana kanapę.

– Rose, chcę zagrać piosenkę – powiedział do mikrofonu. – Dobrze? Ostatnio wiele razy chciałem ją zagrać, ale nie mogłem, ponieważ zawsze przypominała mi o tobie.

Wiedziała, że mówił o „Piosence”, którą napisał dla niej. To ona pozwoliła mu wspiąć się na listy przebojów. I to właśnie jej Rose nie była w stanie więcej znieść. – Już ją słyszałam – odparła. – Wszyscy słyszeli.

– Ale nie w takiej wersji – powiedział. – Proszę.

Nocną ciszę zakłócały tylko odgłosy świerszczy i żab. Tłum zamarł. Nawet

zespół zamilkł.

– Nie – brzmiała jej odpowiedź, ostatni gwóźdź do trumny. Miała nadzieję, że to go dobije.

Odwróciła się i odeszła. Czowała, że robi coś ważnego dla siebie, swojej rodziny, farmy, Raya i nienarodzonego dziecka. Robi coś dla swojej godności.

Wtem usłyszała jego głos, na początku cichy, jakby szeptał jej znajome słowa do ucha.

*Wszystko, tak, tak, tak,
Ma swoją godzinę, tak, tak, tak,
Jest czas na wszelką
Sprawę pod niebem.*

Rose zatrzymała się, ale nie była w stanie się odwrócić. Wspomniała mu o tej piosence tego wieczoru, kiedy się poznali. Uwielbiała ją. A on o tym pamiętał.

*Jest czas rodzenia i czas umierania,
Czas sadzenia i czas wrywania tego, co zasadzono,
Czas zabijania i czas leczenia,
Czas burzenia i czas budowania.*

Powoli odwróciła się i spojrzała na niego. Jej oczy napełniły się łzami. Chciała kontrolować swoje emocje i zachować kamienną twarz. Nie pokazywać mu, że w środku pęka tama.

Po chwili muzycy złapali tę samą tonację i włączyli się do grania piosenki.

*Wszystko, tak, tak, tak,
Ma swoją godzinę, tak, tak, tak,
Jest czas na wszelką
Sprawę pod niebem.
Czas płaczu i czas śmiechu,
Czas lamentu i czas tańca,
Czas rzucania kamieni i czas zbierania kamieni.*

Kiedy tak śpiewał, Rose przypominała sobie wszystkie rzeczy, które robili razem. To, jak tańczyli, jak spędzali czas żałoby i puszczały kaczki. Wszystko w niej krzyczało, aby od niego odejść. Bała się kolejnego zawodu. Ale im dłużej śpiewał, tym wyraźniej widziała, że ta piosenka płynęła z głębi jego serca.

Zespół podkręcił tempo do maksimum. Jed śpiewał i śmiał się głośno. Muzyka była czystą radością, a każdy z muzyków stanowią jej część.

Jed zakończył utwór słowami: *Czas na pokój, Rose, jeszcze nie jest za późno.*

Lata temu zaśpiewał utwór o Eddiem, aby zdobyć jej serce. I oto znów przeganiał złego bohatera, tym razem siebie.

Muzycy zagrali ostatnie akordy. Jed zszedł ze sceny i podszedł do Rose. Szlochała i kręciła głową.

– Przepraszam – powiedział cicho, również ze łzami w oczach. – To, że się z

tobą ożeniłem, było najmądrzejszą rzeczą, jaką zrobiłem w życiu. Jesteś najlepsza. Jesteś darem od Boga.

Wyciągnął do niej dłoń. Zobaczyła na niej obrączkę i pierścionek zaręczynowy, które mu zwróciła.

– Wszystko, czego chcę – mówił – to być twoim mężem. Chcę wychowywać nasze dzieci. – Zamilkł i poczekał, by na niego spojrzała. – Nigdy więcej cię nie opuszczę – wyszeptał drżącym głosem.

Nagle poczuła, że wcale nie jest tak zimno.

– Nie zagram ani jednej nuty, jeśli nie będzie cię przy mnie, by jej posłuchać. Błagam, wybacz mi.

– To długo potrwa – powiedziała cicho.

– Właśnie wyczyściłem swój kalendarz... na całą wieczność.

Uśmiechnął się, a Rose spuściła wzrok. Delikatnie ujął jej podbródek. Chciał, by na niego spojrzała.

– Jeśli ma to potrwać całą wieczność, możesz na mnie liczyć. Całą wieczność.

Wziął ją w ramiona i pocałował w policzek. Przyłgnęła do jego piersi, jakby nie było jutra. Liczyło się tylko teraz. Tutaj. Ta chwila. Ten krok do przebaczenia i przyjęcia go. Obejmowała Jeda i myślała: *Czy to nie jest zabawne, co piosenka może zrobić ze złamanym sercem?*

pięćdziesiąt

Shelby weszła do przyciemnionego salonu tatuaży w czapeczce mocno naciągniętej na oczy. Pokazała mężczyźnie, co i gdzie chce mieć zrobione.

– Będzie bolało – odpowiedział. – Kostki są najgorsze.

– Kiedy patrzę na ciebie, to wierzę, że wiesz, o czym mówisz. Na twoim ciele nie ma wolnego miejsca.

– Pewnie gdzieś tam został kawałek – odparł ze śmiechem.

– Pierwszy raz poczuję ból związany z tatuażem. Zabierajmy się do pracy.

Wzruszył ramionami. Najpierw zrobił szkic. Potem odkaził jej skórę. Shelby leżała z zamkniętymi oczami.

– Po co ci coś takiego? – zapytał mężczyzna.

– Co masz na myśli?

– No, ta korona. Coś musi znaczyć.

– Wiesz, to lepsze niż album ze zdjęciami.

– Nie nadażam.

– Mogłam mu zrobić zdjęcie i postawić na stoliku nocnym, ale zdjęcia zabijają wspomnienia.

Mężczyzna spojrzał na nią uważnie i w końcu ją rozpoznał. – Chodzi o Kinga, tak? Ty jesteś tą dziewczyną ze skrzypcami, prawda?

Położyła palec na ustach. – Zachowaj to dla siebie, a dostaniesz spory napiwek.

Udał, że przykłada klucz do ust i przekręca go. – Nadal śpiewasz?

– Od czasu do czasu. Szukam nowego menedżera, żeby wskrzesił moją karierę. Wiesz, trudności raczej zagrzewają mnie do działania.

– A co z nim? Z Kingiem? Co teraz porabia?

Wzruszyła ramionami. – Ma rodzinę. Dwójkę dzieci. Żonę. Słyszałam, że dobrze mu się wiedzie. Nadal jest czysty.

– To dobrze. Dobrze dla niego. Myślisz, że jeszcze kiedyś zaśpiewacie razem?

– Wątpię – odpowiedziała.

Kiedy skończył przygotowania, chwycił igłę. – Ale nie żałujesz niczego?

– Czego? – zapytała.

– Tego, co się stało? Tego, o czym pisali w szmatławcach?

– Wiesz, nie lubię słowa *żałować*... – Jej głos nieco zadrżał. Po czym szybko dodała. – No, może jednej lub dwóch rzeczy.

Kiwnął głową i przyłożył igłę do jej skóry. Zamknęła oczy i ujrzała przed sobą twarz Jeda. Wyobraziła sobie, że śpiewają razem ostatnią piosenkę. Widziała łzy w jego oczach. To, jak schodzi ze sceny i nie ogląda się za siebie. I usłyszała

wszystkie słowa, które śpiewał o pogoni za wiatrem. Nie mogła pozbyć się tej piosenki z głowy. Cóż, jego piosenki zawsze się do niej przyczepiały.

– Hej, poczekaj! – zawołała nagle.

– Chcesz coś na ból?

Wstała z krzesła. – Nie, nie chodzi o ból.

– Co, nie chcesz już korony?

Wyciągnęła z kieszeni dwudziestodolarowy banknot i wręczyła mu. – Nie sądzę, bym jej potrzebowała.

Otworzyła drzwi i wyszła. Nad głową widziała gwiazdy, rozsypane na nocnym niebie niczym konfetti.

Epilog

Jed wszedł na dach kaplicy z wiaderkiem farby, żeby dokończyć malowanie krzyża. Spojrzał na rozciągającą się w dole winnicę. Na dwa groby nad stawem. Przypomniawszy sobie też starego psa pochowanego pod drzewem. Tak wiele zostało pogrzebane i tak wiele pozostało! Rośliny, które na zimę zapadały w sen, były gotowe na nowe życie.

Mężczyzna, który popełnia grzech cudzołóstwa, nigdy nie będzie w stanie go odkupić. Ale Jed wiedział, że istnieje przebaczenie od Boga oraz, miał nadzieję, od Rose. Na które będzie musiał poczekać. Długo poczekać. I będzie czekał, aż jej serce się zagoi. Mężczyzna, który zranił swoją żonę tak głęboko, mógł tylko słuchać, kochać i czekać.

Odbudowywanie zaufania w małżeństwie, które się rozpadło, wymaga czasu. Tak właśnie powiedział im pastor Bingham na ich pierwszej wspólnej sesji terapeutycznej. I miał rację. Stare rany jątrzyły się i odzywały w najdziwniejszych momentach. Ale Rose powoli się otwierała. Może zatem Bóg dał Jedowi tę mądrość, o którą się on kiedyś modlił?

Rose szła w kierunku kaplicy. Niosła maleńką Lily. Ray trzymał się blisko mamy i siostry. Był to obrazek, który Jed zatrzyma w swej pamięci na zawsze. Jego córeczka, Lily Shephard King, ważyła już siedem kilogramów i siedem gramów. Idealna waga i idealne dziecko.

– Witam na wielkim otwarciu kaplicy w winnicy i terenów piknikowych! – zawołał Jed. Uśmiechnął się i zszedł do rodziny.

– Mamy kanapki z masłem orzechowym – Ray podbiegł do taty.

– Super! – odpowiedział Jed.

Rose weszła do środka. Spojrzała na ławki i słońce, które wpadało do środka przez witrażowe okienka. – Naprawdę ładnie. Skończyłeś.

– Powiedziałem ci, że ją skończę. Choć zabrało mi to więcej czasu, niż myślałem.

– Na niektóre rzeczy warto poczekać – stwierdziła. Rozłożyła koc i położyła Lily na podłodze. W tym samym miejscu Jed znalazł ją, płaczącą i modlącą się, po tym, jak pojawiła się u nich Shelby. Nie potrafił zapomnieć, w jakiej rozpacz była wtedy Rose.

– Och, byłabym zapomniała – zaczęła szperać w koszyku. – To przyszło pocztą. Wygląda na coś ważnego.

Był to list z firmy prawniczej, która reprezentowała Stana. Kiedy Jed spojrzeł na trzy nazwiska zapisane w górnym lewym rogu koperty, przeszył go zimny dreszcz. Otworzył kopertę i wyciągnął pojedynczą kartkę.

– Puści cię z torbami? – zapytała cicho Rose.

Jed przeczytał szybko list.

– Z jakimi torbami? – dopytywał się Ray.

– To takie wyrażenie – wytłumaczyła mu Rose. – Tak naprawdę nie chodzi o żadne torby.

– Nie, nie wydaje mi się – odezwał się Jed. Odetchnął głęboko i usiadł obok nich. – Stan podliczył wszystkie straty i zaproponował, byśmy zostali nimi obciążeni po połowie.

– To chyba dobry układ.

– Okazało się, że facet ma serce – stwierdził Jed.

– Kiedy będziemy mogli jeść winogrona? – zapytał Ray, wpychając sobie do buzi połowę kanapki z masłem orzechowym.

– Musimy poczekać jeszcze kilka miesięcy, kolego – odpowiedział Jed. – Musisz być cierpliwy, pozwolić im rosnąć i dojrzeć. – Zamyślił się na chwilę. – Kiedyś ktoś mądry powiedział: *Traktuj je dobrze. Daj im czas. A kiedy będą gotowe, dadzą ci znać.*

Rose spojrzała na niego, jakby pamiętała. Jakby wiedziała, że Jed mówi o sobie i o ich relacji.

– Mogę popuszczać kaczki? – zapytał Ray.

– Ale tylko przy drzewie. Nie podchodź blisko wody.

– Dobrze. – I już go nie było.

Rose przyciągnęła do siebie Lily, żeby ją nakarmić. Jed patrzył, jak Ray biegnie w kierunku drzewa, a potem puszcza kaczki. Chłopiec próbował pochylać się tak, jak uczył go tata. Jed żałował, że nie było z nimi jego własnego ojca. Że David nigdy nie widział ich rodziny.

– Masz jakieś plany co do kaplicy? Myślałeś, co mogłoby się tu dziać? – zapytała Rose.

– Pomyślałem, że mogłyby się tu odbywać śluby. Małe, takie jak nasz. Ciche uroczystości.

– Niezły pomysł.

– I pomyślałem jeszcze, że w październiku moglibyśmy zorganizować tu małą ceremonię.

– Podczas festiwalu?

– Na krótko przed nim. Moglibyśmy odnowić naszą przysięgę małżeńską. I zacząć wszystko raz jeszcze.

Rose spojrzała na niego. Na jej ustach pojawił się słaby uśmiech. Jed poczuł, że przez ciemne chmury ich życia zaczyna przedzierać się słońce.

– Wina nam na pewno nie zabraknie na prawdziwe świętowanie – powiedziała Rose.

Jed skinął głową. – I kanapek z masłem orzechowym.

Kiedy Lily skończyła jeść, Rose podała ją Jedowi. Ułożył sobie córeczkę na

ramieniu i wyszedł przed kaplicę. Nucił cichutko dziecku. Zerknął na staw i zobaczył Raya idealnie zginającego nadgarstek i puszczonego kaczkę. Jego oczy zasły mgłą. Pocałował główkę córki.

– Miłość jest siłą leczącą – wyszeptał. Tak kończyła się „Piosenka” i zaczynała modlitwa, którą będzie odmawiał do końca swojego życia.

Tytuł oryginału: *The Song*

Przekład: *Iwona Janiak*

Okładka: *Krzysztof Krzywania*

Zdjęcie: *City on a Hill Studio, LLC*

Łamanie: *Stanisław Tuchołka (panbook.pl)*

Cytaty z Pisma Świętego za: Biblia Poznańska (Poznań 2010)

© 2014 by Chris Fabry

© Polish edition by Święty Wojciech Dom Medialny sp. z o.o., Poznań 2016,
with permission of Tyndale House Publishers, Inc.

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone. Licencjonowane dzieło
opublikowane na mocy przyznanej licencji.

ISBN 978-83-8065-004-6

Wydawca:

Święty Wojciech Dom Medialny sp. z o.o.

Wydawnictwo

ul. Chartowo 5, 61–245 Poznań

tel. 61 659 37 13

wydawnictwo@swietywojciech.pl

Zamówienia:

Dział Sprzedaży i Logistyki

ul. Chartowo 5, 61–245 Poznań

tel. 61 659 37 57 (-58, -59), faks 61 659 37 51

sprzedaz@swietywojciech.pl • sklep@mojeksiazki.pl

www.swietywojciech.pl • www.mojeksiazki.pl

Konwersja do e-wydania: Wydawnictwo Święty Wojciech

